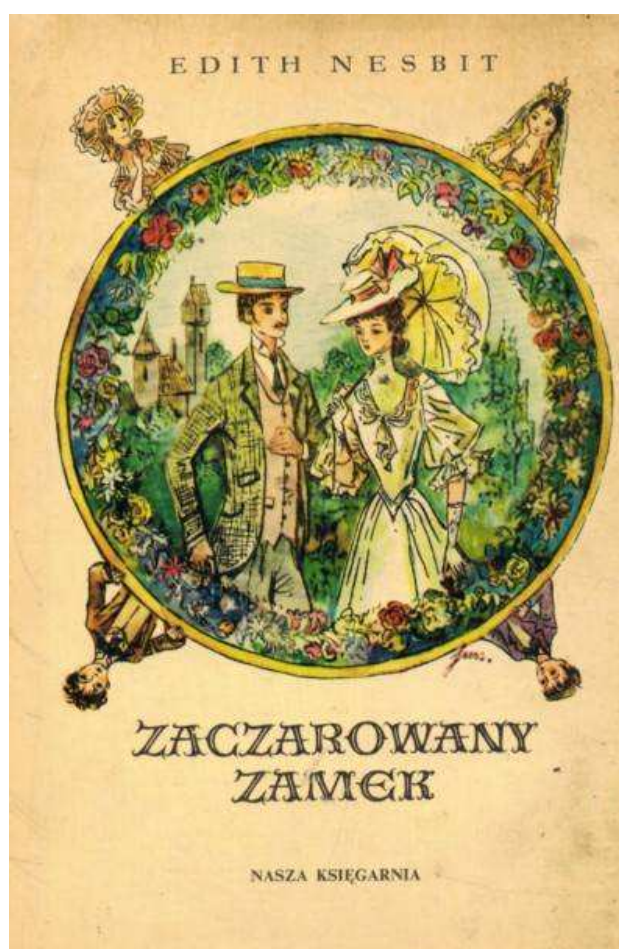


EDITH NESBIT

# ZACZAROWANY ZAMEK

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE ENCHANTED CASTLE  
PRZEKŁAD: IRENA TUWIM I JULIAN STAWIŃSKI



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1971

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Było ich troje — Jerry, Jimmy i Kathleen. Oczywiście, bez względu na to, co wam się może wydawać, Jerry nazywał się właściwie Gerald, a nie Jeremiasz; Jimmy miał właściwie na imię James, a i Kathleen nie nazywano nigdy jej prawdziwym imieniem: jej bracia, kiedy byli z niej zadowoleni, wołali na nią Kizia, a kiedy byli niezadowoleni — Kocica. Cała trójka chodziła do szkoły w jednym z miasteczek Zachodniej Anglii — oczywiście chłopcy do jednej szkoły, a dziewczynki do innej; rozsądny bowiem zwyczaj posyłania chłopców i dziewcząt do tych samych szkół nie był wówczas jeszcze tak powszechny jak dzisiaj. A ponieważ mieszkali w internatach szkolnych, więc spotykali się zazwyczaj w soboty i niedziele w domu pewnej miłej starej panny. Był to jednak jeden z tych domów, gdzie niepodobieństwem jest jakakolwiek zabawa.

Na pewno znacie ten rodzaj domów, prawda? W atmosferze takich domów jest coś takiego, że nawet kiedy zostajecie sami, ledwo potraficie zamienić między sobą parę słów, a cóż dopiero mówić o zabawie — wydawałaby się czymś wręcz nienaturalnym i nie na miejscu. Toteż cała trójka wyczekiwała nadejścia wakacji, kiedy wszyscy wrócą do domu i będą razem przez cały długi dzień; do domu, gdzie gry i zabawy były czymś naturalnym, a rozmowa zupełnie dopuszczalna, i gdzie w okolicznych lasach i na polach zawsze można było robić lub zobaczyć coś interesującego.

Ich kuzynka, Betty, miała również spędzać z nimi wakacje, toteż układali najrozmaitsze plany. W szkole Betty lekcje kończyły się wcześniej, więc Betty pierwsza znalazła się na wsi we wspólnym rodzinnym domu. Ale skoro tylko tam przyjechała, zachorowała na odrę, wskutek czego nasza trójka nie mogła jechać do domu. Możecie sobie wyobrazić ich uczucia! Myśl o spędzeniu siedmiu tygodni u starej panny, miss Hervey, była nie do zniesienia, o czym cała trójka rozpisala się obszernie w listach do domu. Zdumiało to ogromnie ich rodziców, zawsze bowiem byli głęboko przekonani, że niedzielne odwiedziny u drogiej miss Hervey są dla dzieci wielką przyjemnością. W końcu jednak rodzice, jak wyraził się Gerald, okazali się „fajni”, i w rezultacie, po długiej wymianie mnóstwa listów i depesz postanowiono, że chłopcy zamieszkażą na czas wakacji w szkole Kathleen, gdzie teraz nie było już wcale dziewczynek ani nauczycielek z wyjątkiem Francuzki.

— Tu będzie nam znacznie lepiej niż u miss Hervey — powiedziała Kathleen, kiedy chłopcy przyszli, by spytać mademoiselle, kiedy mogą zjawić się w internacie — nie mówiąc już o tym, że nasza szkoła nie jest nawet w połowie tak brzydka jak wasza. U nas stoły nakrywa się obrusami i w oknach są firanki, a wasza szkoła to same tablice, ławki i atrament.

Kiedy chłopcy poszli spakować się, Kathleen przybrała wszystkie pokoje kwiatami, jak tylko mogła najpiękniej, układając je w słoikach po marmoladzie. Były to głównie nagietki, ponieważ w ogrodzie za domem nie rosło prawie nic innego. W ogródku od frontu kwitły geranie, lwie paszcze i lobelie, ale tych, oczywiście, dzieciom nie wolno było zrywać.

— Powinniśmy wymyślić jakiś rodzaj gry, w którą moglibyśmy się bawić przez całe wakacje — odezwała się Kathleen, kiedy po podwieczorku wypakowała i ułożyła ubranie i bieliznę chłopców w malowanej komodzie. Miała poczucie osoby bardzo dorosłej i starannej, kiedy tak układała porządnie rozmaite części odzieży jedne na drugich w poszczególnych szufladach. — A może byśmy tak napisali książkę?

— Nie potrafisz — rzekł Jimmy.

— Nie myślałam, naturalnie, tylko o sobie — odparła Kathleen, nieco urazona — miałam na myśli nas wszystkich.

— Za duża harówka — wtrącił lakonicznie Gerald.

— Gdybyśmy napisali książkę — obstawała przy swoim Kathleen — o tym, jak wygląda naprawdę szkoła od środka, to wszyscy by to czytali i mówili, że był to świetny pomysł.

— Raczej by nas stąd wypędzono — powiedział Gerald.

— Nie, musimy wymyślić jakąś zabawę na dworze — w bandytów czy coś w tym rodzaju. Nieźle byłoby mieć dla siebie jaskinię, gdzie przechowywalibyśmy nasze zapasy i gdzie moglibyśmy jadać.

— Nie ma tu żadnych jaskiń — zawołał Jimmy, który zawsze lubił z każdym się spierać. — A poza tym wasza droga mamzelle z pewnością nie pozwoli nam wychodzić samym z domu.

— Och, to jeszcze zobaczymy — odparł Gerald. — Pójdę do niej i pogadam z nią ojcowskim tonem.

— Z takim wyglądem? — Kathleen wskazała nań z pogardą palcem, a Gerald przyjrzał się sobie w lustrze.

— Wyszczotkowanie włosów i ubrania oraz umycie twarzy i rąk było to coś, z czym nasz bohater uporał się w oka mgnieniu — wyrecytował Gerald i natychmiast zabrał się do wprowadzenia w czyn swoich słów.

Chłopiec był grzecznym, szczupłym brunetem o inteligentnym wyrazie twarzy. Zapukał do drzwi saloniku, gdzie siedziała mademoiselle, czytając książkę w żółtej okładce i rozmawiając o nie spełnionych pragnieniach. Gerald zawsze potrafił w jednej chwili nadać sobie wygląd układnego chłopczyka, co bardzo przydawało się w obcowaniu z dorosłymi, zwłaszcza nieznanymi. Rzecz polegała na tym, że otwierał możliwie szeroko swe szare oczy, układał usta w podkówkę i przybierał łagodny i proszący wyraz, trochę jak Mały Lord (nawiasem mówiąc, ten ostatni musi być teraz starą, okropną piłą).

— Entrez \*! — zawołała po francusku mademoiselle.

Gerald więc wszedł do jej pokoju.

— Eh bien \*\*? — spytała dość niecierpliwie.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — rzekł Gerald ugrzecznionym tonem.

— Ależ nie — odparła już łagodniej mademoiselle. — Czy masz jakieś życzenie?

— Myślałem, że powinienem przyjść i przywitać się z panią — wyjaśnił Gerald — bo pani jest tutaj panią domu.

To mówiąc, wyciągnął świeżo umytą rękę, wciąż jeszcze mokrawą i czerwoną. Mademoiselle uściśnęła ją.

— Jesteś bardzo dobrze wychowanym chłopcem — powiedziała.

— Ach, nie — odparł Gerald tonem jeszcze grzeczniejszym niż zawsze. — Bardzo pani współczuję. To musi być okropne zajmować się nami przez całe wakacje.

— Nic podobnego — zaprzeczyła z kolei mademoiselle. — Jestem pewna, że cała wasza trójka okaże się bardzo przykładna.

Spojrzenie Geralda zdawało się ją zapewniać, że i on, i dwoje pozostałych będą sprawować się niczym aniołki, jak to dzieci potrafią, nie wyrzekając się swej ludzkiej natury.

— Będziemy się starali — powiedział poważnie.

— A może czegoś sobie życycie? — zapytała uprzejmie Francuzka.

— Ach, nie, dziękuję bardzo — rzekł Gerald. — Nie chcemy, żeby pani miała z nami jakiegokolwiek kłopoty. I właśnie pomyślałem sobie, że oszczędzilibyśmy pani kłopotów, gdybyśmy jutro poszli na cały dzień do lasu, zabierając z sobą obiad, jakieś zimne jedzenie, wie pani, tak żeby i kucharce zaoszczędzić kłopotu.

— Troszczysz się o wszystkich — powiedziała chłodno mademoiselle. Ale w tym momencie w oczach Geralda zjawiał się uśmiech; umiał to robić nadając równocześnie ustom wyraz pełen powagi. Mademoiselle spostrzegła ten uśmiech i roześmiała się. Gerald roze-

\* Entrez! (franc.) — Proszę wejść!

\*\* Eh bien? (franc.) — No i co?

śmiał się również.

— Ach, ty mały oszuście! — zawołała Francuzka. — Dlaczego nie powiesz od razu, że chcecie uwolnić się od surveillance — jak to będzie po angielsku — od nadzoru — zamiast udawać, że chcielibyście mi sprawić przyjemność?

— Trzeba być bardzo ostrożnym z dorosłymi — rzekł Gerald — ale to naprawdę nie jest udawanie. Rzeczywiście n i e c h c e m y sprawiać pani kłopotu, rzeczywiście nie chcemy...

— Sprawiać mi kłopotu. To już wiem. Eh bien! A czy wasi rodzice pozwalają na takie całodzienne wycieczki do lasu?

— O, tak — odparł Gerald z odcieniem szczerzej prawdy w głosie.

— W takim razie nie będę gorszym smokiem niż wasi rodzice. I uprzedzę kucharkę. Jesteś zadowolony?

— Bardzo! — zawołał Gerald. — Mademoiselle, pani jest naprawdę kochana, chérie — kochana. I nie będzie pani tego żałować. Czy możemy pani w czymś dopomóc — zwinąć włóczkę albo poszukać pani okularów, a może...

— Uważasz mnie za babunię! — roześmiała się mademoiselle serdecznie. — Wracaj teraz do twego rodzeństwa i nie bądźcie bardziej psotni niż musicie.

\*

— No, i jak się to udało? — spytała Kathleen i Jimmy.

— Wszystko w porządku — odparł obojętnym tonem Gerald. — Mówiłem wam, że tak będzie. Pomysłowy młodzieniec zdobył względy cudzoziemskiej guwernantki, która za młodu była znaną piękną w swej skromnej wiosce.

— Myślę — rzekła Kathleen — że nigdy tak nie było. Ona jest za surowa.

— A! — zawołał Gerald. — Dla was jest surowa, bo nie wiecie, jak z nią postępować. Z e m n ą nie była surowa.

— A swoją drogą — wtrącił Jimmy — jaki z ciebie nabieracz!

— Nic podobnego! Ja jestem dyp... dyp... no, jak to się nazywa? Coś w rodzaju ambasadora. Dypsoplomata — oto czym jestem. W każdym razie mamy jutro cały dzień dla siebie i jeżeli nie znajdziemy jaskini, to nie nazywam się Jack Robinson.

Mademoiselle, mniej surowa, niż kiedykolwiek widziała ją Kathleen, usiadła na honorowym miejscu przy kolacji złożonej z kromek chleba posmarowanych syropem wiele godzin temu i teraz bardziej twardych i suchych niż jakiegokolwiek inne jedzenie. Gerald bardzo uprzejmie przysunął jej masło i ser i poprosił, aby skosztowała chleba z syropem.

— Ba! Przecież to trzeszczy w ustach jak piasek, co za twardzizna! Czy możliwe, żeby wam smakowało?

— Nie — odparł Gerald — nie jest to możliwe, ale grzeczni chłopcy nie powinni robić uwag na temat tego, co dostają do jedzenia.

Mademoiselle roześmiała się i odtąd nie było już na kolację czerstwego chleba z syropem.

— Jak ty to robisz? — szepnęła z podziwem Kathleen, gdy już powiedzieli Francuzce dobranoc.

— Ach, to zupełnie łatwe, jeśli tylko umiesz wytłumaczyć dorosłemu, o co ci naprawdę chodzi. Zobaczysz, że w dalszym ciągu będę ją wodził w jedwabnych cuglach.

Następnego ranka Gerald wstał wcześniej i zerwał kilka różowych goździków, jakie wyrosły pośród nagietek. Ułożył z nich bukiet, przewiązał czarną tasiemką i umieścił na talerzu mademoiselle. Francuzka uśmiechnęła się, a gdy przypięła sobie kwiaty do sukni, było jej z nimi bardzo do twarzy.

— Czy uważasz — zapytał później Jimmy — że to całkiem w porządku, jeśli się przepakuje ludzi kwiatami i innymi rzeczami albo podsuwając im sól, żeby pozwolili ci robić to,

na co masz ochotę?

— Wcale tak nie jest — wtrąciła nagle Kathleen. — Ja wiem, o co Geraldowi chodzi. Tylko że ja o tych rzeczach nigdy nie pomyślę na czas. Zrozum, jeżeli chcesz, żeby dorośli byli dla ciebie dobrzy, to przynajmniej tyle możesz zrobić, żeby być dobrym dla nich i pamiętać o drobiazgach, które sprawiają im przyjemność. Ja o tym nigdy nie pamiętam, a Jerry pamięta. Dlatego właśnie lubią go wszystkie starsze panie. To nie jest wcale przekupstwo. Przeciwnie, to jest rodzaj uczciwości — jak płacenie za to, co się kupuje.

— Tak czy owak — zakończył dyskusję Jimmy — jutro spędzimy wspaniały dzień w lesie.

Istotnie, tak się stało.

Szeroka ulica Główna, nawet o tej ruchliwej porze dnia spokojna i jakby senna, leżała skąpana w słońcu. Liście na drzewach błyszczały po wczorajszym wieczornym deszczu, lecz droga była sucha i nawet kurz błyszczał w promieniach słonecznych niczym brylanty. Po obu stronach drogi piękne stare domy, krzepkie i mocne, wyglądały tak, jakby z przyjemnością pławiły się w słońcu.

— Ale czy tutaj są jakieś lasy? — spytała Kathleen, gdy przechodzili przez rynek.

— Lasy wcale nie są takie ważne — odparł z namysłem Gerald. — Najważniejsze jest to, że c o ś przecież znajdziemy. Jeden chłopak mówił mi, że jego ojciec mu opowiadał, że w czasach, kiedy ten ojciec był chłopcem, istniała mała jaskinia pod skarpą w jakiejś uliczce niedaleko od ulicy Główniej. Ale ten sam chłopiec zapewniał mnie, że był tam również zaczarowany zamek, więc możliwe, że opowieść o jaskini też była nieprawdziwa.

— Gdybyśmy zdobyli gdzieś rogi — rzekła Kathleen — i dęli w nie bezustannie, a przy tym bardzo głośno, to może znaleźlibyśmy i zaczarowany zamek.

— Jeżeli — wtrącił wzgardliwie Jimmy — masz dosyć pieniędzy, żeby je wyrzucać na rogi...

— A właśnie, że mam! Widzisz? — zawołała Kathleen.

Wobec tego kupili rogi w małym sklepiku, którego wystawa pełna była najrozmaitszych zabawek, a także słodczy, ogórków i kwaśnych jabłek.

Po chwili na spokojnym placu obok kościoła na krańcu miasteczka i w domach najbardziej szacownych mieszkańców rozległo się donośne echo rozbrzmiewających rogów. Ale żaden z tych domów nie przekształcił się w zaczarowany zamek.

Ruszyli więc dalej ulicą Główną, na której panował upał i unosił się kurz. Postanowili wypić jedną z zabranych butelek oranżady.

— Z równym powodzeniem — orzekł Jimmy — możemy nieść oranżadę w naszych żołądkach jak w butelce. A butelkę możemy schować przy drodze i zabrać ją wracając.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie droga, jak powiedział Gerald, rozbiegała się w dwóch kierunkach naraz.

— T o wygląda już na przygodę — rzekła Kathleen.

Podążyli drogą skracającą na prawo, a gdy doszli do następnego rozwidlenia, skręcili w lewo, zgodnie, jak powiedział Jimmy, z wymogami sprawiedliwości. Potem znów skręcili w prawo, a następnie w lewo i tak dalej, aż wreszcie stracili zupełnie orientację.

— Z u p e ł n i e! — wykrzyknęła Kathleen. — To wspaniałe!

Drzewa tworzyły tutaj łuk nad głowami, a pobocza drogi były wysokie i zarośnięte krzakami. Poszukiwacze przygód dawno już przestali dąć w rogi. Okazało się to po prostu zanadto męczące w marszu, a poza tym nie było tu nikogo, komu mogłoby to przeszkadzać.

— Słuchajcie — zawołał nagle Jimmy — przysiadźmy sobie tutaj i zjedźmy część naszego obiadu. Możemy to nazwać drugim śniadaniem — dodał z perswazją w głosie.

Usiedli zatem na najbliższym murku i zjedli dojrzały czerwony agrest, który miał stanowić deser.

Kiedy siedzieli, wyczyrując i pragnąc jedynie, żeby ich buty nie były tak wypchane

nogami, Gerald oparł się plecami o krzaki, a krzaki nagle przechyliły się tak, że Gerald omal nie wyrzucił się do tyłu. Coś ustąpiło pod naciskiem jego pleców i rozległ się odgłos, jakby coś ciężkiego upadło.

— Ojej! — krzyknął Gerald, odzyskując równowagę. — Tam jest jakaś dziura. Kamień, o, który się oparłem, zleciał!

— Ach, gdyby to była jaskinia! — rzekł Jimmy. — Ale naturalnie okaże się, że nie.

— Jeżeli będziemy dać w rogi, to może okaże się, że tak! — zawołała Kathleen i skwapliwie zaczęła dać w swój róg.

Gerald sięgnął ręką w głąb krzaków.

— Nie wyczuwam tu nic — powiedział — poza powietrzem. Widocznie tam jest dziura wypełniona pustką.

Kathleen i Jimmy poszli za jego przykładem. Istotnie, w poboczu drogi była najwidoczniej dziura.

— Zobaczę, co tam jest w środku — oświadczył Gerald.

— Ach, nie rób tego! — zawołała Kathleen. — Naprawdę, nie rób tego. Przecież tam mogą być węże.

— Nie sądzę — odparł Gerald, po czym pochylił się do przodu i zapalił zapałkę. — To naprawdę jaskinia! — wykrzyknął. Oparł kolano o omszały kamień, na którym siedział, wgramolił się na wierzch i znikł.

Zapadło głucho milczenie.

— Nic ci się nie stało? — zapytał wreszcie Jimmy.

— Nie, chodźcie i wy. Tylko wsuńcie się nogami naprzód, nie głową, bo tu jest spory spadek.

— Teraz ja — rzekła Kathleen i wsunęła nogi w otwór. I zaraz zaczęła wymachiwać nimi w powietrzu.

— Uważaj! — zawołał z mroku Gerald — bo wybijesz mi oko. Nogi w dół! W dół, nie w górę! Nie próbuj tutaj latać, bo nie ma dosyć miejsca.

To mówiąc, przycisnął jej nogi do ziemi, a następnie pomógł siostrze wstać, podnosząc ją za ramiona. Kathleen poczuła szelest zeschniętych liści pod stopami i stanęła obok Geralda, czekając na Jimmy'ego, który dał nurka głową naprzód, jak ktoś skaczący do głębokiej wody.

— Widzisz, to j e s t jaskinia — rzekła Kathleen.

— Młodociągni badacze — wyjaśnił Gerald, zasłaniając sobą wejście do jaskini — znieruchomieli najpierw, gdyż oślepiła ich ciemność jaskini, tak że nie mogli nic dostrzec.

— Ciemność nie oślepiła — oświadczył Jimmy.

— Szkoda, że nie mamy świecy — rzekła Kathleen.

— Owszem, oślepiła — podjął Gerald — tak że nie mogli nic dostrzec. Lecz ich nieustraszonego przywódcę, którego oczy tymczasem przywykły do ciemności, podczas gdy niezgrabne kształty pozostałych zasłaniały wejście, dokonał pewnego odkrycia.

— Co, co? — zawołali Kathleen i Jimmy. Przyzwyczajeni byli do sposobu, w jaki Gerald opisywał zdarzenia grając równocześnie taką lub inną rolę. Czasem jednak woleliby, aby nie mówił tak długo i tak książkowo, szczególnie w chwilach wielkiego napięcia.

— Wódz nie zdradził straszliwej tajemnicy swym wiernym współtowarzyszom, dopóki wszyscy nie dali słowa honoru, że zachowają spokój.

— Zachowamy, zachowamy! — przerwał mu niecierpliwie Jimmy.

— W takim razie — powiedział Gerald, przestając nagle być książką i stając się na powrót chłopcem — w takim razie, patrzcie, tam widać światło! Spójrzcie poza siebie!

Spojrzeli i rzeczywiście tak było. Słaba szarość rozświetlająca nieznacznie mroczne ściany jaskini i szarość jaśniejsza, odcinająca się ostro od ciemnej linii, świadczyły, że gdzieś za jakimś zakrętem pieczary świeci światło dnia.

— Bacność! — zawołał Gerald (w każdym razie taki był sens jego okrzyku, choć sły-

chać było tylko niewyraźne „ość”), jak przystało na syna żołnierza. Dwoje pozostałych odruchowo wykonało rozkaz.

— Będziecie stali na baczność, póki nie zawołam: „Powoli marsz!” Wtedy ruszycie ostrożnie naprzód w zwartym szyku za waszym bohaterskim przywódcą, bacząc, by nie nastąpić na zabitych czy rannych.

— Przestań! — szepnęła Kathleen.

— Nie ma żadnych zabitych ani rannych — powiedział Jimmy, szukając w mroku jej ręki. — On tylko miał na myśli, żebyśmy uważali, bo można się potknąć o kamień czy o coś takiego.

W tej samej chwili ujął ją za rękę i dziewczynka krzyknęła.

— To tylko ja — rzekł Jimmy. — Myślałem, że chcesz, żeby ci pomóc iść. Ale ty zachowujesz się oczywiście jak dziewczyna.

Oczy całej trójki zaczęły teraz przyzwyczajać się do mroku i widzieli coraz wyraźniej, że znajdują się w kamienistej jaskini, ciągnącej się przed nimi trzy czy cztery jardy \*, a następnie skręcającej gwałtownie w prawo.

— Śmierć albo zwycięstwo! — wykrzyknął Gerald. — A teraz wolnym krokiem marsz!

Posuwał się naprzód ostrożnie, stąpając po piasku i kamieniach pokrywających dno jaskini.

— Żagiel, żagiel! — wykrzyknął, gdy doszedł do zakrętu.

— Wspaniale! — odetchnęła z ulgą Kathleen, wychodząc na słońce.

— Nie widzę żadnego żagla — rzekł, wyłaniając się za nimi, Jimmy.

Wąskie przejście kończyło się zaokrąglonym łukiem obrosniętym pnączami i paprocią. Przeszli pod łukiem i znaleźli się w głębokim, wąskim wąwozie, którego zbocza pokrywały omszałe kamienie. W szczelinach między kamieniami rosły paprocie i wysoka trawa. Korony drzew rosnących na krawędzi zboczy łączyły się w górze, tak że światło słoneczne kładło na dnie wąwozu na przemian jaśniejsze i ciemniejsze plamy, przekształcając go w złocistozielony korytarz pokryty liściastym sklepieniem. Środkiem biegła dróżka wyłożona szarozielonymi kamiennymi płytami, pokrytymi opadłymi liśćmi. Dróżka wiodła ostrym spadkiem w dół, a u jej krańca widoczny był drugi zaokrąglony łuk, ciemny wewnątrz, a z zewnątrz porośnięty trawą i krzakami.

— To wygląda jak wjazd do tunelu kolejowego — powiedział Jimmy.

— To wejście do zaczarowanego zamku — oświadczyła Kathleen. — Musimy dać w rogi.

— Spokój! — zawołał Gerald. — Dzielny dowódca powściągnął głupią gadaninę swoich podwładnych...

— Mnie się to podoba! — obruszył się Jimmy.

— Myślę — podjął Gerald — że ci się podoba... swoich podkomendnych i kazał im posuwać się naprzód ostrożnie i w zupełnym milczeniu, ponieważ w pobliżu mógł ktoś być, a za drugim łukiem mogła znajdować się lodownia czy coś niebezpiecznego.

— Co? — spytała z niepokojem Kathleen.

— Może niedźwiedzie — odparł sucho Gerald.

— Niedźwiedzie znajdują się zawsze za kratami — wyjaśnił Jimmy. — Tak jest przynajmniej w Anglii.

— Szybkim krokiem marsz! — zawołał w odpowiedzi Gerald.

Cała trójka ruszyła naprzód. Pod opadłymi, wilgotnymi liśćmi, szeleszczącymi pod ich stopami, ciągnęła się kamienista dróżka. Wiodła do ciemnego łuku, przy którym się zatrzymali.

— Tu są schody w dół — powiedział Jimmy.

\* Jard (ang.) — angielska i północnoamerykańska miara długości = 91,4 cm.

— To j e s t lodownia — odparł Gerald.

— Lepiej nie chodźmy — szepnęła Kathleen.

— Nasz bohater — rzekł Gerald — którego nic nie mogło powstrzymać, podniósł upadające nadzieje swoich nędznych podwładnych, stwierdzając, że on niewątpliwie pójdzie dalej, oni zaś mogą robić, co im się podoba.

— Jeżeli zaczynasz nam wymyślać — zawołał Jimmy — to możesz naprawdę iść sam. No, idź! — dodał.

— To należy do gry, głuptasie — wyjaśnił uprzejmie Gerald. — Jutro ty możesz być dowódcą, więc teraz lepiej zamknij paszczkę i pomyśl sobie, jak będziesz nam wymyślał, jak przyjdzie kolej na ciebie.

Szli po schodach bardzo powoli i ostrożnie. Kamienny strop wznosił się nad ich głowami. Gdy wymacali stopami, że schody się skończyły, Gerald zapalił zapałkę. Jej blask ukazał im początek przejścia skręcającego w lewo.

— Tędy — rzekł Jimmy — wrócimy z powrotem na drogę.

— Albo znajdziemy się pod nią — odparł Gerald. — Przecież zeszedliśmy jedenaste stopni w dół.

Ruszyli przed siebie z dowódcą na przedzie, który posuwał się bardzo wolno, gdyż po drodze, jak wyjaśnił, mogły być znowu schody. W przejściu było zupełnie ciemno.

— Wcale mi się to nie podoba — szepnęła Jimmy.

Wreszcie dostrzegli przebłysk światła dziennego, które z każdą chwilą natężało się. Doszli w końcu do jeszcze jednego łuku, za którym otwierał się widok tak przypominający ilustrację z książki o Włoszech, że wszystkim zapało oddech. Szli dalej w milczeniu i w zachwyceniu. Krótka aleja cyprysów wiodła, rozszerzając się coraz bardziej, do marmurowego rozległego tarasu bielejącego w blasku słońca.

Dzieci, mrugając oczyma, oparły się ramionami o szeroką, płaską balustradę i spojrzwały przed siebie. Tuż pod nimi widać było jezioro — zupełnie jak jeziora w „Pięknościach Italii” — jezioro z łabędziami, wysepką i płaczącymi wierzbami. Dalej widniały zielone zbocza porośnięte grupami drzew, a między drzewami lśniły białe kształty posągów. Na małym pagórku po lewej stronie wznosiła się okrągła, biała budowla wsparta na kolumnach, na prawo zaś huczał wodospad, niosąc swe wody po omszałych kamieniach, by spaść do jeziora. Szerokie schody wiodły z tarasu nad brzeg wody, inne zaś, z drugiej strony, ku zielonym trawnikom tuż obok. Dalej, na trawiastych wzniesieniach, pały się sarny. A na widnokręgu, gdzie grupy drzew zagęszczały się, tworząc nieomal las, rysowały się olbrzymie kształty z szarego kamienia, jakich dzieci nigdy jeszcze dotąd nie widziały.

— Ten mój kolega w szkole... — zaczął Gerald.

— To j e s t zaczarowany zamek — powiedziała Kathleen.

— Nie widzę tu żadnego zamku — odparł Jimmy.

— A jak to w takim razie nazwiesz? — Gerald wskazał w kierunku, gdzie za aleją lipową wznosiły się białe wieże i wieżyczki odcinające się wyraźnie na błękitnym tle nieba.

— Nikogo tu nie widać — rzekła Kathleen — a jednak trawa jest taka gładziutka. To muszą być chyba czary.

— Czarodziejskie kosiarki — poddał Jimmy.

— Gdybyśmy byli w książce — rzekła Kathleen — to byłby zaczarowany zamek: z całą pewnością.

— To j e s t zaczarowany zamek — powiedział głuchym głosem Gerald.

— Przecież go wcale nie widać — obstawał przy swoim Jimmy.

— Skąd wiesz? Czy myślisz, że na świecie nie ma nic poza tym, co t y widzisz? — Wzgarda Geralda była miażdżąca.

— Myślę — upierał się Jimmy — że czary przestały istnieć, kiedy zjawiły się maszyny parowe, gazety, telefon i telegraf bez drutu.



— Jak się nad tym dobrze zastanowić — powiedział Gerald — to telegraf bez drutu bardzo przypomina czary.

— E, t a k i e czary! — odparł Jimmy z głęboką wzdargą.

— Może — wtrąciła Kathleen — czary zanikły, bo ludzie przestali w nie wierzyć.

— No, nie psujmy sobie zabawy jakimś tam głupim niewierzeniem — orzekł stanowczo Gerald. — Co do mnie, to będę z całych sił wierzył w czary. To jest zaczarowany ogród, tam widać zaczarowany zamek, który z wielką przyjemnością zwiedzę. Rycerz nieustraszony ruszył przodem, pozwalając swym ciemnym giermkom iść za sobą lub nie, zależnie od ich widzimisie.

Zeskoczył z balustrady i pewnym krokiem poszedł w stronę trawnika. Odgłos jego kroków na kamieniach wskazywał na pełne zdecydowanie.

Pozostałych dwoje podążyło za nim. Nigdzie nie było takiego ogrodu, chyba na obrazku lub w bajce. Przeszli bardzo blisko sarenek, które wcale nie wydawały się przestraszone i tylko uniosły swe piękne łebki, aby przyjrzeć się dzieciom. Nasza trójka doszła do końca trawnika, potem przemierzyła aleję lipową, pod wspaniałymi drzewami, aż dotarła do klombu róż opasanego gęstym strzyżonym żywopłotem z cisów. Róże lśniły w słońcu czerwienią, różowością, zielenią i bielą niczym wielobarwna i wonna olbrzymia chustka do nosa.

— Jestem pewna, że za chwilę spotkamy ogrodnika, który zapyta nas, co tutaj robimy. I co wtedy powiemy? — zagadnęła Kathleen wtykając nos w różę.

— Powiem mu — odparł Gerald — że zabłądziliśmy, co będzie zupełną prawdą.

Nie spotkali jednak ani ogrodnika, ani nikogo innego, a poczucie czarów pogłębiło się tak dalece, że przerażał ich nawet odgłos ich własnych kroków w ogromnej, otaczającej ich ciszy. Z drugiej strony rozarium w żywopłocie cisowym wycięte było łukowate przejście i był to początek labiryntu, jaki oglądali kiedyś w jednym z królewskich ogrodów.

— Zapamiętajcie sobie teraz moje słowa — rzekł Gerald. — W środku tego labiryntu odkryjemy tajemnicę czarów. Dobądźcie waszych mieczy, dzielni moi żołnierze, i ruszajmy naprzód w zupełnym milczeniu.

I tak się też stało.

W labiryncie, wśród ciasno rosnących cisów, było bardzo gorąco, a droga do serca labiryntu była dobrze ukryta. Raz po raz znajdowali się na powrót przy łukowatym wejściu do rozarium i pocieszali się tylko tym, że wszyscy mieli przy sobie duże, czyste chusteczki do nosa.

Kiedy znaleźli się tam po raz czwarty, Jimmy nagle zawołał:

— Chciałbym już... — po czym nagle sam sobie przerwał i dodał zupełnie innym głosem: — A gdzie jest obiad?

Wtedy też w zapadłej nagle ciszy wszyscy przypomnieli sobie, że koszyk z jedzeniem zostawili u wejścia do jaskini. Ich myśli zaczęły krążyć tęsknie wokół plastrów zimnej baraniny, sześciu pomidorów, chleba z masłem, papierka z solą, placka z jabłkami i małej, pękatej szklaneczki, z której pije się oranżadę.

— Wracajmy czym prędzej — zaproponował Jimmy — odszukajmy jedzenie i zjedzmy obiad.

— Nie — sprzeciwił się Gerald — zrobmy jeszcze jedną próbę z labiryntem. Nie znośszę porzucać raz zaczętego przedsięwzięcia.

— Kiedy jestem strasznie głodny — rzekł Jimmy.

— Dlaczego nic o tym dotąd nie mówiłeś? — spytał z goryczą Gerald.

— Bo dotąd nie byłem głodny.

— To nie możesz być głodny teraz. Nikt nie staje się głodny w ciągu jednej minuty. O! A to co?

„To” było przebłyskiem czerwieni u stóp cisowego żywopłotu — cieniutka linijka, której by się pewnie nie zauważyło, gdyby się nie wgapiało tępo i ze złością w korzenie żywo-

plotu.

Była to czerwona nić. Gerald podniósł ją z ziemi. Jeden koniec nitki przywiązany był do naparstka z dziurkami, a drugi...

— Nie ma drugiego końca — stwierdził tryumfalnie Gerald. — To trop, najwyraźniej trop i czy warto teraz mówić o zimnej baraninie? Zawsze byłem pewien, że coś czarodziejskiego zdarzy się pewnego dnia, i teraz to się stało.

— Pewnie ogrodnik ją tutaj rzucił — rzekł Jimmy.

— Przywiązaną do srebrnego naparstka królowny? Patrzcie! Na naparstku jest korona.

Istotnie tak było.

— Chodźcie — powiedział Gerald niskim, nagłym głosem — jeżeli się jest poszukiwaczem przygód, to trzeba nim być. A poza tym przypuszczam, że już kilka godzin temu ktoś przechodzący drogą zabrał baraninę.

Gerald poszedł naprzód, a idąc, nawijał sobie czerwoną nić wokół palców. I nić naprawdę była tropem, gdyż zawiodła ich prosto do środka labiryntu. A tam, w samym środku labiryntu, ujrzeli rzecz zadziwiającą.

Czerwony trop zaprowadził ich po dwóch schodkach w górę do okrągłego trawnika. Pośrodku trawnika był zegar słoneczny, a naokoło, przy żywopłocie, niskie, szerokie marmurowe ławy. Czerwona nić biegła prosto na trawnik, tuż obok zegara słonecznego, a jej drugi koniec spoczywał w małej brunatnej dłoni z pięknymi pierścionkami na każdym palcu. Rączka naturalnie złączona była z ramieniem, pokrytym licznymi bransoletami, połyskującymi od czerwonych, szafirowych i zielonych kamieni. Ramię okrywał rękaw z różowozłotego brokatu, zblakłego tu i ówdzie, lecz nadal wspaniałego. Rękaw z kolei był częścią sukni, jaką miała na sobie kobieca postać uśpiona i spoczywająca w słońcu na marmurowej ławie. Różowozłociste fałdy sukni opadały w dół, ukazując haftowaną hałeczkę łagodnej zielonej barwy, obszytą pożyłką od starości koronką koloru kremowej śmietanki. Twarz leżącej pokrywał przejrzysty, biały welon obsypany srebrzystymi gwiazdkami.

— To zaczarowana królowna — rzekł Gerald, bardzo tym razem przejęty. — A nie mówiłem?

— To Śpiąca Królowna — odparła Kathleen. — Na pewno. Patrzcie, jaki ma staroświecki strój, jak na obrazkach z damami dworu Marii Antoniny \* w podręczniku historii. Śpi tak już od stu lat. Ach, Gerald, ty jesteś najstarszy, więc ty musisz być królewiczem, choć nie mieliśmy o tym pojęcia.

— Ona wcale nie jest królowną — wtrącił Jimmy. Ale pozostałych dwoje dzieci wyśmiało go. Poniekąd dlatego, że mówienie takich rzeczy mogło zepsuć każdą zabawę, a częściowo dlatego, że oni sami nie mieli wątpliwości, iż przed nimi leży nieruchomo w słońcu królowna. Każdy szczegół rozwijającej się przygody — jaskinia, cudowne ogrody, labirynt, czerwona nić — pogłębiał wrażenie czarów, tak że teraz Kathleen i Gerald sami byli nieomal zaczarowani.

— Unieś welon, Jerry — szepnęła Kathleen. — Jeżeli okaże się, że nie jest piękną, będziemy wiedzieli, że to nie jest królowna.

— Unieś go ty sama — odparł Gerald.

— Myślę, że figur woskowych nie wolno dotykać — rzekł Jimmy.

— To nie wosk, głuptasku — odparł starszy brat.

— Nie — wyjaśniła siostrzyczka — wosk rozpuściłby się w takim słońcu. Zresztą widać, jak ona oddycha. To królowna, z całą pewnością.

Mówiąc to, bardzo delikatnie ujęła za skraj welonu i odsunęła go. Ukazała się twarz królowny, szczupła i biała, okolona długimi warkoczami czarnych włosów. Nosek miała prosty, a brwi ślicznie zarysowane. Parę piegów widniało na jej policzkach i nosie.

\* Maria Antonina (1755—1793) — królowa francuska, żona Ludwika XVI.

— Nic dziwnego — szepnęła Kathleen — śpi od tyłu już lat w takim słońcu. Jej usta też nie były płatkami róży. A mimo to...

— Prześliczna! — wyszeptała Kathleen.

— Tak, nieźle wygląda — rozległ się głos Geralda.

— A teraz, Jerry — powiedziała stanowczo Kathleen — pamiętaj, że jesteś najstarszy.

— Oczywiście — przyznał niechętnie Gerald.

— W takim razie musisz zbudzić królową.

— Ona wcale nie jest królową — upierał się Jimmy z rękoma w kieszeniach swych krótkich spodenek. — To po prostu mała dziewczynka w przebraniu.

— Ale ma długą suknię — upierała się Kathleen.

— Tak, ale popatrz, jak daleko suknia sięga poza jej stopy. Gdyby wstała, nie byłaby wyższa niż Jerry.

— O, właśnie, Jerry — nalegała Kathleen — nie bądź uparty. Przecież musisz to zrobić.

— Co zrobić? — spytał Gerald, kopiąc swój lewy but prawym.

— Jak to: co? Oczywiście zbudzić ją pocałunkiem.

— Nie ja! — zawołał bez namysłu Gerald.

— Przecież ktoś musi to zrobić.

— Dałaby mi wcieranie, jak tylko bym ją zbudził — powiedział z troską w głosie Gerald.

— Ja bym ją zaraz pocałowała — odparła Kathleen — ale nie przypuszczam, żeby to mogło mieć jakieś znaczenie.

Pocałowała królową, ale nic się nie stało. Królowa nadal była pogrążona w głębokim śnie.

— W takim razie ty musisz spróbować, Jimmy. Myślę, że ty wystarczysz. Odskoocz tylko prędko, zanim cię zdąży trzepnąć.

— Nie trzepnie go — rzekł Gerald — on jest taki mały.

— Sam jesteś mały! — obruszył się Jimmy. — Mogę ją pocałować. Nie jestem tchórzem, jak niektórzy. Tylko jeżeli ją pocałuję, to pod warunkiem, że na resztę dnia będę nieustraszonym wodzem.

— Nie! — krzyknął Gerald. — Zaczekaj... To może już ja...

Nim jednak zdążył dokończyć zdanie, Jimmy złożył głośny pocałunek na bladym policzku królowy. Cała trójka znieruchomiała, czekając z zapartym tchem na wyniki.

A wynik był taki, że królowa rozwarła duże, ciemne oczy, wyprostowała ramiona, ziewnęła zasłaniając usta małą, śniadą rączką i powiedziała zupełnie wyraźnie, tak że nie było miejsca na żadne nieporozumienie:

— A więc sto lat już minęło? Jak wyrósł ten cisowy żywopłot! Kto z was jest moim królewiczem, który przebudził mnie z głębokiego snu trwającego już tyle lat?

— Ja — oświadczył dzielnie Jimmy, bo królowa wcale nie wyglądała na taką, żeby miała kogoś trzepnąć.

— Szlachetny mój wybawco! — powiedziała królowa, wyciągając ku niemu dłoń, którą Jimmy mocno uścisnął.

— Ale — powiedział — pani nie jest prawdziwą królową, prawda?

— Oczywiście, że jestem — odpowiedziała. — A kim miałabym być? Spójrz na moją koronę! — Zerwała gwiazdzisty welon i pokazała koronę wysadzaną, co nawet Jimmy musiał zauważyć, wielkimi brylantami.

— Ale... — odezwał się Jimmy.

— Jak to? — ciągnęła królowa otwierając szeroko oczy — musieliście chyba wiedzieć o mojej tutaj obecności, bo inaczej nigdy byście się nie zjawili. A jak wyminęliście smoki?

Gerald zignorował to pytanie.

— Proszę mi powiedzieć — zagadnął — czy pani rzeczywiście wierzy w czary?

— Jeżeli kto ma wierzyć — odparła — to chyba ja. Patrzcie, oto jest miejsce, w które ukłułam się wrzecionem. I pokazała maleńką bliznę na palcu.

— Więc to rzeczywiście jest zaczarowany zamek?

— Oczywiście, że tak — odparła królowna. — Jacyście wy niemądzy! — Wstała i jej różowa, brokatowa szata spłynęła połyskliwą falą wokół jej stóp.

— A mówiłem, że ta suknia jest na nią za długa — rzekł Jimmy.

— Kiedy zasypiałam, miała odpowiednią długość — odpowiedziała królowna. — Musiała urosnąć w ciągu tych stu lat.

— Wcale nie wierzę, że pani jest królowną — rzekł Jimmy. — W każdym razie...

— Możesz sobie nie wierzyć, jeśli nie masz ochoty — powiedziała królowna. — Ważne jest nie to, w co ty wierzysz, ale kim ja jestem.

Po tych słowach zwróciła się do pozostałych.

— Chodźmy na zamek — rzekła — a pokażę wam wszystkie moje piękne klejnoty i inne rzeczy. Chcecie?

— Tak — odparł z wyraźnym wahaniem Gerald. — Ale...

— Ale co? — zniecierpliwiła się królowna.

— Ale my jesteśmy okropnie głodni.

— Ja też! — zawołała królowna.

— Nie mieliśmy nic w ustach od czasu śniadania.

— A teraz jest trzecia po południu — rzekła królowna, patrząc na zegar słoneczny. — W takim razie nie jedliście nic od wielu, wielu godzin. Ale pomyślcie o mnie. Ja nie miałam nic w ustach od stu lat. Chodźmy na zamek.

— A tam myszy już wszystko zjadły — powiedział ze smutkiem Jimmy. Teraz i on już wierzył, że to prawdziwa królowna.

— Nie, myszy nie mogły nic zjeść — zawołała wesoła królowna. — Pamiętajcie, że tu wszystko było zaczarowane. Czas po prostu znieruchomiał na sto lat. Chodźmy! Tylko jedno z was będzie musiało nieść mój tren; bo inaczej nie będę mogła się ruszyć, skoro wyrósł na tak potworną długość.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy jest się młodym, istnieje mnóstwo rzeczy, w które trudno uwierzyć, a jednak nawet najbardziej tępi ludzie powiedzą wam, że prawdą jest na przykład to, że ziemia krąży dokoła słońca i że nie jest płaska, ale okrągła. Natomiast rzeczy, które wydają się bardzo prawdopodobne, jak na przykład zdarzenia w bajkach i czary, wcale nie są — jak twierdzą dorośli — prawdziwe. A jednak tak łatwo w nie uwierzyć, zwłaszcza kiedy samemu było się ich świadkiem. A ja powtarzam stale, że najbardziej cudowne rzeczy przydarzają się najrozmaitszym ludziom, tylko nigdy się o nich nie słyszy, bo ludzie ci myślą, że nikt im nie uwierzy. I dlatego nie zwierają się oni nikomu z wyjątkiem mnie. A mnie mówią wszystko, bo wiedzą, że potrafię wszystkiemu uwierzyć.

Kiedy Jimmy obudził Śpiącą Królowną, a ona zaprosiła trójkę dzieci, by poszły z nią do jej zamku, żeby coś zjeść, wszyscy wiedzieli z całą pewnością, że trafili na miejsce czarodziejskich wydarzeń. Ruszyli bardzo powoli wzdłuż trawnika w kierunku zamku. Królowna szła przodem, a Kathleen niosła jej błyszczący tren. Za nimi kroczył Jimmy, a Gerald zamykał pochód. Wszyscy troje byli przekonani, że wkroczyli w sam środek jakiejś bajki, a tym łatwiej w to wierzyli, że byli straszliwie zmęczeni i głodni. Byli w istocie tak głodni i zmęcze-

ni, że prawie nie dostrzegali, dokąd zdążają, ani też nie widzieli piękności wspaniałych ogrodów, poprzez które wiodła ich różowo-jedwabna królowna. Zdąжали jakby we śnie, z którego tylko częściowo przebudzili się, gdy się znaleźli w ogromnym hallu, gdzie ściany przyozdobione były zbrojami i starymi sztandarami, a posadzka pokryta skórą dzikich zwierząt, i gdzie pośrodku stały ciężkie dębowe stoły i ławy.

Królowna wkroczyła wolno i majestatycznie do hallu, ale zaraz potem wyrwała swój lśniący tren z rąk Jimmy'ego i zwróciła się do całej trójki.

— Zaczekajcie tu chwilę — rzekła — tylko pamiętajcie: nie rozmawiajcie z sobą, kiedy mnie nie będzie. Zamek jest tak naładowany czarami, że doprawdy nie wiem, co mogłoby się stać, gdybyście rozmawiali.

Z tymi słowy uniosła fałdy swej złotoróżowej szaty, wetknęła je sobie pod ramię i wybiegła „bardzo nie po królewsku”, jak później to określił Jimmy, ukazując w biegu czarne pończochy i czarne buciki na pasek.

Jimmy miał wielką ochotę powiedzieć, że nie wierzy, by coś mogło się stać, bał się jednak, że coś stać się może, jeśli przemówi, więc tylko wykrzywił twarz i wysunął język. Pozostali udawali, że tego nie widzą, co było bardziej miażdżące niż jakiegokolwiek wypowiedziane słowa. Siedzieli więc w milczeniu, a Gerald wiercił obcasem swego buta marmurową posadzkę. Wkrótce potem królowna wróciła, idąc bardzo wolno i za każdym krokiem kopiając przód swojej długiej szaty. Nie mogła jej trzymać pod pachą, ponieważ niosła tacę.

Nie była to srebrna taca, jak moglibyście się spodziewać, ale owalna taca cynowa. Królowna postawiła ją z hałasem na brzegu długiego stołu i odetchnęła z ulgą.

— Ależ to było ciężkie! — powiedziała.

Nie wiem, jakie wspaniałości biesiadne ukazywała dzieciom ich wyobraźnia, w każdym razie rzeczywistość sprawiła im zawód. Na ciężkiej tacy leżał bochenek chleba, kawał sera, a obok stał ciemny dzban z wodą. Resztę ciężaru stanowiły talerze, kubki i noże.

— Pozwólcie — zapraszała gościnnie królowna. — Nie mogłam znaleźć nic poza chlebem i serem, ale to nie ma znaczenia, bo wszystko tu jest zaczarowane, i jeśli tylko nie macie na sumieniu czegoś okropnego, chleb i ser przemienią się, w co tylko zechcecie. A co ty byś chciała? — zwróciła się do Kathleen.

— Pieczonego kurczaka — odparła bez wahania dziewczynka.

Różowa królowna odkroiła kromkę chleba i położyła na talerzu.

— Proszę — rzekła — pieczone kurczę. Czy mam ci je rozebrać, czy zrobisz to sama?

— Proszę, niech pani to zrobi — odparła Kathleen i dostała na talerzu trochę czerstwego chleba.

— Zielonego groszku? — spytała królowna, odkroiła kawałek sera i położyła obok chleba.

Kathleen zaczęła jeść chleb, krojąc go przy pomocy widelca i noża, jak gdyby to było kurczę. Nie miało sensu mówić, że nie widzi kurczęcia ani groszku, ani w ogóle czegokolwiek prócz sera i czerstwego chleba, bo byłoby to przyznaniem się, że ma coś strasznego na sumieniu.

„Jeżeli mam coś na sumieniu — pomyślała — to jest to tajemnicą nawet i dla mnie”.

Chłopcy poprosili o pieczeń wołową z kapustą — i dostali, jak sądziła Kathleen, chociaż wydawało jej się, że na talerzach chłopców jest tylko czerstwy chleb i ser holenderski.

„Doprawdy chciałabym wiedzieć, co ja mam takiego okropnego na sumieniu” — rozmyślała Kathleen, gdy królowna orzekła, że dla siebie weźmie płat pieczonego pawia.

— Mój kawałek — dodała królowna podnosząc do ust trochę czerstwego chleba na widelcu — smakuje wprost wspaniale.

— To taka zabawa, prawda? — zapytał nagle Jimmy.

— Jaka zabawa? — spytała marszcząc brwi królowna.

— Udawanie, że chleb z serem jest pieczeniową wołową.

— Zabawa? Ależ to j e s t pieczeń. Przyjrzyj się tylko — odparła królowna, szeroko otwierając oczy.

— Tak, oczywiście — przytaknął niepewnie Jimmy. — Ja tylko żartowałem.

Chleb z serem nie jest może tak smaczny, jak pieczeń wołowa, kurczęta czy pieczone z pawia (nie jestem pewna co do pawia, nigdy nie kosztowałam, a wy?), ale chleb z serem jest w każdym razie lepszy niż nic, jeśli nie jadło się od pierwszego śniadania (agrest i oranżada chyba się nie liczą), a dawno już minęła pora obiadu. Toteż wszyscy jedli i pili, i poczuli się znacznie lepiej.

— A teraz — rzekła królowna, otrzepując ze swej jedwabnej sukni okruszyny chleba — jeżeli naprawdę nie chcecie już więcej jeść, to mogę wam pokazać moje klejnoty. Na pewno nikt z was nie chce już ani kawałka kurczęcia? Nie? Więc chodźcie ze mną.

Królowna wstała i dzieci poszły za nią aż na drugi kraniec hallu, gdzie wielkie marmurowe schody z dwóch stron biegły w górę, a następnie łączyły się, wiodąc do górnej galerii. Pod schodami na ścianie zawieszony był arras.

— Za tym arrasem — rzekła królowna — znajdują się drzwi prowadzące do moich prywatnych apartamentów.

Uniosła obu rękoma ciężką draperię i pokazała na małe drzwiczki ukryte za nią.

— Klucz — wyjaśniła — wisi nad drzwiami.

Istotnie, na wielkim, zardzewiałym gwoździu wisił klucz.

— Niech ktoś z was — rzekła królowna — włoży klucz do zamku i obróci.

Uczył to Gerald i ogromny klucz zazgrzytał w zamku.

— A teraz pchnijcie drzwi — rozkazała — pchnijcie, ale mocno, wszyscy troje.

Wszyscy troje pchnęli mocno drzwi, które otworzyły się nagle i dzieci przewróciły się jedno na drugie, nie bardzo widząc w mroku, gdzie się znajdują.

Królowna opuściła zasłonę, weszła za nimi i zamknęła za sobą drzwi.

— Uwaga! — zawołała. — Uwaga! Tam są dwa schodki w dół.

— Dziękuję — powiedział Gerald, rozcierając kolano u dołu schodów. — Już znaleźliśmy je sami.

— Bardzo mi przykro — odparła królowna — ale nie zrobiliście sobie chyba większej krzywdy. Idźcie prosto przed siebie, dalej już nie ma schodów.

Dzieci poszły przed siebie w zupełnym mroku.

— Kiedy dojdziecie do drzwi, naciśnijcie tylko klamkę i wejdźcie do środka. I nie ruszajcie się z miejsca, póki nie znajdzie zapalek. Wiem, gdzie leżą.

— Czy sto lat temu były już zapalki? — spytał Jimmy.

— Chciałam powiedzieć: krzesiwo — odparła szybko królowna. — Zawsze nazywamy je zapalkami. A wy nie? Zaczekajcie, może raczej ja pójde pierwsza.

Królowna poszła przodem i kiedy dzieci dotarły do drzwi, czekała tam na nie z zapaloną świecą w ręku. Podała ją Geraldowi.

— Trzymaj ją uważnie — powiedziała i otworzyła okiennicę wysokiego okna. Wpadł najpierw nieśmiały promień słońca, a zaraz potem mnóstwo blasku słonecznego, w którym nurzał się teraz cały pokój.

— Świeca wygląda przy tym całkiem głupio — zauważył Jimmy.

— To prawda — przyznała królowna i zgasila świecę. Następnie wyjęła klucz z zewnętrznej strony drzwi, włożyła go do otworu po stronie wewnętrznej i przekręciła w zamku.

Znajdowali się w małym, ale wysokim pokoju. Łukowate sklepienie było ciemnoszafirowego koloru, nakrapiane złocistymi gwiazdami. Ściany pokrywała rzeźbiona boazeria, a mebli nie było wcale.

— Oto — rzekła królowna — jest mój skarbiec.

— Ale gdzie — zapytała grzecznie Kathleen — znajdują się skarby?

— Czy ich nie widzicie? — spytała królowna.

— Nie, nie widzimy — odparł bez ceremonii Jimmy. — Ze mną ta sztuczka z chlebem i serem nie uda się dwa razy. Z całą pewnością się nie uda!

— Jeżeli naprawdę ich nie widzicie — powiedziała królowa — to myślę, że będę musiała wymówić zaklęcie. Zamknijcie teraz oczy. I dajcie mi słowo honoru, że ich nie otworzyście, dopóki wam nie pozwolę, i że nigdy nie powiecie nikomu o tym, coście widzieli.

Dzieci co prawda nie miały ochoty dawać w tym momencie słowa honoru, zrobiły to jednak, a także mocno zacisnęły powieki.

— Bigdu wiggadil jugadu begadi ligadiwi naugadau — powiedziała szybko królowa; słysząc było przy tym szelest jedwabnego trenu jej sukni poruszającego się po pokoju. Następnie rozległ się zgrzytliwy, metaliczny dźwięk.

— Ona nas zamyka! — zawołał Jimmy.

— A co z waszym słowem honoru? — wykrztusił Gerald.

— Och, prędzej, prędzej! — jęknęła Kathleen.

— Teraz możecie patrzeć — rozległ się głos królowy. Dzieci spojrzały dokoła. Pokój był już innym pokojem. Owszem, gwiazdzisty, szafirowy strop nie uległ zmianie podobnie jak górna część ciemnej boazerii, ale niżej ściany pokoju gorzały i błyszczały biało, niebiesko, czerwono, zielono, złotem i srebrem. Dookoła pokoju wszędzie widniały półki, a na nich stały złote i srebrne naczynia, półmiski, filiżanki, tace i kielichy wysadzone drogimi kamieniami, ozdoby ze złota i srebra, brylantowe tiary, naszyjniki z rubinów, sznury szmaragdów i pereł, a wszystkie te niebywałe wspaniałości podkreślało jeszcze tło z wyblakłego, niebieskiego aksamitu. Przypominało to klejnoty koronne, które oglądacie, kiedy jakiś miły wujaszek zaprowadzi was do Tower\*. Tyle tylko, że tu zdawało się być, bez porównania więcej klejnotów, niż ktokolwiek mógł widzieć w Tower czy gdziekolwiek indziej.

Trójka dzieci stała z otwartymi ustami i zapartym tchem, wpatrzona w iskrzące się wspaniałości wokół nich, a królowa znieruchomiała z dumnym uśmiechem na ustach i ręką wyciągniętą we władczym geście.

— Słowo daję! — wyszeptał cichutko Gerald. Żadne z dzieci nie śmiało odezwać się głośniejszym. Czekali, jak urzeczeni, na słowa królowy.

Istotnie, przemówiła.

— I co teraz warta jest — spytała tryumfalnie — zabawa w chleb z serem? Czy umiem robić czary, czy nie?

— O tak! — przyznała Kathleen. — Umie pani, och, umie!

— Czy możemy — zapytał Gerald — czy możemy tego dotknąć?

— Wszystko, co jest moje, jest zarazem i wasze — odparła królowa, wielkodusznie skinawszy swą śniadą dłonią, i szybko dodała: — Tylko, naturalnie, nie możecie nic stąd zabierać.

— Nie jesteśmy złodzieje! — odezwał się Jimmy, podczas gdy pozostali oglądali już cudowności rozłożone na półkach wysłanych błękitnym aksamitem.

— Może i nie — odparła królowa — ale jesteś wielkim niedowiarkiem, chłopczyku. Myślisz, że nie potrafisz przejrzeć cię na wylot? Potrafię. I wiem, co sobie myślałeś.

— A co? — spytał Jimmy.

— Ach, sam wiesz najlepiej — odpowiedziała królowa. — Myślisz o chlebie z serem, które zamieniłam w pieczeń, i o tym czymś tajemniczym, co ciąży ci na sumieniu... Wiecie co? Przebierzmy się wszyscy i wy będziecie też następcami tronu.

— Ukoronowanie naszego bohatera — rzekł Gerald — było dziełem jednego mgnienia oka. — Ujął złotą koronę z krzyżem na szczycie i włożył ją sobie na głowę, po czym przywdział wspaniały naszyjnik i pas nabijany szmaragdami rzucającymi wspaniałe ognie. Pas nie chciał się zapiąć, więc Gerald zręcznie przymocował go do swojego paska, spojrzął na

\* Tower — zamek warowny w Londynie wzniesiony w 1078 roku; dawniej siedziba królów, obecnie muzeum.

rodzeństwo i przekonał się, że już są przyozdobieni diademami, naszyjnikami i pierścieniami.

— Wyglądacie wspaniale! — zawołała królowa. — Chciałabym tylko, żeby wasze ubrania były ładniejsze. Jak brzydko ludzie ubierają się teraz! Sto lat temu...

Kathleen nagle znieruchomiła, trzymając w rękę bransoletę z brylantów.

— Słuchajcie! — szepnęła. — A co jest z królem i królową?

— Z jakim królem i królową? — spytała królowa.

— Z pani ojcem i matką — pogrążonymi w żalu rodzicami — odparła Kathleen. — Już się na pewno przebudzili. I na pewno będą chcieli zobaczyć panią po tych całych stu latach.

— O... hm... Tak — powiedziała z namysłem królowa. — Ja już widziałam i uści-  
skałam moich rozradowanych rodziców, kiedy poszłam po chleb i ser. Jedzą właśnie obiad i  
nie oczekują mnie teraz... O, popatrz — dodała wkładając pośpiesznie bransoletkę z rubinów  
na rękę Kathleen — jak to wspaniale wygląda.

Kathleen chętnie przez cały dzień przymierzała by najrozmaitsze klejnoty i przyglądała-  
by się sobie w lustrze w srebrnej oprawie, które królowa zdjęła z jednej z półek, ale chłopcy  
po krótkim czasie mieli tego dosyć.

— Proszę pani — zaproponował Gerald — jeżeli pani jest pewna, że rodzice nie będą  
pani potrzebować, to wyjdźmy na dwór i zorganizujmy sobie jakąś interesującą zabawę. Na  
przykład można wspaniale bawić się w oblężoną fortecę w labiryncie... Chyba że może pani  
zrobić jeszcze jakieś czarodziejskie sztuczki.

— Zapominasz — odparła królowa — że jestem dorosła i nie bawię się. A sztuczek  
magicznych nie lubię robić za dużo naraz, bo to bardzo męczy. Zresztą ułożenie klejnotów z  
powrotem na miejsce zajmie nam i tak mnóstwo czasu.

Istotnie. Dzieci pokładły klejnoty byle gdzie. Ale królowa pokazała im, że każdy  
naszyjnik, pierścień czy bransoletka mają swoje własne miejsca na aksamicie — lekkie wgłę-  
bienie w półce, które dokładnie do nich pasuje.

Kathleen umieszczała właśnie ostatnią błyszczącą ozdobę na jej miejscu, gdy dostrze-  
gła, że na sąsiedniej półce nie ma iskrzących się klejnotów, lecz pierścienie, broszki i łańcu-  
chy oraz dziwne przedmioty, których nawet nie umiałaby nazwać, a wszystkie zrobione są z  
jakiegoś brzydkiego metalu i mają dziwaczne kształty.

— A co to za rupiecie? — spytała.

— Jak to: rupiecie! — obruszyła się królowa. — Te w s z y s t k i e przedmioty służą  
do robienia czarów. Na przykład ta bransoletka — każdy, kto ją włoży, musi mówić prawdę.  
Ten łańcuch daje siłę dziesięciu ludzi. Ktokolwiek ma na sobie te ostrogi, jego koń będzie  
robił milę na minutę, a jeżeli idzie się piechotą, to tak jakby się szło w siedmiomilowych  
butach.

— A do czego służy ta broszka? — spytała Kathleen i wyciągnęła rękę. Ale królowa  
chwyciła ją za przegub dłoni.

— Nie wolno tu niczego dotykać. Jeżeli ktoś poza mną dotknie tych przedmiotów,  
wtedy raz na zawsze tracą one swą czarodziejską moc, raz na zawsze. Ta broszka sprawia, że  
spełnia się każde wypowiedziane życzenie.

— A ten pierścionek? — wskazał palcem Jimmy.

— Czyni cię niewidzialnym.

— A to? — spytał Gerald, wskazując na dziwaczny kształt sprzączkę.

— To odrabia skutki wszystkich innych czarów.

— Czy r z e c z y w i ś c i e? — zapytał Jimmy. — Pani nas nie nabiera?

— Nabiera? Jeszcze czego! — wykrzyknęła z oburzeniem królowa. — Myślę, że  
pokazałam wam dosyć czarów, żebyście nie mówili do mnie w t e n sposób.

— Proszę pani — rzekł Gerald, wyraźnie przejęty. — Mogłaby pani pokazać nam, jak  
działają niektóre z tych przedmiotów. Czy na przykład mogłaby pani obdarzyć każde z nas  
spełnionym życzeniem?



Królowna nie odpowiedziała od razu. A umysły całej trójki zastanawiały się nad życzeniami, wspaniałymi, a zarazem bardzo rozsądnymi. Wyszukiwali takie życzenia, które nigdy nie przychodzą na myśl ludziom w bajkach, kiedy nagle nadarzy się okazja spełnienia ich trzech życzeń.

— Nie — rzekła nagle królowna — nie! Nie mogę spełnić waszych życzeń. Broszka spełnia tylko moje życzenia. Ale mogę wam pokazać, jak pierścień uczyni m n i e niewidzialną. Tylko musicie zamknąć oczy, gdy będę robiła czary.

Dzieci zamknęły oczy.

— Liczcie do pięćdziesięciu — powiedziała królowna — a potem możecie otworzyć oczy. A później znowu będziecie musieli je zamknąć, policzyć do pięćdziesięciu, a wtedy ja ukazę się znowu.

Gerald zaczął głośno liczyć, a przez ten czas słychać było jakieś dziwne szelesty i trzaski.

— Czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt! — zawołał Gerald i cała trójka otworzyła oczy.

Byli sami w pokoju. Znikły klejnoty i znikła także królowna.

— Wyszła, oczywiście, drzwiami — odezwał się Jimmy, ale drzwi były zamknięte na klucz.

— To s ą czary — szepnęła z zapartym tchem Kathleen.

— Każdy magik cyrkowy potrafi zrobić taką sztuczkę — oświadczył Jimmy. — A poza tym ja chcę zjeść podwieczorek.

— Podwieczorek! — głos Geralda był pełen pogardy. — Zachwycająca królowna — ciągnął — ukazała się znowu, gdy tylko nasz bohater skończył liczyć do pięćdziesięciu. Raz, dwa, trzy, cztery...

Gerald i Kathleen oboje zamknęli oczy. Ale Jimmy nie. Chociaż wcale nie chciał oszukiwać, po prostu zapomniał. I w chwili gdy Gerald doliczył do dwudziestu, Jimmy spostrzegł, że boazeria pod oknem wolniutko się otwiera.

„Aha — pomyślał. — Wiedziałem, że to sztuczka”.

— Po czym natychmiast zamknął oczy jak przykładowy chłopczyk.

Na dźwięk słowa „pięćdziesiąt” otwarły się trzy pary oczu. Deska w boazerii pod oknem ściśle przywierała, ale królowny nie było widać.

— Niech pani stanie się znów widzialna, droga królowno — zawołała Kathleen. — A może mamy jeszcze raz zamknąć oczy i liczyć do pięćdziesięciu?

— Co za bzdury! — rozległ się głos królowny bardzo, sądząc z brzmienia, niezadowolony.

— Żadne bzdury! — wykrzyknął Jimmy też z niezadowoleniem. — Dlaczego pani nie może skończyć z tym i pokazać się znowu? Przecież wiemy, że pani się tylko chowa.

— Nie mów tak! — skarciła go Kathleen. — Ona naprawdę j e s t niewidzialna, rozumiesz?

— Ja też byłbym niewidzialny, gdybym się schował w szafie — odparł Jimmy.

— Tak — odezwał się drwiący głos królowny — wam się wydaje, że jesteście bardzo sprytni. No, ale mniejsza z tym. Jeżeli c h c e c i e, to możemy bawić się, że mnie nie widzicie.

— Kiedy my naprawdę pani n i e w i d z i m y — rzekł Gerald — i nie ma powodu do gniewu. Jeżeli pani się schowała, jak twierdzi Jimmy, to proszę wyjść z kryjówki. A jeżeli pani naprawdę stała się niewidzialna, to proszę zrobić się znowu widzialną.

— Czy rzeczywiście n i e w i d z i c i e mnie? — spytała zupełnie zmienionym już głosem królowna.

— Przecież pani w i d z i, że nie widzimy — odparł dość nielogicznie Jimmy.

Upalne słońce świeciło wprost w okna; w ośmiokątym pokoju było bardzo gorąco i

wszyscy stawali się coraz bardziej skorzy do gniewu.

— N i e w i d z i c i e m n i e ? — w głosie niewidzialnej królowy zabrzmiało jakby łkanie.

— Nie, przecież tłumaczmy pani — odparł Jimmy — a poza tym chcę już zjeść podwieczorek — i nagle urwał, jakby coś odebrało mu mowę. Potem, w złociste popołudnie, stała się rzecz okropna: Jimmy raptem pochylił się do tyłu, a następnie do przodu z oczyma i ustami szeroko otwartymi. Przechylał się tak przez pewien czas tam i z powrotem, szybko i gwałtownie, aż nagle znieruchomiał.

— Ach, on dostał ataku! — krzyknęła, pędząc do niego, Kathleen. — Jimmy, mój drogi! Jimmy! Co ci jest?

— To żaden atak — jęknął ze złością Jimmy. — Ona mną potrząsała.

— Tak — rozległ się głos królowy. — I znowu nim potrząsnę, jeżeli będzie powtarzał, że mnie nie widzi.

— Lepiej niech pani potrząsa mną — obruszył się Gerald. — Jestem tego samego wzrostu co pani.

Królowa bez namysłu zaczęła nim potrząsać. Ale nie trwało to długo. Z chwilą gdy Gerald poczuł jej ręce na swych ramionach, wyciągnął dłonie i chwycił tamte ręce w przegubach. Było to wprost okropne uczucie ścisnąć tak przeguby, których się nie widziało. Dostał niewidzialnego kopniaka i skrzywił się, ale rąk królowy nie puszczał.

— Kiziu — krzyknął Gerald — chodź tutaj i złap ją za nogi! Ona mnie kopie.

— Gdzie? — zawołała Kathleen, gotowa do pomocy. — N i e w i d z ę żadnych nóg!

— Ja trzymam ją za ręce — wołał Gerald — choć ona jest niewidzialna. Chwyć ją tu, gdzie są moje ręce, to potem stopniowo wyczujesz, gdzie są nogi.

Kathleen zastosowała się do tych wskazówek. Chciałabym, abyście zrozumieli, jakie to nieprzyjemne, a nawet przerażające uczucie, kiedy w pełnym blasku dnia trzyma się czyjeś ręce i ramiona, których nie można zobaczyć.

— Nie chcę, żebyś mnie trzymała za nogi! — krzyknęła niewidzialna królowa, wyrывая się gwałtownie.

— Czy warto się tak złościć? — głos Geralda uderzał spokojem. — Pani powiedziała, że stanie się niewidzialna, i tak właśnie j e s t.

— Tak nie jest.

— Tak jest naprawdę. Proszę spojrzeć w lustro.

— Tak nie jest, to niemożliwe.

— Proszę spojrzeć w lustro — powtórzył z niezmaconym spokojem Gerald.

— Puśćcie mnie w takim razie.

Gerald rozluźnił uścisk i w tej samej chwili przekonał się, jakim niepodobieństwem jest uwierzyć, że jeszcze przed chwilą trzymało się czyjeś niewidzialne ręce.

— Czy wy tylko udajecie, że nie możecie mnie zobaczyć? — pytała z niepokojem królowa. — Powiedzcie prawdę! Żartowaliście sobie ze mnie? Ale już dosyć. Ten żart przestaje być zabawny.

— Dajemy pani nasze najświętsze słowo honoru — odparł Gerald — że pani ciągle jest niewidzialna.

Zapadło przygnębiające milczenie.

— Chodźcie — szepnęła nagle królowa. — Wypuszczę was i możecie sobie iść. Mam już dosyć zabawy z wami.

Idąc za jej głosem, dotarli do drzwi, a następnie przeszli korytarzykiem do hallu. Nikt nie odezwał się słowem. Wszystkim było bardzo nieprzyjemnie.

— Chodźmy już stąd — szepnął Jimmy, gdy doszli do krańca hallu.

Jakby w odpowiedzi rozległ się głos królowy:

— Chodźcie tędy, to będzie prędzej. Myślę, że jesteście zupełnie nieznośni. Żałuję, że

się w ogóle z wami bawiłam. Mama zawsze mówiła mi, żebym nigdy nie bawiła się z obcymi dziećmi.

Nagle otworzyły się jakieś drzwi, choć zdawało się, że nie dotknęła ich żadna ręka.

— Chodźcie tędy, na co czekacie? — rozległ się głos królowny.

Znaleźli się w małym przedpokoju z długimi, wąskimi lustrami między długimi, wąskimi oknami.

— Do widzenia — rzekł Gerald. — Dziękujemy za wszystko. Rozstańmy się jak przyjaciele — dodał, wyciągając rękę.

Czyjaś niewidzialna dłoń spoczęła, jakby trochę ociągając się, w jego dłoni.

— A teraz — ciągnął Gerald — proszę naprawdę spojrzeć w lustro i przekonać się, że wcale nie kłamiemy.

Podprowadził niewidzialną królownę do jednego z luster i przytrzymał ją przed nim za ramiona.

— Teraz może pani sama się przekonać.

Zapadło milczenie, które przerwał nagle okrzyk rozpaczki:

— Ach, ach! Jestem niewidzialna! I co mam teraz zrobić?

— Zdjąć pierścień — odparła Kathleen, jak zwykle bardzo praktyczna.

Nowa chwila milczenia.

— Nie mogę! — krzyknęła królowna. — Nie chce mi zejść z palca. — Ale to nie może być pierścień. Pierścienie nie dają niewidzialności.

— Ale pani mówiła — odparła Kathleen — że ten pierścień ma tę właściwość. I rzeczywiście ma.

— Ależ to niemożliwe — zaprzeczyła królowna. — Przecież ja się tylko bawiłam w czary. Schowałam się w tajnej skrytce pod oknem. Tylko tak, dla zabawy. I co mam teraz zrobić?

— Dla zabawy? — rzekł z namysłem Gerald. — Ale pani r o b i czary: niewidzialne klejnoty uczyniła pani widzialnymi.

— O, to była tylko ukryta sprężyna: naciska się i ściany się przesuwają. Ach, i co ja teraz pocznę?

Kathleen zbliżyła się do miejsca, skąd rozlegał się głos, i po omacku otoczyła ramionami niewidzialną kibić w różowym jedwabiu, której nie widziała. Objęły ją niewidzialne ramiona, gorący, niewidzialny policzek przytulił się do jej twarzy i spłynęły na nią dwie niewidzialne łzy.

— Nie płacz, kochanie — rzekła Kathleen. — Pójdę powiedzieć królowi i królowej, co się stało.

— Komu?

— Twoim królewskim rodzicom.

— Ach, nie kpij sobie ze mnie! — zawołała biedna królowna. — Wiesz, że to też była tylko zabawa, jak...

— Jak z chlebem i serem! — wykrzyknął triumfalnie Jimmy. — Wiedziałem od początku.

— Ale twoja suknia i to, że spałaś w labiryncie...

— Ach, przebrałam się tylko dla zabawy, bo wszyscy poszli na jarmark. A czerwoną nitkę położyłam, żeby to wyglądało prawdziwiej. Bawiłam się w Śpiącą Królownę, kiedy usłyszałam wasze głosy w labiryncie. Pomyślałam: co za świetna zabawa! A teraz jestem niewidzialna i tak już musi zostać, wiem, że tak musi zostać! Zasłużyłam sobie na to, bo kłamałam, ale doprawdy nie myślałam, że mi uwierzycie. Najwyżej tylko trochę... — dodała pośpiesznie, starając się mówić szczerą prawdę.

— Ale jeżeli nie jesteś królowną, to kim jesteś? — spytała Kathleen, nadal obejmując niewidzialną postać.

— Ja... moja ciocia tu mieszka — odpowiedziała niewidzialna królowna. — Teraz już w każdej chwili może wrócić. I co ja zrobię?

— Może ciocia zna jakieś zaklęcie...

— Skąd? — przerwał gwałtownie głos. — Ciocia nie wierzy w czary. I będzie taka zła! Zupełnie nie śmiem się jej pokazać. I jeszcze wy wszyscy tutaj! Będzie się strasznie gniewała.

Cudowny, zaczarowany zamek, w jaki wierzyły dzieci, znikł nagle, jakby zapadł się pod ziemię. Wszystko, co z niego zostało, to niewidzialność królowny. Ale to, przyznacie sami, było nie byle co.

— Ledwo wypowiedziałam te słowa — zawodził głos — i już się spełniły. Żałuję, że kiedykolwiek bawiłam się w czary... Żałuję, że w ogóle bawiłam się w cokolwiek.

— Ach, nie mów tak — rzekł łagodnie Gerald. — Wyjdźmy do ogrodu, nad jeziorko, gdzie jest miły chłodek, i zróbmy uroczystą naradę. No co? Masz ochotę?

— Ach — zawołała nagle Kathleen — sprzączka! Przecież sprzączka niweczy czary.

— Tak naprawdę to nie — wyszeptał nieśmiało głos. — Ja tylko tak powiedziałam.

— „Tylko tak” powiedziałaś i o pierścieniu — rzekł Gerald. — W każdym razie warto spróbować.

— Ale nie wy — mówił głos. — Ja muszę sama spróbować. Wy idźcie do świątyni Flory nad jeziorem. A ja wrócę do skarbcza. Bo ciocia może was zobaczyć.

— Ale nie ciebie — wtrącił Jimmy.

— Nie przypominaj jej o tym — rzekł Gerald. — A gdzie jest świątynia Flory?

— Pójdziecie tędy — odparł głos — po schodach i dróżką pośród zarośli. Łatwo tam traficie, bo świątynia jest z białego marmuru, a wewnątrz stoi posąg bogini.

Trójka dzieci udała się wobec tego do białej, marmurowej świątyni Flory, stojącej na zboczu małego pagórka. Usiedli w chłodnym wnętrzu świątyni. Panował tu półcień, dokoła biegły wsparte na kolumnach łuki. Nie upłynęło nawet pięć minut, gdy usłyszeli donośny odgłos kroków kogoś biegnącego po żwirze. Na białą, marmurową posadzkę padł cień, bardzo wyraźny i bardzo czarny.

— Twój cień — odezwał się Jimmy — nie jest w każdym razie niewidzialny.

— Ach, mniejsza o cień! — odparł głos królowny. — Zostawiliśmy klucz w zamku od środka, a zamek jest sprężynowy i wiatr zatrzasnął drzwi.

Zapadło bolesne milczenie.

— Siadaj, królowno — odezwał się wreszcie Gerald niesłychanie rzeczowym tonem. — Odbędziemy w tej sprawie naradę.

— Nie zdziwiłbym się — rzekł Jimmy — gdybyśmy się nagle zbudzili i wszystko okazało się snem.

— Nie ma tak dobrze — odparł głos.

— Przede wszystkim — powiedział Gerald — powiedz nam, jak się nazywasz, i jeżeli nie jesteś królowną, to kim jesteś?

— Ja... ja... — odparł głos przerywany szlochaniem — ja jestem... siostrzenicą... dozorczyń... zamku... a nazywam się Mabel Prowse

— Tak sobie właśnie myślałem — wtrącił Jimmy bez cienia prawdy, bo skąd by mógł wiedzieć? Reszta trwała w milczeniu. Zapanowała chwila wzburzenia i głębokiego zastanowienia.

— W każdym razie — rzekł Gerald — to znaczy, że jesteś stąd.

— Tak — potwierdził głos dochodzący z posadzki, jakby jego właścicielka w przystępie rozpaczycy rzuciła się na ziemię. — Owszem, jestem stąd, ale co z tego, kiedy się jest niewidzialnym?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Tym z moich czytelników, którzy mieli dużo do czynienia z niewidzialnym towarzyszem, nie potrzebuję tłumaczyć, jak nieprzyjemna jest taka historia. Przede wszystkim choćbyście nie wiem jak byli przekonani, że wasz towarzysz j e s t niewidzialny, przyłapiecie się z całą pewnością na mówieniu sobie raz po raz: „To chyba sen”, albo też: „Wiem, że zbudzę się za sekundę”. Tak właśnie było z Geraldem, Kathleen i Jimmym, gdy siedzieli w białej marmurowej świątyni Flory, patrząc poprzez jej łuki na zalany słońcem park i słuchając zaczarowanej królowny, która w rzeczywistości nie była wcale królowną, lecz tylko siostrzenicą dozorczyńni, Mabel Prowse. Chociaż, jak twierdził Jimmy, była „mocno zaczarowana”.

— Gadanie na nic się nie przyda — powtarzała raz po raz, a głos jej rozlegał się z pustego miejsca między dwiema kolumnami. — Nigdy nie wierzyłam, że coś takiego może się stać, a teraz stało się.

— No dobrze — rzekł uprzejmie Gerald — ale czy my możemy na coś ci się przydać? Bo jeśli nie, to myślę, że powinniśmy sobie iść.

— Tak — zawołał Jimmy. — Chcę zjeść podwieczorek.

— Podwieczorek! — podjęła wzgardliwie niewidzialna Mabel. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że poszlibyście na ten swój podwieczorek, zostawiając mnie w takim stanie, w jaki mnie wpakowaliście?

— No, no — zaczął Gerald — ze wszystkich niesprawiedliwych królowien, jakie widziałem...

— Nie dokuczaj jej — przerwała mu Kathleen. — Pomyśl, jakie to musi być okropne, kiedy się jest niewidzialnym!

— Myślę — rzekła niewidzialna Mabel — że moja ciocia i tak niezbyt mnie lubi. Nie pozwoliła mi iść na jarmark, bo zapomniałam postawić z powrotem do oszklonej szafki jakiegoś starego zniszczonego trzewika, który nosiła królowa Elżbieta \*, a który wyjęłam, żeby go przymierzyć.

— No i co? Pasował? — spytała z zaciekawieniem Kathleen.

— Nie — odparła Mabel — jest o wiele za mały. Myślę, że nie pasował nigdy na nikogo.

— Chciałbym zjeść podwieczorek! — wtrącił Jimmy.

— I ja myślę — rzekł Gerald — że chyba już powinniśmy iść. Bo doprawdy nie wygląda na to, żebyśmy mogli ci w czymś dopomóc.

— Będziesz musiała opowiedzieć wszystko twojej cioci — dodała serdecznie Kathleen.

— Nie, nie, nie! — jęknęła niewidzialna Mabel. — Zabierzcie mnie z sobą! Zostawię kartkę, napiszę, że uciekłam na morze.

— Dziewczynki nie uciekają na morze.

— Mogą — odparła kamienna posadzka między kolumnami — jako pasażerowie na gapę, gdyby nikt nie potrzebował okrętowego chłopca, a właściwie okrętowej dziewczyny.

— Stanowczo nie powinnaś tego robić — powiedziała zdecydowanym tonem Kathleen.

— To co mam robić?

— Doprawdy — rzekł Gerald — nie wiem, co w takiej sytuacji może zrobić dziewczyna. Niech idzie z nami do domu i urządzimy...

— Podwieczorek! — poderwał się Jimmy.

— Urządzimy walną naradę.

— Po podwieczorku — podsunął Jimmy.

\* Królowa Elżbieta — królowa angielska; żyła w latach 1553—1603.

— Ależ jej ciocia odkryje, że jej nie ma.  
— To samo odkryje, jeżeli zostanie.  
— Och, chodźmy — powiedział Jimmy.  
— Ale ciocia pomyśli, że coś się jej stało.  
— Bo stało się rzeczywiście.  
— I zawiadomi policję, a policja będzie mnie wszędzie szukać.  
— I nie znajdzie — dokończył Gerald. — To się nazywa nieprzeniknione przebranie.  
— Z pewnością — rzekła Mabel — ciocia wolałaby nigdy mnie nie widzieć niż zobaczyć w takim stanie. To mogłoby ją zabić, bo ciocia miewa ataki. Napiszę do niej i wrzucimy kartkę do tej dużej skrzynki pocztowej przy bramie, kiedy będziemy wychodzić. Czy kto z was ma skrawek papieru i kawałek ołówka?

Gerald miał notesik z błyszczącymi kartkami, na których nie można pisać zwyczajnym ołówkiem, tylko prawdziwym grafitem w oprawce z kości słoniowej. A prawdziwy grafit nie nadaje się do pisania na żadnym innym papierze niż ten w notesiku, co często bywa bardzo kłopotliwe, zwłaszcza jeśli ktoś się spieszy. I oto oczom dzieci ukazał się osobliwy widok kościanej oprawki z grafitowym końcem, pochylonej pod niebywałym kątem, która poruszała się sama, zupełnie jakby bez udziału człowieka.

— Czy możemy popatrzeć? — spytała Kathleen.  
Nie było odpowiedzi. A ołówek wciąż pisał.  
— Czy możemy popatrzeć? — powtórzyła Kathleen.  
— Pewnie że możecie! — rozległ się głos w pobliżu papieru. — Przecież kiwnęłam głową! Ach, prawda, moje kiwanie też jest niewidzialne!

Ołówek wypisywał okrągłe, wyraźne litery na kartce wyrwanej z notesu. A oto jej treść:

*Droga Ciociu!*

*Myślę, że już mnie prędko nie zobaczysz. Bo adoptowała mnie pewna pani z samochodem i jedziemy prosto na wybrzeże, a potem wsiądziemy na statek. Szukanie mnie nie miałoby celu. Do widzenia i życzę Ci wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że jarmark się udał.*

*Mabel.*

— Ależ to są same kłamstwa — powiedział bez ceremonii Jimmy.  
— Nic podobnego, to jest fantazja — wyjaśniła Mabel. — A gdybym napisała, że stałam się niewidzialna, to dopiero ciocia pomyślałaby, że kłamię.

— Chodźmy już, chodźmy — nalegał Jimmy. — Można się spierać po drodze.  
Gerald złożył kartkę tak, jak nauczyła go przed laty pewna pani w Indiach, a Mabel wyprowadziła ich z parku inną i znacznie krótszą drogą. Do domu też powrócili znacznie prędzej, niż przedtem z niego szli.

Niebo zachmurzyło się w czasie, gdy byli w świątyni Flory, i pierwsze krople deszczu zaskoczyły ich jeszcze w drodze do domu na bardzo, doprawdy, spóźniony podwieczorek.

Mademoiselle wyglądała oknem i sama podeszła otworzyć im drzwi.

— Ależ spóźniliście się! — zawołała. — Czy coś się wam przydarzyło? Chyba nic złego?

— Bardzo nam przykro — tłumaczył Gerald — ale powrót do domu zabrał nam więcej czasu, niż spodziewaliśmy się. Mam nadzieję, że pani nie niepokoiła się o nas. Myślałem o pani prawie przez całą drogę powrotną.

— No dobrze — odparła z uśmiechem Francuzka. — Wobec tego zjecie razem podwieczorek i kolację.

Tak się też stało.

— Jak mogłeś powiedzieć, że cały czas o niej myślałeś? — spytał głos tuż przy uchu Geralda, gdy mademoiselle zostawiła ich samych z chlebem i masłem, mlekiem i pieczonymi

jabłkami. — To takie samo kłamstwo jak to, że mnie adoptowała pani z samochodem.

— Wcale nie — odparł Gerald ustami pełnymi chleba z masłem. — Myślałem o tym, czy ona nie będzie się złościć.

Talerze były tylko trzy, ale Jimmy odstąpił swój Mabel, a sam dzielił talerz z Kathleen. Był to widok dosyć okropny, gdy chleb z masłem unosił się w powietrzu i kęs za kęsem znikał pozornie bez udziału człowieka. Także łyżeczka unosiła się z kawałkiem jabłka, a wracała na talerz pusta. A koniec łyżeczki znikał na tak długo, jak długo znajdował się w niewidzialnych ustach Mabel. I chwilami wyglądało to tak, jak gdyby kawałek łyżki brakowało.

Wszyscy byli bardzo zgłodniali i trzeba było przynieść więcej chleba z masłem. Kucharka zrzedziła, gdy napełniała talerz po raz trzeci.

— Wiecie co — rzekł Jimmy — bardzo chciałem zjeść podwieczorek.

— Wiecie co — rzekł Gerald — będzie piekielnie trudno dać Mabel śniadanie. Bo przy śniadaniu będzie mademoiselle. Dostałaby ataku, widząc, jak znika część widelca z bekonem, a potem ta część się pokazuje znowu, a bekon znika na zawsze.

— Będziemy musieli — odparła Kathleen — kupować jedzenie i żywić naszą nową znajomą potajemnie.

— Nie starczy nam na długo pieniędzy — odparł posepnie Jimmy. — A czy ty masz jakieś pieniądze, Mabel?

Zwrócił się w stronę, gdzie kubek z mlekiem zawisł w powietrzu bez żadnej widzialnej pomocy.

— Pieniądzy mam mało — zabrzmiała odpowiedź w pobliżu mleka — za to mam mnóstwo pomysłów.

— Pogadamy o wszystkim z rana — rzekła Kathleen. — A teraz powiemy tylko dobranoc mademoiselle. Ty będziesz spała w moim łóżku, Mabel. Pożyczę ci swoją koszulę nocną.

— Jutro już będę miała własną — odparła wesoło Mabel.

— Wrócisz po swoje rzeczy?

— A czemu nie? Nikt mnie nie może zobaczyć. Zaczynam, jak mi się zdaje, widzieć różne zabawne możliwości. To wcale nie jest tak źle być niewidzialną.

Bardzo to było dziwne, pomyślała Kathleen, patrzeć, jak szaty królowny zjawiają się znikąd. Najpierw ukazał się i zawisł w powietrzu przejrzysty welon. Następnie znalazła się nagle na komodzie roziskrzona brylantami korona. Potem ukazał się jeden rękaw różowej sukni, a potem drugi, aż wreszcie reszta sukni zaczęła spływać na ziemię błyszczącym pierścieniem, w miarę jak występowały z niego niewidzialne nogi Mabel. Każdy bowiem szczegół garderoby stawał się widoczny, gdy Mabel go zdejmowała. Koszula zaś, wzięta z łóżka, po kawałku znikiała.

— Kładź się — trochę nerwowo powiedziała Kathleen.

Łóżko zatrzeszczało i w poduszce ukazała się wklęsłość.

Kathleen zgasiła światło i weszła do łóżka. Wszystkie te czary były dosyć denerwujące, toteż odrobinę się bała. Po ciemku jednak okazało się, że nie jest tak źle. Ramiona Mabel otoczyły szyję Kathleen z chwilą, gdy ta weszła do łóżka, i dwie dziewczynki pocałowały się w życzliwej ciemności, gdzie widzialna i niewidzialna były na równych prawach.

— Dobranoc — rzekła Mabel. — Jesteś kochana, Kiziu. Byłaś dla mnie strasznie dobra i nigdy ci tego nie zapomnę. Nie chciałam tego mówić przy chłopcach, ponieważ chłopcy myślą, że się jest niedołągą, kiedy się jest za coś wdzięcznym. A ja jestem wdzięczna. Dobranoc.

Kathleen leżała jakiś czas nie śpiąc. Zbierało jej się właśnie na sen, gdy przypomniała sobie, że pokojówka przychodząca rano zobaczy cudowne szaty królowny.

„Będę musiała wstać i schować je — pomyślała. — Jakież to zawracanie głowy!”

Ale kiedy tak rozmyślała o tym kłopotcie, zasnęła, a gdy się zbudziła, był już jasny dzień i Eliza stała przed krzesłem, na którym wisały rzeczy Mabel, wpatrując się w leżącą na wierzchu różową suknię królewską i mówiąc: „Mój Boże!”

— Ach, proszę tego nie ruszać! — Kathleen wyskoczyła z łóżka w chwili, gdy Eliza wyciągnęła rękę.

— Skąd wyście to wszystko wzięli?

— Będzie to nam potrzebne do przedstawienia — odparła pod wpływem nagłego natchnienia Kathleen. — W tym celu wypożyczono nam te rzeczy.

— Ale ja mogę je obejrzeć — powiedziała Eliza.

— Nie, nie, proszę tego nie ruszać — rzekła Kathleen, stając w koszuli przed krzesłem. — Eliza zobaczy nas na przedstawieniu, kiedy już będziemy ubrani... I proszę o tym nikomu nie mówić, dobrze?

— Dobrze, jeżeli panienka będzie grzeczna — odpowiedziała Eliza. — Tylko nie zapomnijcie pokazać mi się, kiedy będziecie przebrani. Ale gdzie...

W tej samej chwili rozległ się dzwonek i Eliza musiała pójść otworzyć drzwi; był to bowiem listonosz, a ona strasznie chciała się z nim zobaczyć.

— Więc teraz — rzekła Kathleen, wkładając pierwszą pończochę — będziemy musieli urządzić przedstawienie. Wszystko to jest takie trudne!

— Przedstawienie wcale nie jest trudne, już cieszę się z góry — orzekła Mabel, przy czym jedna z pończoch zawisła w powietrzu i zaczęła stopniowo znikać.

— Zapominasz — powiedziała łagodnie Kathleen — że niewidzialne aktorki nie mogą grać w przedstawieniu, chyba że są zaczarowane.

— Ach! — zawołał głos spod zawisłej w powietrzu spódniczki. — Mam świetny pomysł!

— Opowiesz nam po śniadaniu — rzekła Kathleen, patrząc, jak woda w miednicy zaczyna rozpryskiwać się dokoła. — I jeszcze jedno: szkoda, że napisałaś takie straszne kłamstwa do swojej cioci. Uważam, że nie powinniśmy kłamać bez koniecznej potrzeby.

— A co za sens mówić prawdę, w którą nikt nie uwierzy? — rozległo się z miednicy.

— Nie wiem — odparła Kathleen — ale jestem pewna, że powinniśmy mówić prawdę.

— Jeżeli masz ochotę, to bardzo proszę — odezwał się głos z fałdów ręcznika, powiewającego samotnie nad umywalką.

— Doskonale. Zrobimy to w takim razie zaraz po śniadaniu. To znaczy po twoim śniadaniu. Bo będziesz musiała tu czekać, aż zdołamy coś zwędzić i przynieść ci. I pamiętaj, żebyś się nie zderzyła z Elizą, kiedy przyjdzie pościć łóżko.

Niewidzialna Mabel uznała to za świetną zabawę. Urozmaiciła ją jeszcze bardziej, wyciągając rogi prześcieradeł i kołder, kiedy Eliza patrzyła w drugą stronę.

— Patrzcie, co za pościel! — wykrzyknęła Eliza. — Można by myśleć, że jest zaczarowana.

Rozejrzała się wkoło, chcąc wypatrzeć wspaniałe szaty królowny, które widziała tu wcześniej tego ranka. Ale Kathleen ukryła je w pewnym, zupełnie bezpiecznym schowanku: pod materacem, którego, jak wiedziała, Eliza nigdy nie odwracała.

Eliza zamiotła pośpiesznie odrobinę śmieci leżących na podłodze, które z niewiadomych przyczyn znajdują się w najbardziej nawet porządnym domu. Mabel, bardzo głodna i zrozpaczona długą nieobecnością trójki dzieci, które udały się na śniadanie, nie mogła powstrzymać się od nagłego szepnięcia do ucha Elizy:

— Zawsze trzeba wymiatać spod łóżek.

Dziewczyna drgnęła i pobladła.

— Ja chyba wariuję — szepnęła — chociaż byłoby to właśnie to, co mama zwykła mi zawsze mówić. — Chyba nie dostaję kręcka jak ciotka Emilia. Co też człowiekowi może się przywidzieć...

Mimo strachu zwinęła dywan, odsunęła kratę sprzed kominka i dokładnie zamiotła cały pokój. Była przy tym tak blada, że Kathleen, wchodząc do pokoju z kromką chleba ściągniętą przez Geralda w kuchni, zawołała:



— Jeszcze nie sprzątnięte? Elizo! Eliza wygląda, jakby była chora. Co się stało?

— Chciałam dokładnie posprzątać — odparła Eliza, wciąż jeszcze bardzo blada.

— Czy coś Elizę zdenerwowało? — spytała Kathleen. Miała swoje własne, prywatne obawy.

— Nic się nie stało, panienko, to tylko jakieś moje przywidzenia — powiedziała Eliza. — Od dziecka mi się zawsze coś zwidywało: a to perłowa brama, a to jakieś małe aniołki, którym było widać tylko głowy i skrzydełka. Nic nie miały na sobie i zawsze myślałam, że ubieranie ich mało kosztuje w porównaniu z dziećmi.

Kiedy już się pozbyli Elizy, Mabel zjadła chleb i napiła się wody z kubka do mycia zębów.

— Możliwe, że to smakuje trochę pastą do zębów — odezwała się przepraszająco Kathleen.

— Nic nie szkodzi — odparł głos znad kubka. — To nawet znacznie lepsze niż woda. Pewnie czerwone wino w balladach miało taki smak.

— Mamy dzisiaj znów cały dzień wolny — rzekła Kathleen, kiedy ostatni kęs chleba już znikł — a Gerald myśli o kłamstwach to samo co ja. Więc chcemy powiedzieć twojej cioci, gdzie naprawdę jesteś.

— Nie uwierzy wam.

— To wszystko jedno, jeżeli tylko powiemy prawdę — odparła nieco obłudnie Kathleen.

— Myślę, że pożałujecie tego — rzekła Mabel — ale to wasza sprawa. I jeszcze jedno: nie zamykajcie mi drzwi przed nosem, jak to przed chwilą zrobiłaś.

W oślepiającym blasku słonecznym, który zalewał ulicę Główną, cztery cienie trojga dzieci były niebezpiecznie łatwe do spostrzeżenia. Chłopiec od rzeźnika nader podejrzliwie przyglądał się dodatkowemu cieniowi, a jego duży kundel koloru wątroby obwąchał nogi tego cienia i zaczął poszczekiwać z niezadowoleniem.

— Idź za mną — powiedziała Kathleen — to wtedy nasze dwa cienie będą wyglądały jak jeden.

Lecz cień Mabel, bardzo wyraźny, padał na plecy Kathleen i posługacz z gospody „Pod Złotym Jeleniem“ zaczął się rozglądać, aby wypatrzeć, co to za ptaszysko rzuca taki ogromny cień.

Kobieta jadąca wózkiem wypełnionym kaczkami i kurczętami zawołała:

— Hej, panienko, gdzieś sobie tak plecy posmoliła? Oparła się panienka o coś czy jak?

Toteż wszyscy byli zadowoleni, kiedy wyszli z miasta.

Powiedzenie prawdy ciotce Mabel dało zupełnie inny efekt, niż ktokolwiek mógł się spodziewać, nawet sama Mabel. Ciotkę zastali z różową książeczką w ręku, siedzącą w oknie dozorcówki. Okno, obrośnięte zielonymi pnączami i klematis, wychodziło na śliczny dziedzińczyk, dokąd Mabel poprowadziła całe towarzystwo.

— Przepraszam panią bardzo — zagadnął Gerald — ale zdaje się, że zginęła pani siostrzenica.

— Wcale nie zginęła, chłopczyku — odparła ciotka, szczupła i wysoka kobieta, o brudnopopielatych włosach i bardzo łagodnym głosie.

— Możemy pani coś o niej powiedzieć — nalegał Gerald.

— Byle — rzekła ciotka ostrzegawczym tonem — byle nie było skarg. Moja siostrzenica wyjechała i doprawdy myślę, że nikt nie poświęca mniej uwagi jej drobnym psotom niż ja. Jeżeli wypłatała wam jakiegoś figla, to tylko przez swoją lekkomyślność. A teraz idźcie już sobie, dzieci, bo jestem bardzo zajęta.

— A czy pani znalazła jej kartkę? — spytała Kathleen.

Ciotka wykazała trochę więcej zainteresowania niż dotąd, ale nadal trzymała palec w książce.

— Aha — powiedziała — więc byliście przy jej wyjeździe. Czy wyglądała na zadowolona?

— Bardzo — przyznał prawdomówny Gerald.

— W takim razie — rzekła ciotka — mogę się tylko cieszyć, że się nią ktoś opiekuje. Przypuszczam, że byliście zdziwieni. Ale takie romantyczne przygody zdarzają się w naszej rodzinie. Lord Yalding wybrał mnie spośród jedenastu kandydatek na dozorczynię zamku. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że dziewczynkę zamieniono po jej urodzeniu i teraz zgłosili się po nią jej bogaci krewni.

— Ale czy pani nie zamierza czegoś zrobić... zawiadomić policję...

— Psst! — szepnęła Mabel.

— Bez żadnych psst! — zawołał Jimmy. — Pani siostrzenica jest niewidzialna, i to wszystko. Teraz na przykład stoi tuż koło mnie.

— Nie cierpię — powiedziała surowo ciotka — nieprawdy w każdej jej postaci. Może zabierzecie stąd tego chłopczyka. Nie mam powodu do niepokoju o Mabel.

— Dobrze — zgodził się Gerald — pani jest tylko jej ciotką, ale co powiedzą rodzice Mabel?

— Rodzice Mabel nie żyją — odparła ze spokojem ciotka, a Gerald usłyszał tuż koło siebie króciutki szloch.

— Dobrze więc — powiedział — pójdziemy sobie. Ale proszę nie mówić, żeśmy pani nie powiedzieli prawdy.

— Nic mi nie powiedzieliście — odparła ciotka. — Nikt z was z wyjątkiem tego chłopczyka, który powiedział głupie kłamstwo.

— Mieliśmy jak najlepsze intencje — rzekł uprzejmie Gerald. — Chyba nie ma nam pani za złe, że przeszliśmy przez tereny zamkowe. Uważamy bardzo, żeby niczego nie dotykać.

— Zamku nie wolno zwiedzać — odparła ciotka spoglądając niecierpliwie na swoją książkę.

— Tak, ale nas nie może pani chyba uważać za zwykłych turystów — rzekł Gerald najuprzejmiej, jak tylko mógł. — Jesteśmy przyjaciółmi Mabel. Nasz ojciec jest pułkownikiem, dowódcą dziesiątego pułku.

— Aha! — mruknęła ciotka.

— A lady Sandling to nasza ciotka, więc sama pani rozumie, że nie zrobilibyśmy najmniejszej szkody...

— Z pewnością nie skrzywdzilibyście nawet muchy — powiedziała z roztargnieniem ciotka. — Do widzenia. Bądźcie tylko grzeczni.

Dzieci szybko ruszyły w powrotną drogę.

— No, no — odezwał się Gerald, kiedy już wyszli z małego dziedzińca — twoja ciotka ma zupełnego bzika. Pomyśleć tylko: nie dba o to, co się z tobą stało, i wierzy w te głupstwa o pani z samochodem.

— Wiedziałam, że w to uwierzy, kiedy pisałam kartkę — odparła skromnie Mabel. — I ciotka nie ma bzika, tylko zawsze rozczytuje się w powieściach. Ja czytam książki w dużej bibliotece. To taki piękny pokój i tak dziwnie tam pachnie, jakby butami, bo pełno tam starych książek w skórzanej oprawie. Któregoś dnia zaprowadzę was tam. A teraz, kiedy nie macie już nic na sumieniu w stosunku do ciotki, powiem wam, jaki mam wspaniały pomysł. Ale chodźmy do świątyni Flory. Cieszę się, że ciocia zgodziła się, żebyście przeszli przez teren zamkowy. To byłoby bardzo nieprzyjemnie, gdybyście musieli kryć się w krzakach, ilekroć któryś ogrodnik się zbliży.

— Tak — przyznał skromnie Gerald. — Myślałem już o tym.

Dzień był równie piękny jak wczoraj, a krajobraz widziany z białej, marmurowej świątyni wyglądał zupełnie jak ręcznie malowany sztych czy też barwna reprodukcja jednego

z obrazów Turnera \*.

Kiedy trójka dzieci roztasowała się wygodnie na schodach wiodących do białego posągu, głos czwartego dziecka odezwał się ze smutkiem:

— Nie jestem niewdzięczna, ale jestem dość głodna. A wy nie możecie wiecznie ściągać różnych rzeczy do jedzenia dla mnie przez okno waszej spiżarni. Może lepiej będzie, jeżeli wrócę do zamku. Podobno straszy w nim i myślę, że mogłabym straszyć równie dobrze jak kto inny. Jestem przecież rodzajem widma. Więc może tak będzie lepiej.

— O, nie! — zaprotestowała serdecznym tonem Kathleen. — Musisz zostać z nami.

— Ale co z jedzeniem? Nie jestem, doprawdy, niewdzięczna, ale śniadanie to śniadanie, a chleb to tylko chleb.

— Gdybyś mogła zdjąć pierścień, to mogłabyś wrócić.

— Tak — odezwał się głos Mabel — cóż, kiedy nie mogę. Próbowałam jeszcze raz wczoraj wieczorem w łóżku i dzisiaj przy wstawaniu. A wynoszenie różnych rzeczy z waszej spiżarni, nawet jeżeli to tylko chleb, jest właściwie kradzieżą.

— Tak, to prawda — zgodził się Gerald, który dokonał tego zuchwałego czynu.

— Więc musimy znaleźć sposób zarabiania pieniędzy.

Jimmy wtrącił uwagę, że zgadza się na wszystko. Ale Gerald i Kathleen pilnie słuchali.

— Chodzi mi o to — ciągnął głos — że moją niewidzialność można różnie wykorzystać. Będziemy mieli przygody, mnóstwo przygód, zobaczycie.

— „Przygody, rzekł zuchwały pirat, nie zawsze są udane“. — Słowa te wyszeptał Gerald.

— Ale ta przygoda, o której myślę, na pewno będzie udana. Tylko musimy się rozdzielić. A teraz słuchajcie: gdyby Jerry mógł nadać sobie wygląd prostaka.

— Z tym nie powinno być żadnych trudności — wtrącił Jimmy, lecz Kathleen zabroniła mu takich wyskoków.

— Nie myślałem nic złego — rzekł Jimmy — tylko...

— Tylko on ma wewnętrzne poczucie, że twoja Mabel wpakuje nas w tarapaty — dokończył za brata Gerald. — Jak w tej bajce o Okrutnej Księżniczce. A Jimmy nie chce, aby przyszele wieki znalazły go włóczącego się tam i sam bez celu, samotnego i bladego.

— Nie wpakuję was w tarapaty, bądźcie spokojni — zawołał głos. — Przecież jesteśmy zbratani na całe życie po tym, coście zrobili dla mnie wczoraj. A mój pomysł polega na tym, żeby Gerald poszedł na jarmark i robił czarodziejskie sztuczki.

— Kiedy on żadnej nie potrafi — powiedziała Kathleen.

— W rzeczywistości ja będę je robiła — rzekła Mabel — ale Jerry mógłby zachowywać się tak, jak gdyby on był ich sprawcą. Przesuwać przedmioty z miejsca na miejsce, nie dotykając ich, i tak dalej. Ale nie byłoby dobrze, żebyście wszyscy troje poszli na jarmark. Im więcej tam będzie dzieci, tym większą będą zwracać uwagę, i myślę, że tym więcej ludzi będzie się zastanawiać, co te dzieci robią bez opieki.

— Słynny czarnoksiężnik uznał te słowa za szczyt mądrości — rzekł Gerald.

A na pełne niepokoju pytanie siostry i brata: „Dobrze, a co z nami?“, wyraził pogląd, że powinni wmieszać się niepostrzeżenie w tłum.

— Tylko nie zdradźcie się z tym, że mnie znacie — ciągnął Gerald — i starajcie się wyglądać tak, jakbyście należeli do kogoś z dorosłych na jarmarku. Bo w przeciwnym razie istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że jacyś mili policjanci wezmą małe zagubione dzieci za rączkę i odprowadzą do domu, do strapionych rodziców... a właściwie do francuskiej guwernantki.

— A teraz już chodźmy — zawołał głos, do którego nasza trójka w żaden sposób nie mogła się przyzwyczaić i który dawał się słyszeć w coraz to innej stronie, w miarę tego jak

\* Turner — William Turner (1775—1851), angielski malarz, pejzażysta.

Mabel przenosiła się z miejsca na miejsce.

Ruszyli więc na jarmark.

Odbywał się on na pustym placu o jakieś pół mili od bramy zamku. Gdy podeszli dostatecznie blisko, aby móc słyszeć odgłosy kręcącej się karuzeli, Gerald zaproponował, ponieważ miał dziewięć pensów, że pójdzie naprzód i kupi coś do jedzenia, a wydaną sumę odbierze sobie z zarobków, jakich dostarczą praktyki czarodziejskie. Reszta dzieci czekała w cieniu zdrzewionej uliczki. Gerald wrócił dość szybko, ale nie dość szybko, by jego rodzeństwo nie zaczęło narzekać, że go tak długo nie widać. Przyniósł trochę orzechów, rumiane jabłka, małe i słodkie żółte gruszki, kawałek piernika, ćwierć funta miętówek i dwie butelki oranżady.

— To się nazywa inwestycja — wyjaśnił Gerald, kiedy Kathleen napomknęła o rozrzutności. — Będziemy musieli wszyscy dobrze się odżywiać, aby zachować pełnię sił, a zwłaszcza dzielny czarnoksiężnik.

Zabrali się do jedzenia i picia. Posiłek był wspaniały, dźwięki katarynki napływające od strony karuzeli nadawały całej scenie charakter prawdziwej uczy. Chłopcy nie przestawali podziwiać sposobu jedzenia Mabel, a raczej osobliwego, czarodziejskiego znikania pożywienia w jej ustach. Zachwycali się tym widokiem i dawali jej do jedzenia więcej, niż przypadało ze sprawiedliwego podziału, a to dla samej przyjemności przypatrywania się, jak jedzenie znika.

— O rety! — wołał raz po raz Gerald. — To ich zwali z nóg.

Istotnie tak się stało.

Jimmy i Kathleen odczekali dobrą chwilę po odejściu Geralda i Mabel, a kiedy znaleźli się na jarmarku, wmieszali się w tłum i nie sprawiali wrażenia podejrzanych.

Stanęli obok tłustej paniusi, która oglądała orzechy kokosowe. W pewnej chwili dostrzegli dziwną postać z rękami w kieszeniach, wędrującą po udeptanej ziemi i pożółkłej trawie, zaśmieconej kawałkami papieru oraz źdźbłami słomy, której zawsze jest pełno na angielskim jarmarku. Tą postacią był Gerald, choć w pierwszej chwili wcale go nie poznali. Gerald zdjął krawat, który, jak się zdaje, miał spełniać rolę chustki do nosa. Głowę owinał purpurowym szalikiem ułożonym w turban. Jego twarz i ręce były błyszczące i czarne niczym dokładnie wypucowany żelazny piecyk. Każdy odwracał się, aby mu się przyjrzeć.

— Zupełnie jak Murzyn! — szepnęła Jimmy. — Myślę, że to nigdy z niego nie zejdzie.

Poszli w ślad za nim, trzymając się w pewnej odległości. Gerald podszedł do wejścia do małego namiotu. O słupek podtrzymujący to wejście opierała się jakaś kobieta z długą i smutną twarzą. W tym momencie dzieci zatrzymały się i usiłowały wyglądać, jakby należały do stojącego w pobliżu farmera, który uderzając młotkiem w drewniany siłomierz, usiłował wybić jak najwyższą cyfrę.

— Zarobiło się trochę? — spytał Gerald, podchodząc do kobiety, która jednak łagodnym głosem powiedziała, aby sobie poszedł i nie był zuchwały.

— Ja sam prowadzę mój interes — rzekł Gerald. — Jestem czarnoksiężnikiem z Indii.

— E tam! — odparła kobieta. — Nie jesteś wcale Murzynem. Za uszami masz skórę zupełnie białą.

— Czyżby? — zapytał Gerald. — Jak sprytnie to pani wypatrzyła! — Natarł sobie skórę za uszami poczernionymi rękoma. — Czy tak jest lepiej?

— Teraz już zupełnie dobrze. A na czym twoje sztuczki polegają?

— Mówiąc prawdę, to na czarowaniu — rzekł Gerald. — W Indiach nawet dużo mniej się chłopcy ode mnie tym się zajmują. Wie pani co? Jestem winien pani pokaz jednej sztuczki za tę uwagę o moich uszach. Jeżeli pani chce, żebyśmy razem pracowali, to będziemy się dzielić do połowy zarobkiem. Odstąpi mi pani swój namiot na moje czarodziejskie praktyki, a pani będzie robić reklamę przy wejściu.

— A niech cię Pan Bóg kocha! Nie będę robiła żadnej reklamy. A poza tym, zdaje się, chcesz mnie nabrać! Pokaż mi trochę twojego czarnoksięstwa, jeżeliś taki mądry.

— Ma pani rację, zgoda — odparł stanowczo Gerald. — Niech pani spojrzy na to jabłko. Otóż moja siła sprawi, że przesunie się ono wolno w powietrzu, a kiedy zawołam „już” — jabłko zniknie.

— Tak, w twoich ustach. Daj mi spokój z takimi bzdurami.

— Jest pani za mądra, żeby tak nie dowierzać — powiedział Gerald. — Proszę popatrzeć!

Uniósł w rękę jedno z jabłuszek, które miał przy sobie, potem puścił je i kobieta ujrzała, jak jabłko powoli, przez nikogo nie podtrzymywane, sunie w powietrzu.

— A teraz niech pani uważa... Już! — krzyknął Gerald do oddalającego się jabłka. — No i co pani o tym powie? — zwrócił się do kobiety z tryumfem w głosie.

Kobieta aż się zaczerwieniła z przejęcia, oczy jej rozbłysły.

— Najlepsza sztuczka, jaką kiedykolwiek w życiu widziałam — szepnęła. — Przystępuję do spółki, jeżeli znasz więcej takich sztuczek.

— Całe mnóstwo — odparł z wielką pewnością siebie Gerald. — Proszę wyciągnąć rękę.

Kobieta uczyniła to. I znikąd, jak się zdawało, jabłko ukazało się w powietrzu i spadło na jej dłoń. Jabłuszeko było trochę wilgotne. Kobieta przyjrzała mu się, po czym szepnęła:

— Dobrze, ale w spółce będzie tylko nas dwoje. I nie róbmy tych sztuczek w namiocie. O, widzisz ten kawałek pustego placu obok namiotu? Wart jest więcej niż namiot, bo na otwartym powietrzu można dużo więcej zarobić.

— Ale ludzie nie będą płacili, jeżeli będą mogli wszystko widzieć za darmo.

— Na początek nie będą, ale później zapłacą. Tylko że ty będziesz musiał odstawiać gadanie dla reklamy.

— Niech mi pani da swój szal — poprosił Gerald.

Kobieta zdjęła z ramion swój czarno-czerwony szal i wręczyła Geraldowi, który rozesłał go na ziemi, bo widział, że robią tak indyjscy czarownicy, po czym usiadł na nim ze skrzyżowanymi nogami.

— Tylko żeby nikt nie stanął za mną — powiedział, a kobieta pośpiesznie zrobiła małą zagrodę za nim, przywiązując stare worki do słupków podtrzymujących namiot.

— Teraz możemy zaczynać — rzekł Gerald.

Kobieta wydobyla z namiotu bęben i zaczęła w niego uderzać. Bardzo szybko zebrał się mały tłum.

— Panie i panowie — zaczął Gerald — przybyłem tu z Indii i mogę dla waszej przyjemności pokazać takie czary, jakich nigdy jeszcze nie widzieliście. Kiedy zobaczę na tym szalu dwa szylingi — wtedy rozpocznę.

— Zobaczysz jak swoje ucho! — zawołał ktoś z tłumu i z różnych stron dały się słyszeć drwiące śmiechy.

— Oczywiście — rzekł Gerald — jeżeli państwo nie możecie zebrać do spółki dwóch szylingów — a w tłumie było już teraz ponad trzydzieści osób — nie powiem nic więcej.

Dwa czy trzy miedziaki spadły na szal, następnie jeszcze parę, a potem już nic.

— Dziewięć pensów — obliczył Gerald. — No, mam szczerą naturę. Otrzymacie za dziewięć pensów takie widowisko magiczne, jakiego dotąd nikt z was nie oglądał. Nie chcę was oszukiwać — dodał — mam współnika, ale mój współnik jest niewidzialny.

W tłumie rozległy się śmiechy.

— Z pomocą tego współnika — ciągnął Gerald — odczytam każdy list, jaki ktokolwiek z was może mieć przy sobie. Jeżeli ktoś z was zechce przejść przez sznur i stanie koło mnie, mój niewidzialny współnik odczyta każdy pokazany list.

Z tłumu wystąpił jegomość o końskiej twarzy i ogorzałych policzkach. Wydobyl z kieszeni list, rozwinął i stanął na widoku wszystkich, w miejscu gdzie, jak każdy mógł to zobaczyć, nikt nie mógł zajrzeć mu przez ramię.

— Już! — zawołał Gerald.

Zapadło na chwilę milczenie. Po czym z drugiej strony zagrody rozległ się słaby, daleki, urywany głos:

— *Szanowny panie, list pański z 15 bm. otrzymaliśmy. Co do hipoteki na pańskiej ziemi, to z przykrością musimy stwierdzić...*

— Przestań! — krzyknął człowiek o końskiej twarzy, z groźbą w głosie zwracając się do Geralda.

Wystąpił z zagrody i zaczął tłumaczyć wszystkim, że nic podobnego nie było w jego liście. Ale nikt mu nie uwierzył i w tłumie rozległ się gwar zaciekawionych głosów, który ustał nagle, gdy Gerald zaczął mówić.

— Patrzcie — powiedział, układając dziewięć miedziaków na szalu. — Patrzcie na te miedziaki, a zobaczycie, jak jeden po drugim znikają.

Pieniądze, oczywiście, znikły. A potem niewidoczna dłoń Mabel ułożyła je ponownie na szalu. Tłum zaczął głośno klaskać. Z pierwszego rzędu rozległy się okrzyki: „Brawo!”, „Coś takiego!”, „Pokaż jeszcze jedną sztukę!” A publiczność stojąca w tyle zaczęła cisnąć się do przodu.

— Przekonaliście się — powiedział Gerald — co potrafię. Ale więcej sztuk nie pokażę, dopóki na tym dywanie nie znajdzie się pięć szylingów.

Po dwóch minutach siedem szylingów i trzy pensy leżały na szalu, a Gerald zaprodukował jeszcze parę magicznych sztuk.

Kiedy stojący najbliżej nie chcieli już dawać więcej pieniędzy, Gerald poprosił, aby się odsunęli i pozwolili innym zobaczyć sztuki z bliska. Żałuję, że czas nie pozwala mi opisać wszystkich sztuczek, jakie pokazał. W każdym razie trawa dokoła jego zagrody była całkowicie wydeptana przez ludzi, którzy tłoczyli się, aby wszystko zobaczyć. Doprawdy, możliwości są nieograniczone w robieniu cudów, jeśli się ma niewidzialnego współnika. Różne przedmioty poruszały się same w powietrzu, a nawet znikwały... w fałdach sukienki Mabel. Kobieta zaś stojąca przy namiocie miała wyraz twarzy coraz bardziej rozradowany w miarę napływania pieniędzy, a ilekroć Gerald skończył z jakimś pokazem, uderzała donośnie w bęben.

Wieść o czarowniku obiegła cały jarmark. Tłum szalał z zachwytem. Osobnik, który sprzedawał orzechy kokosowe, błagał Geralda, aby wszedł z nim w spółkę, właściciel strzelnicy zaofiarował mu darmo mieszkanie z utrzymaniem w zamian za podział zysków, a żwawa, korpulentna paniusia w sztywnej, czarnej sukni i fioletowym kapeluszu próbowała zaangażować go do mającego się odbyć wkrótce kiermaszu na rzecz zubożałych muzyków.

A przez cały ten czas reszta dzieci krążyła w tłumie nie zwracając niczyjej uwagi. Któż bowiem mógłby patrzeć na cokolwiek poza Geraldem? Zrobiło się już późno, dawno minęła pora podwieczorku i Gerald, który był już bardzo zmęczony i całkowicie zadowolony ze swego udziału w zarobkach, wysilał mózg nad wynalezieniem sposobu wydostania się z kłopotliwej sytuacji.

— Jak się z tego wydobyć? — szepnął w chwili, gdy Mabel spowodowała zniknięcie jego czapki w ten sposób, że po prostu zdjęła ją z głowy Geralda i schowała w zanadrzu. — Nigdy nas stąd nie wypuszczą. Tego nie przewidziałem.

— Daj mi się zastanowić — rzekła Mabel, a po chwili szepnęła mu do ucha: — Podzielcie pieniądze i zapłać jej coś za szal. A potem połóż pieniądze na szalu i powiedz... — pouczyła go, co ma powiedzieć.

Miejsce Geralda znajdowało się w cieniu namiotu, gdyż inaczej każdy dostrzegłby cień niewidzialnej Mabel poruszającej się i powodującej znikanie przedmiotów.

Gerald poprosił kobietę, swoją współniczkę, by podzieliła pieniądze, co też uczyniła, zresztą nawet dość uczciwie.

Niecierpliwy tłum naciskał coraz mocniej, ale Gerald na to nie zważał.

— Dam pani pięć szylingów za szal — powiedział.

— Siedem i pół — odrzekła mechanicznie kobieta.

— No, niech będzie — odrzekł Gerald, pakując do kieszeni spodni swój ciężki udział w zarobkach.

— Szal teraz zniknie — dodał, podnosząc szal z ziemi.

Wręczył go Mabel, która natychmiast się nim okryła, i oczywiście szal znikł, co przyjęte zostało przez tłum gromkimi okrzykami uznania.

— A teraz — ciągnął Gerald — przystępuję do ostatniej sztuki magicznej: zrobię trzy kroki w tył i zniknę.

Istotnie zrobił trzy kroki w tył, a Mabel owinęła go niewidzialnym szalem... ale chłopiec nie znikł. Szal, choć niewidzialny, nie ukrywał go w najmniejszym stopniu.

— Aha! — rozległ się czyjś chłopięcy głos z tłumu. — Patrzcie go, on wie dobrze, że tego nie potrafi.

— Żałuję, że nie mogę włożyć cię do kieszeni — rzekła Mabel.

Publiczność tłoczyła się coraz bliżej. W każdej chwili mogli dotknąć Mabel, a wtedy wszystko mogło się zdarzyć, dosłownie wszystko. Gerald obu rękoma chwycił się za głowę, jak to miał w zwyczaju, kiedy był zaniepokojony czy zniechęcony.

Mabel, niewidzialna, załamała ręce, jak to robią podobno bohaterowie książek. To znaczy ujęła jedną dłoń drugą i mocno ścisnęła.

— O — szepnęła nagle Mabel — pierścień zrobił się luźny i mogę go zdjąć.

— Co?...

— Tak, tak, pierścień.

— Dalej, paniczu! — krzyknął jakiś robotnik z pobliskiej farmy. — Pokaż nam coś za nasze pieniądze.

— Pokażę — odparł Gerald. — Tym razem naprawdę zniknę. Wsłiznij się od tyłu do namiotu — szepnął do Mabel — i włóż pierścień pod brezent. A potem wysuń się tą samą drogą i przyłącz się do Kathleen i Jimmy'ego. Kiedy zobaczę cię przy nich — zniknę. Tylko nie spieszcie się, żebym zdążył was dogonić.

— To ja — szepnęła do ucha Kathleen blada i niewątpliwa Mabel. — Teraz on ma pierścień. Chodźmy stąd, zanim tłum zacznie się rozchodzić.

Kiedy przechodzili przez bramę jarmarcznego placu, usłyszeli okrzyki zdziwienia i rozdrażnienia dochodzące od strony tłumu i zrozumieli, że tym razem Gerald naprawdę znikł.

Uszli już z dobrą milę, gdy usłyszeli kroki na drodze i obejrzeni się. Nikogo jednak nie było widać.

W następnej chwili głos Geralda odezwał się jak gdyby znikąd.

— Halo! — zawołał ponuro.

— To straszne! — krzyknęła Mabel. — Aż mnie dreszcz przeszedł. Zdejmij pierścień. Dostaję gęsiej skórki, kiedy cię słyszę, ale nie widzę.

— Tak samo było z nami — wtrącił Jimmy.

— Jeszcze go nie zdejmuj — rzekła Kathleen, która była naprawdę bardzo myślącym dzieckiem jak na swój wiek. — Bo myślę, że jesteś wciąż jeszcze czarny i mogliby cię rozpoznać i porwać Cyganie, tak że musiałbyś wiecznie robić magiczne sztuki.

— Ja bym radził zdjąć — powiedział Jimmy. — Nie ma sensu chodzić niewidzialnym i narażać się na to, żeby ludzie, widząc nas z Mabel, uważali, żeśmy ją porwali.

— Tak — niecierpliwiła się Mabel — to naprawdę nie ma sensu. A poza tym chcę dostać mój pierścień z powrotem.

— Nie jest bardziej twój niż nasz — rzekł Jimmy.

— Owszem, jest — upierała się Mabel.

— Ach, dajcie już spokój! — odezwał się tuż obok znużony głos Geralda. — Po co się spieracie?

— Chcę dostać pierścień — rzekła Mabel, uparta jak muł.

— Chcę, chcę — rozległo się w powietrzu. — Nic ci z tego chcenia nie przyjdzie. Nie dostaniesz pierścienia, bo nie mogę go zdjąć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Trudność polegała nie tylko na tym, że Gerald miał pierścień na palcu, że nie mógł go zdjąć i przez to musiał być niewidzialny, ale także i na tym, że Mabel, którą jako niewidzialną można było bez trudu przemycić do domu, teraz była w pełni widzialna i nie nadawała się do praktyk przemysłowych.

Dzieci musiałyby nie tylko tłumaczyć się z widocznej nieobecności jednego z nich, ale także z oczywistej obecności zupełnie obcej osoby.

— Nie mogę wracać do ciotki — oświadczyła stanowczo Mabel. — Nie mogę i nie chcę, choćbym była dwadzieścia razy widzialna.

— Gdybyś wróciła do ciotki — przyznał Gerald — wywęszyłaby zaraz oszustwo. Mam na myśli tę historię z samochodem i adoptującą hrabiną. Ale co mamy powiedzieć mademoiselle o tobie? — szarpnęła niewidzialnie za pierścień.

— Przypuśćmy, że powiedzielibyście prawdę — rzekła znacząco Mabel.

— Nie uwierzyłaby — odparła Kathleen. — Bo gdyby uwierzyła, popadłaby w dziki, nieopanowany obłąd.

— Nie — odezwał się głos Geralda — nie możemy jej tego powiedzieć. Ale ona jest w gruncie rzeczy bardzo porządnym człowiekiem. Poprośmy ją, żeby ci pozwoliła zostać na noc, bo już za późno, żebyś wracała do domu.

— Tak będzie dobrze — przyznał Jimmy. — Ale co powiemy o tobie?

— Pójdę do łóżka — rzekł Gerald — z piekielnym bólem głowy. I to nawet nie będzie kłamstwo, bo już teraz boli mnie porządnie. To chyba z powodu słońca. Wiem, że czerń przyciąga promienie słoneczne.

— A ja myślę, że to raczej z powodu gruszek i oranżady — rzekł złośliwie Jimmy. — No, ale chodźmy już. Żałuję, że to nie ja jestem niewidzialny. Zrobiłbym coś zupełnie innego niż pójście do łóżka z wielkim bólem głowy.

— A co byś zrobił? — rozległ się głos Geralda tuż za jego plecami.

— Trzymaj się jednego miejsca, ty głuptasie — powiedział Jimmy. — Przez ciebie tracę zupełnie równowagę. — Istotnie, Jimmy potknął się i omal nie upadł. — Idź między Kizią i mną.

— Więc co byś zrobił? — powtórzył Gerald.

— Byłbym włamywaczem — rzekł Jimmy.

Ale dziewczynki obydwie naraz zwróciły mu uwagę, że włamywanie się jest czymś bardzo brzydkim, na co Jimmy odparł:

— W takim razie byłbym detektywem.

— Ale musi być coś do wykrycia — wtrąciła Mabel — nim ktoś zabierze się do wykrywania.

— I detektywi nie zawsze coś wykrywają — przyznał szczerze Jimmy. — Gdybym nie mógł być udanym detektywem, to byłbym nieudanym. Ty mógłbyś zostać dobrym detektywem i mieć z tego powodu całe mnóstwo uciech. Dlaczego byś tego nie miał zrobić?

— Właśnie zamierzałem to zrobić — rzekł Gerald. — Przejdziemy obok posterunku policji i zobaczymy, jakie tam ogłaszają przestępstwa.

Przeszli obok posterunku i odczytali obwieszczenia na ustawionej na zewnątrz tablicy.



Zginęły dwa psy, zgubiono portmonetkę i teczkę z papierami „bez żadnej wartości dla kogokolwiek poza właścicielem”. Włamano się także do pobliskiego dworu i skradziono dużą ilość srebra stołowego. *Dwadzieścia funtów nagrody obiecuje się za wszelką wiadomość, która mogłaby przyczynić się do odzyskania skradzionych przedmiotów.*

— To włamanie — rzekł Gerald — jest w sam raz dla mnie. Wykryję sprawców. A — dodał — tu właśnie idzie sierżant Johnson, wraca ze służby. Przepytaj go o to włamanie. — Biedny detektyw, jako niewidzialny, nie mógł wydobyć od komendanta posterunku szczegółów włamania, lecz młodszy brat naszego bohatera przeprowadził badanie w bardzo zręczny sposób. — Bądź zręczny, Jimmy.

Jimmy zawołał policjanta.

— Halo, panie Johnson — powiedział.

— Halo — odparł Johnson. — Jak się masz, młokosie.

— Sam pan jesteś młokos! — odparł Jimmy bez cienia złośliwości w głosie.

— Co robisz tutaj o tak późnej porze? — spytał żartobliwie policjant. — Wszystkie ptaszki już śpią w swoich gniazdach.

— Byliśmy na jarmarku — powiedziała Kathleen. — Był tam czarnoksiężnik. Szkoda, że go pan nie widział.

— Słyszałem o nim — odparł Johnson. — Wszystko to udawanie. Zręczne ruchy ręki wprowadzają publiczność w błąd.

Tak oto wygląda rozgłos. Gerald stojący w cieniu, aby się pocieszyć, zabrzączał pieniędzmi, które miał w kieszeni.

— A to co? — zagadnął natychmiast policjant.

— To nasze pieniądze brzęczą — wyjaśnił Jimmy w doskonałej zgodności z prawdą.

— Zazdroszczę niektórym ludziom — rzekł Johnson. — Chciałbym mieć pełne kieszenie pieniędzy, żeby nimi pobrzękiwać.

— Więc dlaczego nie ma pan pełnych kieszeni? — spytała Mabel. — Dlaczego pan nie otrzymuje tych dwudziestu funtów?

— Powiem paniące dlaczego. Ponieważ w naszej krainie wolności i w królestwie wszechwładnej Brytanii nie wolno aresztować nikogo na podstawie samych podejrzeń, nawet jeżeli wie się dokładnie, czyja to była robota.

— To skandal! — zawołał Jimmy z przejęciem. — A jak pan przypuszcza, kto to mógł zrobić?

— Ja nie przypuszczam, ja wiem — głos Johnsona zabrzmiał uroczyście. — Zrobił to osobnik znany policji z powodu mnóstwa przestępstw, jakich się dopuścił, bo my nigdy nie mogliśmy mu nic dowieść, to znaczy zebrać dostatecznych dowodów, żeby go skazać.

— W takim razie — rzekł Jimmy — kiedy skończę szkołę, przyjdę do pana na praktykę i zostanę detektywem. Ale teraz wydaje mi się, że lepiej zrobimy, jeżeli wrócimy do domu i wykryjemy kolację. Dobranoc.

Patrzyli, jak rosła postać policjanta znika w wahadłowych drzwiach posterunku, a gdy już drzwi znieruchomiały, rozległ się głos Geralda pełen gorczy.

— Nie masz więcej rozumu niż bułka za pół pensa — oświadczył. — Nie dowiedziałeś się żadnych szczegółów, jak i kiedy srebra zostały skradzione.

— Ależ on powiedział, że wie.

— Tak, tyle się dowiedziałeś. Głupi pomysł głupiego policjanta. Wracaj do domu i wykryj swoją cenną kolację! Do niczego się nie nadajesz.

— Dobrze, ale jak zrobimy z kolacją? — spytała Mabel.

— Bułeczki — odparł Gerald — półpensowe bułeczki. Przywiódą mi na myśl mego kochanego małego braciszka i siostrzyczkę. Może ty będziesz miała dosyć rozumu, żeby kupić bułeczki. Przecież ja w takim stanie nie mogę wejść do sklepu.

— Jakiś ty dokuczliwy — zawołała Mabel. — Robimy, co możemy. Gdybym ja była

Kizia, to nie tak prędko dostałbyś te twoje głupie bułeczki.

— Gdybyś ty była Kizia, dzielny młody detektyw dawno by już opuścił dom. Lepsza kabina najędźniejszego statku niż najwspanialsza rodzinna siedziba, w której znajduje się siostra-złoźnica — rzekł Gerald. — Ty jesteś, jak dotąd, obca, moja miła panienko. Jimmy i Kizia wiedzą aż za dobrze, kiedy ich mężny przywódca droczy się z nimi, a kiedy nie.

— Nic nie wiemy — rzekła ugodowo Kizia — kiedy nie możemy widzieć twojej twarzy. Ja naprawdę myślałam, że jesteś wściekły, a Jimmy tak samo, prawda?

— Et! — zachnął się Gerald. — Chodźmy. Do piekarni idzie się tędy.

Poszli więc do piekarni. Kathleen i Jimmy weszli do środka, a Gerald i Mabel podziwiali w witrynie placki z konfiturami, maślane bułeczki, rogaliki i inne pyszności okryte jasnożółtym muślinem. Gerald wyjaśniał Mabel plany i nadzieje przyszłego detektywa.

— Dziś wieczorem będę miał oczy szeroko otwarte — rozpoczął — mogę cię zapewnić. Oczy będę miał tak szeroko otwarte, że nie popełnię żadnego błędu. Niewidzialny detektyw może nie tylko odnaleźć portmonetkę i srebra, ale nawet wykryć jakąś zbrodnię, której jeszcze nie popełniono. Będę przechadzał się do czasu, aż zobaczę jakieś podejrzenie wyglądające postacie opuszczające miasto, pójdę potajemnie ich śladem i ujmę przestępców na gorącym uczynku, obładowanych mnóstwem bezcennych klejnotów, i oddam w ręce policji.

— Ach! — wykrzyknęła Mabel tak ostro i nagle, że aż Gerald zapomniał o swych detektywistycznych marzeniach.

— Boli? — spytał ze współczuciem. — To na pewno jabłka, były jeszcze zielone.

— Ach, nie o to chodzi — odparła z powagą Mabel. — Ach, jakie to straszne! Przedtem nie przyszło mi to na myśl.

— Co ci nie przyszło na myśl? — spytał niecierpliwie Gerald.

— Okno.

— Co za okno?

— Okno w pokoju z boazerią. U mnie, rozumiesz? Na zamku. To przesądza sprawę: muszę wracać do domu. Zostawiliśmy otwarte okno i okiennicę, a przecież tam są wszystkie klejnoty i inne skarby. Ciocia tam nie pójdzie, nigdy tego nie robi. To rozstrzyga sprawę. Muszę wracać, i to zaraz, w tej chwili.

W tym momencie Kathleen i Jimmy wyszli ze sklepu objuczeni bułeczkami, pośpiesznie więc zaznajomiono ich z sytuacją.

— Widzicie więc, że muszę wracać — zakończyła swą opowieść Mabel, a Kathleen przyznała, że istotnie musi.

Natomiast Jimmy orzekł, że jego zdaniem to się na nic nie zda.

— Bo klucz jest w zamku od środka — wyjaśnił.

— Ciocia bardzo będzie zagniewana — rzekła ze smutkiem Mabel. — Będzie musiała prosić ogrodników, żeby przynieśli drabinę i...

— Hura! — zawołał Gerald. — Tu na mnie przychodzi kolej! Bardziej szlachetny i tajemniczy niż ogrodnicy i drabiny był niewidzialny Jerry. Okno jest obrośnięte bluszczem. I jestem pewien, że trzymając się bluszczu wspiąłbym się aż do okna, zamknąłbym okno i okiennicę, zawiesiłbym klucz na gwoździu i wymknąłbym się z powrotem lawirując pomiędzy gromadą uśpionych domowników. Mam jeszcze mnóstwo czasu. Nie przypuszczam, żeby włamywacze rozpoczynali swoje podłe wyczyny wcześniej niż dobrze po północy.

— A nie będziesz się bał? — spytała Mabel. — I czy to jest bezpieczne? Bo przecież mogą cię przyłapać.

— Wykluczone, nie mogą mnie przyłapać — odparł Gerald, zdziwiony, że takie pytanie zadała Mabel, a nie Kathleen, która zazwyczaj skłonna była rozwodzić się trochę denerwująco o niebezpieczeństwach i szaleństwie przygód.

Ale Kathleen powiedziała tylko:

— No to do widzenia. Jutro przyjdziemy zobaczyć się z tobą, Mabel. Koło świątyni

Flory o wpół do jedenastej. Mam nadzieję, że ci się nic nie przytrafi z powodu pani z samochodem.

— A teraz chodźmy na kolację — rzekł Jimmy.

— Dobrze — odparł z pewną goryczą Gerald. Trudno jest wstąpić na drogę takich przygód, jakie podejmował, i przekonać się, że nie budzi to dostatecznego współczucia i zainteresowania. Gerald był przekonany, że w takiej chwili powinien stać się ośrodkiem zainteresowania. Tymczasem nie był. Pozostała trójka rozmawiała spokojnie o kolacji. Dobrze, niech i tak będzie. On o to nie dba. Powiedział ostro i surowo:

— Zostawcie okno od spiżarni nie domknięte, żebym mógł się dostać, kiedy skończę pracę detektywa. Chodźmy, Mabel. — Ujął ją za rękę. — Ach, ale bułeczki — dodał, przypominawszy sobie o nich w porę. Chwycił torbę z bułeczkami, wręczył ją Mabel, po czym echo czterech par butów rozległo się w ulicy Głównej.

\*

Mademoiselle siedziała w salonie przy oknie i przy gasnącym świetle dnia czytała listy.

— A, vous voici \*! — powiedziała ściszym głosem. — Znów spóźniliście się. A gdzie jest Gerald?

Była to straszna chwila. Detektywistyczny plan Jimmy'ego nie przewidywał żadnej odpowiedzi na to nieuchronne pytanie. Milczenie trwało nieprzerwanie, aż wreszcie Jimmy przemówił:

— Gerald powiedział, że pójdzie zaraz do łóżka, bo boli go głowa.

Co oczywiście było prawdą.

— Biedny Gerald! — rzekła mademoiselle. — Czy mam mu zanieść coś do jedzenia?

— O, nie — odparła Kathleen — on nigdy nic nie je, kiedy go boli głowa.

Co również było prawdą.

Jimmy i Kathleen poszli spać bynajmniej nie przejmując się losem swego brata. A mademoiselle wydobyla na powrót paczkę listów i zabrała się do czytania ich wśród resztek pozostałych z kolacji.

\*

— To wspaniałe być tak późno na dworze — odezwał się Gerald w zapadającym zmierzchu.

— Tak — odezwała się Mabel, krocząca na pozór samotnie po jezdni. — Mam nadzieję, że ciocia nie będzie się bardzo gniewać.

— Zjedz jeszcze jedną bułeczkę — zaproponował uprzejmie Gerald, po czym oboje zaczęli się posilać.

Bladej i drżącej Mabel ciotka we własnej osobie otworzyła drzwi przeznaczone dla służby. Patrzyła ponad głową Mabel, jak gdyby spodziewając się ujrzeć kogoś wyższego wzrostem. Wreszcie rozległ się bardzo cichutki głosik:

— Ciociu!

Ciotka cofnęła się, a następnie zrobiła krok w stronę Mabel.

— Ach, ty nieznośna, nieznośna dziewczyno! — zawołała. — Jak mogłaś mnie tak nastraszyć? Powinnaś właściwie zapędzić cię do łóżka co najmniej na tydzień, moja panno. Ach, Mabel, dzięki Bogu, że wróciłaś zdrowo! — To mówiąc, objęła Mabel ramionami, a Mabel objęła ciotkę w uścisku, jakiego nigdy dotąd nie wymieniły.

— Zdaje mi się, ciociu, że nie byłaś o mnie zbyt z troskana dziś rano — rzekła Mabel, gdy nagle uprzytomniła sobie, jak bardzo jej ciotka była niespokojna i jak naprawdę ucieszyła się, że ma ją znowu bezpiecznie w domu.

\* Vous voici! (franc.) — Jesteście!

— Skąd wiesz?

— Byłam tu i podsłuchiwałam. Nie gniewaj się, ciociu.

— Zdaje mi się — rzekła nagle ciotka — że już nigdy nie mogłabym gniewać się na ciebie, teraz kiedy mam cię z powrotem.

— Ale jak to było w czasie mojej nieobecności? — spytała Mabel.

— Moja droga — odparła z przejęciem ciotka. — Byłam jakby w transie. Myślałam, że się rozchoruję. Zawsze cię bardzo lubiłam, tylko nie chciałam cię psuć. Ale wczoraj, około wpół do czwartej, rozmawiałam o tobie z panem Lewsonem na jarmarku i w pewnej chwili poczułam, że mnie nic nie obchodzisz, i to samo czułam, gdy dostałam twój list i kiedy tu przyszły te dzieci. Ale później, po podwieczorku, nagle jakbym zbudziła się i uświadomiłam sobie, że ciebie nie ma. To było okropne. Myślałam, że się rozchoruję. Ach, Mabel, dlaczego to zrobiłaś?

— To był żart — rzekła półgłosem Mabel. Po czym obydwie weszły do środka, zatrzymując się przy drzwiach.

— To zupełnie niezwykle zdarzenie — mruknął Gerald za drzwiami. — Wygląda na jakieś nowe czary. Wydaje mi się, żeśmy ich wcale jeszcze nie zgłębili. W tym zamku dzieją się rzeczy, jakich oko nie widziało.

Istotnie tak było. Bo ten właśnie zamek... zresztą nic nie powiem. Byłoby niełojalne w stosunku do Geralda ujawniać więcej, niż on wiedział tego wieczoru, kiedy chodził samotny i niewidzialny dookoła zamku i w jego ogromnym cieniu wypatrywał otwartego okna pokoju z boazerią. Owego wieczoru nie wiedział więcej, niż wam już opowiedziałam. Ale gdy tak szedł po zielonych trawnikach, między grupami krzewów i drzew, gdzie sadzawki jak olbrzymie zwierciadła odbijały spokojne gwiazdy, a białe kształty posągów wynurzały się z mroku, poczuł, że jest... nie podniecony, nie zadziwiony ani też niespokojny, ale — jakiś inny.

Przygoda z niewidzialną królewną zaskoczyła go, przygoda z robieniem czarów była podniecająca, a nagle postanowienie, że będzie detektywem, obudziło w nim różne niepokoje. Lecz wszystkie te zdarzenia, jakkolwiek cudowne i niezwykle, zdawały się mimo wszystko mieścić w kręgu rzeczy możliwych. Cudowne jak doświadczenia chemiczne, kiedy to dwa płyny zmieszane z sobą wytwarzają ogień, zaskakujące jak żonglowanie, przejmujące jak pokaz kuglarstwa, ale nic poza tym. Natomiast teraz naszło go nowe uczucie, gdy tak wędrował po ogrodach zamkowych. W dzień były one jak senne marzenie, a w nocy jak wizje. Idąc, nie widział swych stóp, ale widział poruszenia rośnych źdźbeł traw, które przygniatał nogami. I miał to niezwykle uczucie, tak trudne do opisanego, a jednak tak rzeczywiste i niezapomniane, uczucie, że znalazł się w innym świecie, który przykrył i zasłonił stary świat jak dywan przykrywa podłogę. Podłoga, owszem, była tam, pod spodem, on jednak kroczył po dywanie, który ją zakrywał, a ten dywan był przesycony czarami jak trawnik bywa przesycony rosą.

Było to cudowne uczucie; może zaznacie go kiedyś i wy. Są bowiem jeszcze miejsca na świecie, gdzie można go doznać, ale ich ilość maleje z każdym dniem.

Czarodziejstwo ogrodu trzymało chłopca w swojej władzy.

„Jeszcze nie pójde do zamku — mówił sobie w myśli. — Jest na to za wcześnie. I może już nigdy nie będę tutaj nocą. Myślę, że to noc sprawia, że wszystko wygląda inaczej”.

Coś białego poruszyło się pod płaczącą wierzbą, białe ręce rozsunęły długie, szeleszczące liście. Wyłoniła się spomiędzy nich biała postać, stworzenie z rogami i nogami kozła, a głową i ramionami chłopca. I Gerald wcale się nie bał. To było najcudowniejsze ze wszystkiego, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Biała postać wyciągnęła ramiona, potoczyła się po trawie, wyprostowała i pomknęła przez trawnik. Ale jeszcze coś białego widniało pod wierzbą; Gerald zrobił trzy kroki i stwierdził, że był to cokolwiek posągu — pusty.

„Ożywają — pomyślał. Teraz inny biały kształt wyłonił się ze świątyni Flory i znikł wśród krzewów laurowych. — Posągi ożywają”.

Rozległ się chrzęst żwiru na ścieżce. Coś ogromnie długiego i ciemnoszarego wytoczy-

ło się w jego stronę, ciężko i powoli. Księżyc wypłynął w samą porę, by ukazać kształt stworzenia. Był to jeden z wielkich jaszczurów, które można obejrzeć w Kryształowym Pałacu, zrobiony z kamienia, tych samych potwornych rozmiarów, jakie te zwierzęta miały przed milionami lat, kiedy były panami świata, zanim stał się nim Człowiek.

„Ono nie może mnie widzieć — pomyślał Gerald. — I wcale się nie boję. Ono także ożyło”.

Kiedy stwór przesunął się koło niego, Gerald wyciągnął rękę i dotknął olbrzymiego ogona. Był z kamienia. Stwór n i e o ż y ł, jak mu się zdawało, ale b y ł ż y w y w swej kamiennej postaci. Przy dotknięciu jednak odwrócił się, lecz Gerald odwrócił się również i popędził z całych sił w stronę domu. Bo przez to kamienne dotknięcie Strach naszedł ogród i niemal dosięgnął chłopca. Gerald umykał przed Strachem, nie zaś przed poruszającą się kamienną bestią.

Zatrzymał się, ciężko dysząc, pod piątym oknem. Kiedy wspiał się na parapet po gęstym bluszczu pnącym się po murze, spojrzął za siebie na ciemniejszy stok — w sadzawce z rybami, która odbijała gwiazdy, plusnęło — kształt wielkiego kamiennego stworu przesunął się w płytkiej wodzie pośród lilii wodnych.

Będąc już w pokoju, Gerald odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć. Sadzawka była nieruchoma i ciemna i odzwierciedlała księżyc. Poprzez gałęzie płaczącej wierzby światło księżyca padało na posąg stojący cicho i nieruchomo na swym cokole. Teraz w ogrodzie wszystko było na swoim miejscu. Nic nie poruszało się, nawet nie drgnęło.

„Co za niezwykła historia! — pomyślał Gerald. — Nie wyobrażałem sobie, że można zasnąć, wędrując po ogrodzie, i śnić w taki sposób”.

Zamknął okno, zapalił zapałkę i zamknął okiennicę. Dzięki drugiej zapałce ujrzał drzwi. Przekręcił klucz w zamku, wyszedł, ponownie przekręcił klucz, powiesił go na gwoździu i poszedł aż do końca korytarzyka. Tu zaczekał, bezpieczny w swej niewidzialności, aż odbłask zapałek znikł mu z oczu i mógł ponownie odnaleźć drogę przy świetle księżyca, które padało jaskrawymi plamami na posadzkę poprzez okratowane, lecz nie osłonięte okiennicami okna hallu.

„Gdzie też tu może być kuchnia? — pomyślał. Zupełnie zapomniał o tym, że jest detektywem. Chciał tylko jak najprędzej wrócić do domu i opowiedzieć rodzeństwu o niezwykle dziwnym śnie, jaki miał w ogrodzie. — Przypuszczam, że to wszystko jedno, które drzwi otworzę. Myślę, że jestem w dalszym ciągu niewidzialny. Tak, nie widzę własnej ręki, choć ją trzymam tuż przed oczyma. — Wyciągnął dłoń na wysokość oczu. — Idziemy!”

Otwierał różne drzwi po kolei, wędrował po rozległych pokojach, gdzie meble były pokryte brunatnym obiciem, wyglądającym biało w tym dziwnym świetle, szedł przez pokoje, gdzie osłonięte pokrowcami żyrandole zwisały z wysokich sufitów, przez pokoje, które żyły obrazami rozwieszonymi na ścianach, i przez pokoje, które jakby zamarły od ciężaru starych ksiąg stojących rzędami na półkach, przez wspaniałe sypialnie, w których na wielkich łóżach z baldachimami musiała z pewnością spać królowa Elżbieta. (Królowa ta, mówiąc nawiasem, musiała chyba mało przebywać u siebie, bo, jak się zdaje, spała w każdym starym domu Anglii). Lecz wciąż nie mógł znaleźć kuchni. Aż wreszcie jakieś drzwi otworzyły się na kamienne schody wznoszące się w górę — dalej był wąski, kamienny korytarz, a potem schody biegnące w dół aż do drzwi, pod którymi widać było światło. I nagle okazało się, nie wiadomo dlaczego, że trudno jakoś położyć rękę na klamce, by owe drzwi otworzyć.

!Bzdura! — powiedział do siebie Gerald. — Nie bądź osłem! Czy jesteś niewidzialny, czy nie?”

Po czym otworzył drzwi, a ktoś wewnątrz mruknął coś chrapliwie.

Gerald cofnął się, przyłgął do ściany, a jakiś człowiek przyskoczył do drzwi i oświetlił latarką przejście.

— Wszystko w porządku — powiedział ów człowiek jakby z westchnieniem ulgi. —

Drzwi same się otworzyły.

— Niech licho porwie drzwi! — odparł inny chrapliwy głos. — Byłem już prawie pewien, że to jakiś policaj.

Zamknęli drzwi z powrotem. Gerald wcale się tym nie zmartwił. Nawet wolał, żeby drzwi były zamknięte. Nie podobał mu się wygląd tych ludzi. Było w nich coś groźnego. W ich obecności nawet niewidzialność zdawała się zbyt słabym ukryciem. A poza tym Gerald widział już to, co chciał widzieć. Przekonał się, że miał rację, mówiąc o bandzie zbójów. Poszczyściło mu się — karciarz nazwałby to szczęściem początkującego — i wykrył włamywaczy w pierwszą noc swojej kariery detektywa. Bandyci rabowali srebro z dwóch wielkich szaf, owijali je w szmaty i pakowali do parcianych worków. Drzwi tego pokoju były z żelaza grubego na sześć cali. Był to bowiem skarbiec i włamywacze otworzyli zamek wytrychem. Narzędzia, z pomocą których to uczynili, znajdowały się na ziemi, ułożone starannie na ściereczce, w jakiej stolarze przechowują swój sprzęt.

— Pośpiesz się! — usłyszał Gerald. — Nie musisz na to marnować całej nocy.

Srebra z lekka zadźwięczały.

— Trzaskasz tymi tacami niczym kastanietami — rzekł bardziej ochryply z głosów.

Gerald zawrócił i odszedł z wielkim pośpiechem, ale i bardzo ostrożnie. A najdziwniejsze było to, że chociaż przedtem, kiedy tylko o tym myślał, nie mógł znaleźć drogi do skrzydła zamku przeznaczonego dla służby, to teraz, gdy umysł miał, by tak rzec, wypełniony srebrnymi widelcami i srebrnymi kubkami oraz zaprzątnięty pytaniem, czy ktoś mógłby iść jego śladem wzdłuż krętych korytarzy — poszedł prosto jak strzała do drzwi wiodących z hallu do miejsca, w którym chciał się znaleźć.

A gdy szedł, wydarzenia sprzed chwili przybrały w jego umyśle kształt określonych słów.

— Przemysłny detektyw — powiedział sam do siebie — osiągnąwszy sukces przechodzący najśmielsze jego wyobrażenia, opuścił miejsce przestępstwa w poszukiwaniu pomocy.

Ale jakiej pomocy? W zamku niewątpliwie byli ludzie, a także i ciotka, lecz ich nie mógł ostrzec. Był zbyt beznadziejnie niewidzialny, aby mieć jakiś wpływ na obcych mu ludzi.

Pomoc Mabel niewiele by znaczyła. Policja? Zanim by się ją sprowadziło — a sprowadzenie jej przedstawiało niejakie trudności — włamywacze zdążyliby umknąć ze swymi workami srebra.

Gerald zatrzymał się i mocno zamyślił, aż głowę ujął oburącz, by sobie ułatwić myślenie. Znacie ten sposób — tak samo postępujecie przy rozwiązywaniu prostych równań czy przypominaniu sobie dat z dziejów wojny domowej. Następnie za pomocą ołówka, notesu, parapetu okiennego i całej pomysłowości, na jaką mógł zdobyć się w danej chwili, napisał:

*Znacie pokój, gdzie przechowywane jest srebro. Włamywacze rabują tam, otworzyli żelazne drzwi. Proszę posłać kogoś po policję. Pójdą śladem włamywaczy, jeśli wyjdą przed przybyciem policji na miejsce.*

Zawahał się chwilę i zakończył:

*Przyjaciel, a nie żaden nabieracz.*

List ten przywiązany mocno do kamienia sznurowadłem wleciał przez okno do pokoju, gdzie Mabel ze swą ciotką, wciąż nie mogącą nacieszyć się jej powrotem, jadły nader smaczną kolację: kompot ze śliwek ze śmietanką, ciasto biszkoptowe z kremem i leguminę z ryżu.

Gerald, głodny w swej nie widzialności, spojrział tęsknie na tę kolację, zanim rzucił kamień. Począł, aż okrzyki zdziwienia ucichną, i upewnił się, że kamień został podniesiony, a ostrzegawczy list przeczytany.

— Bzdura! — zawołała ciotka powoli się uspokajając. — Co za złośliwy żart! Bo to

oczywiście żart!

— Ach, ciociu — błagała Mabel — pošlij po policję, jak on proponuje!

— Jak kto proponuje? — zachnęła się ciotka.

— No ten, kto to napisał — jęknęła Mabel.

— Pošlijcie natychmiast po policję — zawołał Gerald z zewnątrz najbardziej męskim głosem, na jaki mógł się zdobyć. — Same pożałujecie, jeśli nie zrobicie tego. Bo ja już nic więcej dla was zrobić nie mogę.

— Ja... ja poszczuję cię psami! — krzyknęła ciotka.

— Ach, ciociu, nie rób tego! — Mabel aż trzęsła się z przejęcia. — To prawda, ja wiem, że to prawda. Obudź Batesa.

— Nie wierzę ani jednemu słowu — rzekła ciotka.

Bates też nie wierzył, kiedy na uporczywe nalegania Mabel ciotka go zbudziła. Jednakże gdy obejrzał list i miał do wyboru albo pójść do skarbcza i sprawdzić, czy rzeczywiście coś się tam działo, czy też pojechać rowerem na policję, wybrał to ostatnie.

Kiedy policja przybyła, drzwi skarbcza stały otworem, a srebro czy też tyle srebra, ile trzech ludzi mogło unieść, znikło.

Notes i ołówki Geralda znów poszły w ruch, choć była już późna noc.

Dopiero o piątej nad ranem wśliznął się do łóżka, zmęczony i zmarznięty na kość.

\*

— Paniczu! — uszu Geralda doszedł głos Elizy. — Jest już siódma i bardzo piękny dzień. I było nowe włamanie w mieście... Ojej! — krzyknęła, gdy rozsunawszy zasłony odwróciła się w stronę łóżka. — Spójrzcie na to łóżko, całe wysmarowane, a jego nie ma! Oj, mój Boże! — krzyk był jeszcze głośniejszy.

Kathleen wybiegła pędem ze swego pokoju, a Jimmy usiadł w łóżku i przetarł oczy.

— Co się stało? — zawołała Kathleen.

— Nie wiem już sama, co się ze mną dzieje. — To mówiąc, Eliza usiadła ciężko na skrzyni. — Najpierw jego łóżko było puste i wysmarowane, jakby kominiarz w nim leżał, a potem kiedy spojrzałam jeszcze raz, widzę, że on tam jest i był cały czas. Ja chyba zwariuję. Już myślałam to sobie, kiedy wczoraj rano słyszałam głosy anielskie. Ale powiem ja mam-selle o tobie, mój ty chłopczyku, o twoich sztuczkach, możesz być tego pewien. Wysmarować się na czarno jak brudne Murzyniátko i pobrudzić całą czystą pościel, poszewki i prześciera-dła, tego już za wiele!

— Posłuchaj, Elizo — powiedział Gerald powoli — chcę ci coś powiedzieć.

Eliza tylko na to prychnęła, co nie było z jej strony ładne. Ale swoją drogą doznała prawdziwego wstrząsu i jeszcze z niego nie ochłonęła.

— Czy potrafisz dochować tajemnicy? — spytał Gerald z wielką powagą, choć czarna sadza trzymała się jeszcze jego twarzy.

— Tak — odparła Eliza.

— No więc dochowaj jej, a dam ci dwa szylingi.

— Ale co panicz miał mi powiedzieć?

— To właśnie. O dwóch szylingach i tajemnicy. I pamiętaj trzymać usta zamknięte na kłódkę.

— Właściwie nie powinnam tego przyjmować — rzekła Eliza, wyciągając skwapliwie rękę. — A teraz proszę wstać i starannie się umyć, paniczu.

— Ach, tak się cieszę, że wróciłeś bezpiecznie — powiedziała Kathleen, kiedy Eliza wyszła z pokoju.

— Zdaje się — odparł chłodno Gerald — że nie troszczyłaś się o mnie zbytnio wczoraj wieczorem.

— Sama nie rozumiem, jak mogłam cię puścić. Rzeczywiście nie troszczyłam się o to

wczoraj wieczorem. Ale dziś rano, kiedy się zbudziłam i przypomniałam sobie wszystko...

— No dobrze, dosyć już tego, uspokój się już, uspokój — mówił Gerald, wyrwijając się z czułych uścisków siostry.

— Jak to się stało, żeś się zrobił widzialny? — spytał Jimmy.

— Akurat kiedy ona mnie zawołała, pierścień sam zszedł mi z palca.

— Opowiedz nam wszystko — domagała się Kathleen.

— Jeszcze nie teraz — odparł tajemniczo Gerald.

— A gdzie jest pierścień? — spytał po śniadaniu Jimmy. — Teraz ja chcę go wypróbować.

— Ach, zapomniałem zupełnie — odpowiedział Gerald — przypuszczam, że został gdzieś w łóżku.

Ale tam go nie było. Eliza posłała już łóżko.

— Mogę przysiąc, że nie było żadnego pierścionka — zapewniała. — Gdyby był, zauważyłabym.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

— Gdy wszelkie poszukiwania okazały się daremne — rzekł Gerald, kiedy już przeszukano każdy zakątek sypialni, a pierścienia nie znaleziono — szlachetny detektyw, bohater naszej opowieści, oświadczył, że za chwilę będzie bardzo zajęty i jeżeli reszta rodzeństwa chce usłyszeć o zdarzeniach ubiegłej nocy....

— Zaczekajmy, aż spotkamy się z Mabel — wtrąciła bohaterko Kathleen.

— Spotkanie było wyznaczone na wpół do jedenastej, prawda? Dlaczego Gerald nie miałby opowiedzieć nam tego po drodze? Nie przypuszczam zresztą, żeby tak wiele się zdarzyło. — To oczywiście powiedział Jimmy.

— To, co mówisz — odparł łagodnie Gerald — świadczy tylko, ile t y wiesz. Melancholijna Mabel wyczekiwać będzie spotkania bez powodzenia tym razem. „Bo ja mam większe kłopoty, większe kłopoty, większe kłopoty!” — zaśpiewał na nutę wesołego marsza, aż Kathleen go uszczypnęła.

Jimmy obrzucił go zimnym wzrokiem i odwrócił się, mówiąc:

— Kiedy ty wreszcie z tym skończysz?

Lecz Gerald śpiewał dalej.

— Jak możesz być tak strasznie dokuczliwy? — spytała Kathleen.

— Sam nie wiem — odpowiedział Gerald. — Brak snu czy też upojenie... ma się rozumieć powodzeniem. Chodźcie, gdzie nikt nas nie będzie mógł słyszeć.

Otworzył nagle drzwi. No i oczywiście za drzwiami stała nisko pochylona Eliza. Zaczęła niezręcznie wycierać z kurzu boazerię, lecz udawanie to na nic się nie zdało.

— Czy wiesz, że z podsłuchiwania nigdy nic dobrego nie wynika? — rzekł surowo Jimmy.

— Ja wcale nie podsłuchiwałam, także coś! — broniła się Eliza, której uszy stały się nagle purpurowe.

Rodzeństwo wyszło z domu. Poszli ulicą Główną, siedli na cmentarnym murku i wymachiwali nogami. A przez cały ten czas usta Geralda były mocno zaciśnięte.

— A teraz — rzekła Kathleen — Jerry, nie bądź upartym kozłem! Umieram po prostu z ciekawości, żeby dowiedzieć się, co się stało.

— No dobrze — odparł Gerald i opowiedział całą swą przygodę. W miarę jak opowia-



dał, coś z bladej tajemnicy i czaru rozświetlonego księżycem ogrodu przeniknęło do jego głosu i słów, a kiedy mówił o posągach, które ożyły, i wielkiej bestii, która była żywa, choć cała z kamienia, Kathleen ścisnęła go za ramię z przejęcia i nawet Jimmy przestał kopać murek obcasami i słuchał szeroko otworzywszy usta.

A potem przyszła wstrząsająca opowieść o włamywaczach i ostrzegawczym liście ciśniętym nagle między Mabel i jej ciotkę, które w pogodnym nastroju spożywały leguminę z ryżu. Gerald opowiadał to wszystko z wielkim zapałem i taką obfitością szczegółów, że zegar kościelny wybił wpół do dwunastej w chwili, gdy mówił:

— Dokonałszy wszystkiego, co w ludzkiej mocy, i straciwszy nadzieję, że pomoc nadejdzie, nasz dzielny młody detektyw... Halo, oto Mabel.

Istotnie, była to Mabel. Zeskoczyła z chłopskiego wózka niemal do ich stóp.

— Nie mogłam już dłużej czekać — wyjaśniła — kiedy was wciąż nie było i nie było. No i ktoś mnie podwiózł. Czy stało się coś nowego? Włamywacze już się ulotnili, kiedy Bates dotarł do skarbcza.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że cała ta historyjka jest prawdziwa? — spytał Jimmy.

— Ma się rozumieć, że tak — odparła Kathleen. — Opowiadaj dalej, Jerry. On doszedł właśnie do chwili, kiedy rzucił kamieniem w waszą leguminę z ryżu, Mabel. Mów dalej.

Mabel wspięła się na murek.

— Stałeś się widzialny o wiele prędzej niż ja — powiedziała.

Gerald skinął głową i ciągnął dalej:

— Nasza opowieść musi być opowiedziana jak najkrócej, ponieważ o dwunastej chcę się pozbyć moich kłopotów, a już jest przeszło wpół. Otóż pozwalając swemu posłannictwu spełnić jego ostrzegawczą rolę Gerald-Sherlock Holmes pośpieszył z powrotem, spowity w swą niewidzialność, na miejsce, gdzie przy świetle ślepych latarek włamywacze nadal grabili z jak największą dokładnością i pośpiechem. Nie widziałem żadnego sensu w narażaniu się na niebezpieczeństwo, więc po prostu czekałem na zewnątrz korytarzyka, gdzie kończą się schodki — wiesz sama...

Mabel skinęła głową.

— Wyszli wreszcie, oczywiście bardzo ostrożnie, i rozejrzeli się dokoła. Mnie nie widzieli, więc myśląc, że ich nikt nie obserwuje, przeszli po kolei przez korytarzyk — jeden z worków ze srebrem otarł się o mnie — i znikli w ciemnościach nocy.

— Ale w którą stronę poszli?

— Przeszli przez mały pokój zwierciadlany, gdzie przyglądałaś się sobie, kiedy byłaś niewidzialna. Nasz bohater pośpieszył za nimi w swych niewidzialnych tenisówkach. Trzej złoczyńcy natychmiast skryli się w cieniu drzew, przeszli, skradając się, wśród rododendronów, a potem przez park — Gerald zniżył głos i wpatrzył się wprost przed siebie w różowy powój wyrastający z kupki kamieni na zboczu białej od pyłu drogi — a kamienne stwory, które ożyły, spoglądały spomiędzy krzewów i spod drzew. Widziałem je dokładnie, choć one mnie nie widziały. Ale widziały włamywaczy, choć włamywacze nie mogli ich widzieć. Dziwne to, prawda?

— Kamienne stwory? — Mabel musiała mieć wszystko opowiedziane od początku.

— Nigdy nie zauważyłam, żeby ożywały — szepnęła — a byłam przecież w ogrodzie wieczorem mnóstwo razy.

— Ja widziałem, jak ożyły — odparł sucho Gerald.

— Wiem, wiem — zgodziła się pośpiesznie Mabel. — Chciałam tylko powiedzieć, że nie dziwiłabym się, gdyby one były widzialne, kiedy samemu jest się niewidzialnym. To znaczy, mam na myśli ich ożywianie, a nie ich kamiennosc.

Gerald zrozumiał, a jestem pewna, że i wy zrozumieliście.

— Nie dziwiłbym się, gdybyś miała rację — powiedział. — Ogród zamkowy jest na

pewno zaczarowany: chciałbym tylko wiedzieć, jak i dlaczego. No, ale chodźmy już, muszę złapać Johnsona przed dwunastą. Do rynku pójdziemy, a potem będziemy musieli biec.

— Ale opowiadaj dalej swoją przygodę — rzekła Mabel. — Możesz mówić po drodze. Ach, jakie to przejmujące!

To, oczywiście, sprawiło przyjemność Geraldowi.

— Więc szedłem za nimi, rozumiecie, jak we śnie, a oni zniknęli w jakiś ukradkowy sposób — w taki, wiecie, w jaki myśmy weszli — i już byłem pewien, że zgubiłem ich ślad. Musiałem czekać, aż zaczną wędrować drogą, i uważać, żeby nie słyszeli moich kroków na kamieniach, a musiałem się spieszyć, żeby ich dopędzić. Zdjąłem trzewiki — myślę, że moje pończochy są na nic — i szedłem za nimi, i szedłem, a oni przemierzali tę dzielnicę, gdzie mieszkają biedni ludzie, a potem prosto do rzeki. No i... O, już musimy pędzić.

Tak więc opowieść skończyła się i zaczął się bieg.

Dopadli Johnsona na jego własnym podwórku. Mył się w miednicy ustawionej na ławce przy kuchennych drzwiach.

— Niech pan słucha, panie Johnson — zawołał Gerald — co pan mi da, jeśli pomogę panu zdobyć tych pięćdziesiąt funtów nagrody?

— Połowę — odparł pośpiesznie Johnson — i kuksańca w łeb, jeśli przychodzisz tu z jakąś bzdurą.

— To żadna bzdura — powiedział z wielkim przekonaniem Gerald. — Jeśli wpuści nas pan do domu, opowiem panu wszystko. A kiedy pan złapie włamywaczy i odbierze im łup, da mi pan po prostu szylinga na szczęście. Nie chcę więcej.

— Wejdźcie w takim razie do środka — zgodził się Johnson — a panienki niech mi wybaczą, muszę się wytrzeć. Ale założę się, że chcecie ode mnie czegoś więcej. Bo inaczej dlaczego sami nie ubiegacie się o nagrodę?

— Wielka jest mądrość Johnsona, jego słowa mają skrzydła. — Dzieci znalazły się teraz wszystkie wewnątrz domku, a drzwi zostały zamknięte. — Niech pan tylko przed nikim się nie zdradzi, kto panu powiedział. Niech ludzie myślą, że to wszystko wyłącznie dzięki pana dzielności i daleko- wzroczności.

— Siadaj — rzekł Johnson — ale jeśli mnie nabierasz, to lepiej od razu wyślij panienki do domu, nim się do ciebie zabiorę.

— Nie nabieram — odparł wyniośle Gerald — nic podobnego. W dodatku każdy z wyjątkiem policjanta zrozumiałby, dlaczego nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że to ja. Wykryłem ich w środku nocy, w miejscu, gdzie nie powinienem był się znajdować. I gdyby w domu wykryto, że wychodziłem prawie na całą noc, to wynikłaby wściekła awantura. Rozumiesz już chyba teraz, panie niedowiarku.

Johnson, jak Jimmy później stwierdził, był teraz zbyt zainteresowany sprawą, by zwracać uwagę na jakiegokolwiek docinki. Powiedział, że rozumie, i domagał się dalszych wyjaśnień.

— Dobrze, tylko niech pan mi nie zadaje pytań, a opowiem panu wszystko, co tylko może się panu przydać. Wczoraj około jedenastej wieczorem byłem na terenie zamku. Nie, nie, to nie ma znaczenia, jak i po co się tam dostałem. Dość, że było otwarte okno, przez które wszedłem, i że zauważyłem światło. Światło paliło się w skarbcu i było tam trzech ludzi pakujących srebro do worka.

— Czy to ty ostrzegłeś domowników, którzy posłali po policję? — Johnson z zaciekawieniem wpatrywał się w Geralda, rozparty w fotelu.

— Tak, to ja. Ale pan może powiedzieć, że to właśnie pan. Pan wtedy nie był na służbie, prawda?

— Tak — odparł Johnson — po prostu przebywałem... jak to mówią, w objęciach Morfeusza\*.

\* Morfeusz — grecki bóg snu.

— Otóż policja nie zjawiała się dostatecznie szybko. Ale ja tam byłem, samotny detektyw. I śledziłem złoczyńców.

— Ty?

— Tak, ja. I widziałem, jak ukryli łup. Wiem także, że i inne skarby z zamku są tam ukryte. I słyszałem, jak umawiali się, kiedy je mają zabrać.

— Chodźmy, pokażesz mi, gdzie to jest — zawołał Johnson zrywając się tak szybko z fotela, że ten wywrócił się z hałasem na ceglana podłogę.

— Nie — odparł spokojnie Gerald. — Jeśli pan pójdzie na miejsce przed wyznaczonym czasem, znajdzie pan srebra, ale nie złapie pan złodziei.

— To racja. — Policjant podniósł fotel i usiadł w nim z powrotem. — No więc?

— Więc ma tam być samochód, który będzie czekał na nich w uliczce za przystanią dla łodzi, koło zajazdu, tej nocy o pierwszej. A o wpół do pierwszej złodzieje mają wszystko wynieść i przewieźć do samochodu łódką. Wtedy będzie pan miał okazję okryć się chwałą i napełnić swoje kieszenie forszą.

— No tak! — Johnson wciąż jeszcze był zamyślony i miał minę pełną powątpiewania. — No tak! Chyba nie mogłeś tego wszystkiego wymyślić sobie.

— Owszem, mogłem. Ale tak nie było. Więc niech pan słucha, panie Johnson! To jest okazja, jaka się panu trafia raz w życiu! Szylinga dla mnie i całkowite milczenie, a rzecz jest zrobiona. Zgadza się pan?

— Owszem, zgadzam się — odparł Johnson. — Zgadza się. Ale jeżeli to jest nabieranie...

— Czy pan nie widzi, że on mówi prawdę? — wtrąciła niecierpliwie Kathleen. — On wcale a wcale nie jest kłamcą, nikt z nas nie jest.

— Jeżeli pan nie chce — rzekł Gerald — to niech pan powie od razu, a znajdę innego policjanta, co będzie miał więcej rozumu.

— Mógłbym opowiedzieć wszystkim, że nie byłeś w domu przez całą noc — rzekł Johnson.

— Nie mógłby pan zrobić czegoś podobnego — powiedziała z przekonaniem Mabel. — Niechże pan nie będzie takim niedowiarkiem, kiedy staramy się oddać panu przysługę.

— Na pana miejscu — doradził Gerald — poszedłbym tam, gdzie ukryte jest srebro, z dwoma innymi policjantami. Moglibyście urządzić świetną zasadzkę w składzie drzewa tuż obok. Poza tym umieściłbym jeszcze dwóch czy trzech ludzi na drzewach w uliczce, żeby czekali na samochód.

— Mógłbyś naprawdę być komisarzem policji — rzekł Johnson z podziwem. — Ale przypuścimy, że to wszystko zmyślane.

— W takim razie robi pan z siebie osła — wtrącił Jimmy. — I myślę, że chyba nie pierwszy raz.

— Więc zgadza się pan? — zawołał pośpiesznie Gerald. — A ty zamknij paszczkę, Jimmy, ty idioto!

— Tak — rzekł Johnson.

— W takim razie, kiedy pan zacznie służbę, niech pan idzie do składu drzewa. Miejsce, gdzie pan mnie zobaczy, jak wycieram nos, to właśnie miejsce, gdzie ukryto łup. Worki są przywiązane do słupów pod wodą. Niech pan tylko się przejdzie tam w całej swojej okazałości i zapamięta to miejsce. Tam właśnie czeka na pana chwała. A kiedy osiągnie pan rozgłos i będzie pan sierżantem, proszę wspomnieć o mnie.

— Niech mnie kule biją — powtarzał raz po raz Johnson. W końcu jednak powiedział, że się zgadza na wszystko, i dodał, że teraz musi już iść.

\*

Domek Johnsona znajdował się tuż za miastem w pobliżu kuźni i dzieci przyszły tam

przez lasek. Wróciły tą samą drogą, po czym przemaszerowały przez miasto i idąc jego wąskimi, krętymi uliczkami dotarły do przystani obok składu drzewa.

W składzie zaczęły biegać po wielkich pniach drzew, zajrzały do dołu z trocinami, ponieważ zaś robotnicy wyszli na obiad, a tartak był ulubionym miejscem zabaw wszystkich chłopców w obrębie wielu mil, dzieci urządziły sobie huśtawkę ze świeżo wyciętej pachnącej deski sosnowej i dużego pnia wiązu.

— Co za wspaniałe miejsce! — zawołała Mabel prawie bez tchu z jednego końca huśtawki. — Chyba wolę to niż wszelkie gry czy nawet czary.

— Ja też — powiedział Jimmy. — Jerry, nie ciągnij tak nosem, bo ci odleci.

— Nic nie poradzę — odparł Gerald. — Nie mogę używać chusteczki, bo się boję, że Johnson może tu gdzieś siedzieć i wypatrywać, sam będąc niewidoczny. Żałuję, że nie pomyślałem o jakimś innym sygnale. Apsik! No nie, tego naprawdę nie mogłem się spodziewać. To właśnie jest takie dziwne. Z chwilą kiedy tu przyszedłem i przypomniałem sobie, co powiedziałem mu o sygnale, dostałem zaraz kataru i... No, nareszcie! Jest!

Dzieci opuściły huśtawkę z takimi minami, jakby wcale o nią nie dbały.

— Za mną naprzód! — wykrzyknął Gerald i pobiegł wzdłuż nie ociosanego pnia dębu, a reszta za nim. Czwórka dzieci pędziła obok stosów desek, przeskakiwała całe zwały pni, aż wreszcie, akurat w chwili gdy ciężkie buty policjanta znalazły się na dróźnie wiodącej do przystani, Gerald zatrzymał się na brzegu małego pomostu ze zgniłych desek, z wątlą poręczą, krzyknął. — Pax \* — i z wielkim hałasem wytarł nos.

— Dzień dobry! — zawołał zaraz potem.

— Dzień dobry! — odparł Johnson. — Dostałeś kataru, prawda?

— Ach, nie dostałbym kataru, gdybym miał takie buty jak pan — rzekł z podziwem Gerald. — Spójrzcie na nie. Każdy na milę rozpoznałby pana chód. Jak pan daje radę, żeby podejść do kogoś, kogo ma pan aresztować! — Zbiegł z pomostu, szepnął mijając Johnsona: — Męstwo, szybkość i stanowczość. To jest to miejsce — i pobiegł dalej na czele swego małego pochodu.

\*

— Przeprowadziliśmy na obiad naszą znajomą — obwieściła Kathleen, kiedy Eliza otworzyła im drzwi. — A gdzie jest mademoiselle?

— Poszła obejrzeć zamek. Dziś jest dzień zwiedzania. I proszę się pospieszyć z obiadem. Po południu mam wychodne, a mój znajomy nie lubi, kiedy mu kazać na siebie czekać.

— Dobrze, dobrze, zjemy błyskawicznie — przyrzekł jej Gerald. — Tylko daj dodatkowe nakrycie, bądź tak dobra.

Dotrzymali słowa. Obiad, który składał się z mielonej cielęciny z kartoflami i leguminy z ryżu — najbardziej chyba niesmaczne jedzenie na świecie — ukończony został w ciągu kwadransa.

— A teraz — rzekła Mabel, kiedy Eliza i dzban gorącej wody znikły na podeście schodów — powiedzcie, gdzie jest pierścień? Muszę położyć go na miejscu.

— Ja go jeszcze nie wypróbowałem — wtrącił Jimmy.

— Kiedy go znajdziemy, Kizia i ja powinniśmy wypróbować go po kolei, tak jak ty i Gerald.

— Kiedy go znajdziecie?... — Błada twarz Mabel pobladła jeszcze bardziej, odcinając się ostro od jej ciemnych loków.

— Jestem doprawdy zmartwiona... Wszyscy się bardzo martwimy — zaczęła Kathleen, po czym trzeba już było opowiedzieć całą historię o zgubieniu pierścienia.

— Chyba nie szukaliście dokładnie — spierała się Mabel. — Przecież nie mógł zni-

\* Pax (łac.) — pokój.

knać.

— Skąd możesz wiedzieć, co się z nim stało, nie wiesz więcej niż my. Nie strosz tak piórek, moja piękna panienko. Być może znikanie ni z tego, ni z owego jest jego właściwością. Bo widzisz, zsunął mi się z palca w łóżku. Szukaliśmy już wszędzie.

— Czy nie macie nic przeciwko temu, jeżeli ja poszukam? — Mabel spojrzała błagalnie na Kathleen. — Bo, widzicie, jeśli został zgubiony, to moja wina. To prawie to samo, co kradzież. Ten Johnson powiedziałby, że to zupełnie to samo. Jestem pewna, że tak by powiedział. Poszukajmy jeszcze raz! — zawołała, zrywając się. — Dziś rano wszystko robiliśmy w takim pośpiechu.

Szukali więc i szukali. W łóżku, pod łóżkiem, pod dywanem, pod wszystkimi meblami. Wytrząsali portierey, zbadali wszystkie kąty, znaleźli kurz i paprochy, lecz ani śladu pierścienia. Szukali i szukali. Szukali, słowem, wszędzie. Jimmy wpatrzył się nawet bacznie w sufit, jakby myślał, że pierścień mógł aż tam podskoczyć i przylepić się do sufitu.

— W takim razie — rzekła wreszcie Mabel — ukradła go wasza pokojówka. Po prostu. Powiem jej, co o tym myślę.

I byłaby to zrobiła, ale w tej samej chwili trzasnęły frontowe drzwi i wszyscy zrozumieli, że to wyszła Eliza, wystrojona odświętnie w swoje najlepsze rzeczy, na spotkanie „znajomego”.

— To wszystko na nic — Mabel była bliska płaczu. — Słuchajcie, zostawcie mnie tu samą. Może jak wy się przyglądacie, to rozprasza moją uwagę. Przeszukam sama cały pokój, cal za calem.

— Szanując uczucia swego gościa, uczynni gospodarze dyskretnie się wycofali — rzekł Gerald. Po czym delikatnie zamknęli drzwi z zewnątrz za Mabel i jej poszukiwaniami.

Czekali oczywiście na nią — wymagała tego sama grzeczność, a poza tym musieli i tak być w domu, by wpuścić mademoiselle. Chociaż dzień był wspaniały i Jimmy właśnie sobie przypomniał, że kieszenie Geralda pełne są pieniędzy zarobionych na jarmarku i że nic za te pieniądze jeszcze nie kupiono, z wyjątkiem paru bułeczek, w których spożyciu Jimmy nie brał udziału. Czekali więc i czekali, rzecz jasna, z niecierpliwością.

Zdawało się, że minęła godzina, choć naprawdę minęło zaledwie dziesięć minut, gdy usłyszeli, że drzwi sypialni otwierają się i kroki Mabel rozległy się na schodach.

— Nie znalazła — stwierdził Gerald.

— Skąd wiesz? — spytał Jimmy.

— Ze sposobu, w jaki idzie — odparł Gerald.

Istotnie, niemal zawsze można odgadnąć z odgłosu kroków wracającej osoby czy rzecz, której poszła szukać, została znaleziona.

Kroki Mabel mówiły „nic z tego” tak wyraźnie, jak tylko mogły to powiedzieć. A wyraz jej twarzy potwierdził smutną nowinę.

Nagle i gwałtowne pukanie do kuchennych drzwi przeszkodziło wszystkim w uciekaniu się do uprzejmych zapewnień, że jest im bardzo przykro, czy też fantastycznych twierdzeń, że pierścień z pewnością wkrótce się znajdzie.

Cała służba z wyjątkiem Elizy wyjechała na święta, więc dzieci poszły razem otworzyć drzwi, ponieważ, jak powiedział Gerald, jeżeli to był roznosiciel pieczywa, to mogą kupić od niego ciasto i zjeść na deser.

— Taki obiad jak dzisiaj wymaga deseru — orzekł Gerald.

Ale nie był to roznosiciel pieczywa. Kiedy otworzyli drzwi, ujrzeli na brukowanym podwórzu, gdzie znajdowała się studnia, beczka z wodą i pojemnik na śmieci, młodego człowieka w kapeluszu włożonym zawadiacko na bakier, z ustami otwartymi pod krótkim blond wąsikiem i oczyma tak okrągłymi, jak tylko mogą być okrągłe ludzkie oczy. Miał na sobie jaskrawe ubranie koloru musztardy, granatowy krawat i pozłacany łańcuszek od zegarka zwisający z kieszeni kamizelki. Cała jego postać była odchylona do tyłu, a prawe ramię wyciągnię-

te w kierunku drzwi. I miał minę osoby, którą gdzieś ciągną wbrew jej woli. Wyglądał tak dziwacznie, że Kathleen usiłowała zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, mrużąc: „Uciekł z domu wariatów”. Ale drzwi nie chciały się zamknąć. Coś stało temu na przeszkodzie.

— Puść mnie! — zawołał młody człowiek.

— Patrzcie go! Ja ci dam „puść mnie”! Nikt cię nie trzyma! — Głos był głosem Elizy, tylko że Elizy nie było widać.

— Kto pana trzyma? — spytała Kathleen.

— Ona, panienko — odparł nieszczęsny nieznajomy.

— Co za ona? — spytała Kathleen, aby zyskać na czasie, jak później to wyjaśniła, wiedziała bowiem doskonale, że to, co przytrzymuje otwarte drzwi, było niewidzialną nogą Elizy.

— Moja narzeczona, panienko. W każdym razie to, co słyszę, przypomina jej głos, a to, co mnie dotyka, to jakby jej ręce. Tylko że coś mnie widocznie naszło, panienko, bo wcale jej nie widzę.

— O, właśnie! — odparł głos Elizy. — On to w kółko powtarza. On jest właśnie tym moim znajomym, o którym mówiłam. Sama już nie wiem, czy to on dostał bzika, czy ja!

— Oboje, podejrzewam — wtrącił Jimmy.

— Słuchaj — rzekła Eliza do znajomego — jesteś dorosłym mężczyzną. Spójrz mi w twarz i powiedz raz jeszcze, czy naprawdę mnie nie widzisz.

— Nie widzę — odpowiedział z rozpaczą w głosie znajomy.

— Gdybym ja ukradł pierścień — odezwał się Gerald, spoglądając w niebo — to wszedłbym do domu i siedziałbym cicho zamiast stać przy kuchennych drzwiach i robić z siebie przedstawienie.

— Z niej to właściwie niewielkie przedstawienie — szepnął Jimmy. — Poczciwy, stary pierścień.

— Nic, ale to n i c nie ukradłem! — zawołał znajomy. — Dostyc już tego, puść mnie! Nic, tylko oczy mi całkiem nawalają. Puść mnie nareszcie, słyszysz?

Nagle ręka znajomego opadła, a on sam zatoczył się na beczkę z wodą. To Eliza go wreszcie puściła. Zaraz potem weszła do domu, torując sobie drogę i rozpychając dzieci swymi niewidzialnymi łokciami.

Gerald pochwycił ją jedną ręką za ramię, drugą zaś namacał jej ucho i szepnął:

— Stań tutaj, nie ruszaj się i nie mów ani słowa. Bo jeżeli nie zrobisz tego, nic mnie nie powstrzyma od zawołania policji.

Ponieważ Eliza nie potrafiła wymyślić nic, co mogłoby go powstrzymać, zastosowała się do poleceń Geralda i stała, niewidzialna, istotnie nie wydając z siebie głosu poza jakimś dziwaczny, chrapliwy dźwiękiem, co robiła zawsze, gdy była zdyszana.

Musztardowy młodzieniec odzyskał równowagę i stał również, spoglądając na dzieci oczyma, jeśli to było możliwe, jeszcze okrągłszymi niż przedtem.

— Co to jest? — jęknął niepewnym głosem. — Co się stało? I co to wszystko znaczy?

— No, jeżeli pan nie wie, to, niestety, nie możemy tego panu powiedzieć — odparł uprzejmie Gerald.

— Czy ja mówiłem jakieś dziwne rzeczy? — spytał młody człowiek, zdejmując kapelusz i ocierając dłonią spocone czoło.

— Bardzo — potwierdziła Mabel.

— Spodziewam się, że nie powiedziałem nic niegrzecznego? — dopytywał się z niepokojem.

— O, nie — odparła Kathleen. — Powiedział pan tylko, że pańska narzeczona trzymała pana za rękę i że pan jej nie widział.

— I dalej jej nie widzę.

— Ani my — dodała Mabel.

— Przecież to niemożliwe, żeby mi się to tylko przyśniło i żebym zaraz potem przyszedł tu robić z siebie takie głupie przedstawienie?

— Pan sam wie najlepiej — wyjaśnił uprzejmie Gerald.

— Ależ — musztardowy nieszczęśnik omal nie krzyknął — czy panicz chce przez to powiedzieć...

— Nic nie chcę panu powiedzieć — odparł zgodnie z prawdą Gerald. — Tylko coś panu poradzę. Niech pan wraca do domu, położy się i zrobi sobie okład na głowę z mokrego ręcznika. Do jutra będzie z panem wszystko w porządku.

— Ależ kiedy ja nie...

— A ja tak — wtrąciła Mabel. — Słońce dziś bardzo przypieka, wie pan.

— Teraz czuję się już zupełnie dobrze — rzekł młodzieniec. — Ale... No, już nic, chciałem tylko bardzo przeprosić, to wszystko, co chciałem powiedzieć. Nigdy jeszcze nic podobnego mi się nie zdarzyło, panienko. Ja nie wiem takich napadów. Proszę tak nie myśleć. Tylko mógłbym przysiąc, że Eliza... Czy ona nie wyszła, żeby się ze mną spotkać?

— Eliza jest w domu — wyjaśniła Mabel. — I dzisiaj nie może wyjść i nie może się z nikim spotkać.

— No dobrze, tylko proszę nic jej nie mówić, że się tak dziwnie zachowałem. Bo gdyby pomyślała, że wiem napady — a nie miałem nigdy, odkąd siebie pamiętam — to mogłoby ją to do mnie źle usposobić.

— W ogóle nic nie powiemy Elizie o panu.

— I proszę się na mnie o to wszystko nie gniewać.

— Ależ oczywiście — odpowiedziała Kathleen. — Wiemy, że pan nic na to nie mógł poradzić. Niech pan wraca do siebie i położy się. To z pewnością bardzo się panu przyda. Do widzenia.

— Do widzenia, panienko — rzekł w zamyśleniu młodzieniec. — A swoją drogą wciąż jeszcze, nawet w tej chwili, czuję na rękę uścisk jej palców. No, i spodziewam się, że państwo nic nie powiedzą mojemu szefowi. To znaczy mojemu pracodawcy. Bo wszelkiego rodzaju napady bardzo szkodzą człowiekowi w pracy.

— Ach, nie, nie, nic podobnego, wszystko będzie w porządku, do widzenia — chórem odparły dzieci. Po czym zapadło milczenie, a młodzieniec wolnym krokiem wyminął beczkę i zielona furtka zatrzasnęła się za nim.

W ciszy rozległ się nagle głos Elizy.

— Wydajcie mnie policji! — zawołała. — Wydajcie mnie i niech serce mi pęknie w celi więziennej!

Coś plusnęło i okrągła kropla spadła na próg.

— Ulewa — rzekł Jimmy.

Nie była to jednak ulewa, lecz łza z oczu Elizy.

— Wydajcie mnie! — wołała. — Wydajcie mnie! — Plusk! — Tylko niech mnie nie aresztują tu, w mieście, gdzie jestem znana i szanowana. — Plusk! — Pójdę o dziesięć mil stąd, żeby mnie wzięła obca policja, a nie Johnson, który przyjaźni się z moim kuzynem. — Plusk! — Ale za jedno jestem wam wdzięczna. Że nic nie powiedzieliście Elfowi o skradzionym pierścionku. Ja go doprawdy nie skradłam. — Plusk! — Tylko tak, jakbym pożyczyła sobie na dzisiaj, bo właśnie miałam wychodne, a mój narzeczony to nie byle kto, jak już mogliście się sami przekonać.

Dzieci przyglądały się, nieruchome, jakby zaklęte czarem, niezwykłym łzom, które stawały się widzialne z chwilą, gdy spływały z niewidzialnego nosa nieszczęsnej Elizy. Pierwszy przerwał milczenie Gerald.

— Na nic się nie zda twoje gadanie — powiedział. — Nie widzimy cię!

— O n to samo mówił — odparł głos Elizy — ale...

— Możesz się sama przekonać z łatwością — ciągnął Gerald. — Gdzie jest twoja ręka?

Eliza niewątpliwie spróbowała zobaczyć swą rękę i oczywiście jej się to nie udało. Nagle bowiem, z krzykiem, który mógłby sprowadzić wszystkich policjantów, gdyby jacyś byli w pobliżu, wpadła w gwałtowny atak hysterii. Dzieci robiły, co mogły, robiły wszystko, co kiedykolwiek wyczytały w książkach na temat sposobów stosowanych w takich okolicznościach; niezmiernie trudno jest jednak zrobić właściwą rzecz z pokojówką, która w stanie niewidzialnym i w swej najlepszej sukni popadła w ostrą histerię. Dlatego też, jak później się okazało, jej najlepszy kapelusz został zupełnie zniszczony, a jej najlepsza, błękitna sukienka już nigdy nie odzyskała dawnego wyglądu. Kiedy dzieci paliły możliwie blisko nosa Elizy piórka wyrwane z miotelki do kurzu, nagle ukazał się płomień, a następnie rozszedł się okropny zapach, gdy Gerald zdołał zdusić ogień rękami. Wskazywało to wyraźnie, że do ratowania Elizy zabrano się również i jej boa z piór.

I to nawet pomogło. Eliza z przejmującym szlochem przysłała do siebie i powiedziała:

— Proszę nie podpalać moich prawdziwych strusich piór. Już mi teraz lepiej.

Dzieci pomogły jej usiąść na stopniach schodów, po czym cała czwórka wytłumaczyła Elizie bardzo dokładnie i bardzo grzecznie, że naprawdę stała się niewidzialna i jeżeli się kradnie — czy nawet pożyczka — pierścionki, to nigdy nie wiadomo, co może się przytrafić.

— Ale czy tak ma już zostać na zawsze? — zawodziła, gdy dzieci przyniosły zdjęte z gwoździa nad zlewem kuchennym małe lustro w mahoniowej ramce i przekonały ją, że istotnie jest niewidzialna. — A myśmy mieli pobrać się na Wielkanoc — mówiła. — Nikt nie będzie chciał ożenić się z dziewczyną, której nie może zobaczyć. To zupełnie straszne.

— Nie, nie na zawsze — zapewniła ją uprzejmym głosem Mabel. — Ale będziesz musiała przejść przez to jak przez odrę. Spodziewam się, że jutro rano wszystko będzie w porządku.

— Jeszcze dzisiaj wieczorem, moim zdaniem — rzekł Gerald.

— Pomożemy ci, ile tylko zdołamy — zapewniła ją Kathleen. — I nie powiemy nikomu.

— Nawet policji — dodał Jimmy.

— A teraz przygotuj podwieczorek dla mademoiselle — rzekł Gerald.

— I dla nas — uzupełnił Jimmy.

— Nie — sprostował Gerald. — My zjemy podwieczorek poza domem. Urządzimy sobie piknik i zabierzemy z sobą Elizę. Ja wyjdę wcześniej i kupię ciastka.

— Nie będę jadła żadnych ciastek, paniczu — rzekł głos Elizy. — Tego proszę się po mnie nie spodziewać. Bo byłoby widać, jak ciastko przechodzi w dół do żołądka. Nie powiedziałabym, żeby to było elegancko z mojej strony pokazywać na ulicy ciastko w żołądku. Och, straszna to nauczka — i to tylko za pożyczanie.

Dzieci upewniły ją, że tak nie będzie, nakryły do podwieczorku, wyznaczyły Kathleen, by otworzyła drzwi mademoiselle — która wróciła do domu zmęczona i jakby trochę smutna — potem czekały na Geralda, a gdy wrócił z ciastkami, wszyscy wyruszyli do zamku Yal-ding.

— Na terenach zamkowych — rzekła Mabel — nie wolno urządzać pikników.

— A my urządzimy — odparł sucho Gerald. — A teraz, Elizo, weź Kathleen pod ramię, a ja będę szedł za wami, żeby zasłonić twój cień. Ojej, na miłość boską, zdejmij kapelusz. Bo w kapeluszu twój cień wygląda jak nie wiadomo co. Ludzie gotowi pomyśleć, że jesteśmy gromadą uciekinierów ze szpitala wariatów.

Wtedy to okazało się, że kapelusz, który stał się widzialny w ręku Kathleen, nosi wyraźne skutki polewania go zimną wodą, przeznaczoną właściwie do polania twarzy Elizy.

— Mój najlepszy kapelusz! — zawołała Eliza, po czym zapadło milczenie przerywane tylko jej pociąganiem nosa.

— Słuchaj, Elizo, nie ma co się tak martwić — starała się pocieszyć ją Mabel. — Powiedz sobie po prostu, że to wszystko jest tylko snem. Bo właśnie coś w tym rodzaju powinno



ci się przyśnić pod wpływem wyrzutów sumienia z powodu pierścienia.

— Ale czy ja się zbudzę z tego snu?

— Ach, tak, zbudzisz się z całą pewnością. A teraz zawiążemy ci oczy chusteczką i przeprowadzimy cię przez bardzo małe drzwiczki. Tylko się nie opieraj, bo zawołamy policję w ten sen.

Nie mam dość czasu, by opisywać wejście Elizy do jaskini. Weszła tam głową w dół, dziewczynki ją popychały, a chłopcy odebrali ją z drugiej strony wejścia. Gerald na szczęście pomyślał o związaniu jej rąk, bo inaczej ktoś byłby z pewnością podrapany. A tak to tylko ręka Mabel cokolwiek ucierpiała, wciśnięta między skalistą ścianę jaskini a bardzo twardy i ciężki obcas. Nie będę też przytaczała tego wszystkiego, co mówiła Eliza, podczas gdy dzieci prowadziły ją wzdłuż obrośniętej paprociami fosy, a następnie przez łuk, przez który wkraçało się w zaczarowaną krainę włoskiego krajobrazu. Eliza ledwie już mogła mówić, kiedy zdjęto z jej oczu chusteczkę pod płaczącą wierzbą, gdzie ustawiony był posąg Diany z łukiem w ręku, wspierający się na cokole tylko dużym palcem jednej stopy, którą to postawę zawsze uważałam za szczególnie niestosowną, gdy się chce strzelać z łuku.

— No, już po wszystkim — powiedział Gerald. — Teraz czekają nas same przyjemności, ciastka i rozmaite inne rzeczy.

— I pora, żebyśmy zjedli podwieczorek — dodał Jimmy.

Istotnie, był już na to najwyższy czas.

Eliza, gdy już ją przekonano, że jej postać, mimo iż niewidzialna, nie jest przezroczysta i że nikt z całej gromadki nie mógłby, patrząc na nią, policzyć, ile zjadła bułeczek, przyrzędziła wspianiały posiłek, który wszystkim nadzwyczaj smakował. Bo jeżeli się chce, aby podwieczorek naprawdę smakował, trzeba najpierw zjeść na obiad mieloną cielęcinę z kartoflami i ryż, polem przeżyć parę godzin wielkiego zamieszania i podniecenia i wreszcie zasiąść do podwieczorku o bardzo późnej porze.

Łagodna, chłodna zieleń i szarość ogrodu ulegały przemianom. Zieleń stawała się złociста, cienie czarne, a jeziorko, w którym pod świątynią Feba odbijały się odwrócone do góry nogami łabędzie, skąpane było w różowawym blasku, płynącym z małych, pierzastych obłoczków, leżących na wprost zachodzącego słońca.

— Ładnie tu jest — rzekła Eliza. — Zupełnie jak na pocztówce, prawda? Takiej za dwa pensy.

— Powinnam już wracać — odezwała się Mabel.

— A ja — rzekła Eliza — nie mogę wracać do domu w takim stanie, jak jestem. Zostałabym tutaj, żyłabym jak dzikus i mieszkałabym w tamtej białej chatce, gdyby tam były jakieś ściany i drzwi.

— Ona mówi o świątyni Dionizosa — wyjaśniła Mabel wskazując na budynek.

Słońce znikło nagle za czarną linią sosen rosnących na szczycie wzniesienia i biała świątynia, przedtem różowa, teraz zrobiła się szara.

— Nawet tak jak jest — rzekła Kathleen — byłoby to bardzo przyjemne miejsce do mieszkania.

— Same przeciągi! — zawołała Eliza. — I, mój Boże, co za mnóstwo schodów do sprzątnia! I na co to budują takie domki bez ścian? Kto by tam chciał mieszkać?... — Urwała, wpatrzona przed siebie, i dodała: — A to co?

— Co?

— Ten ktoś cały biały, co schodzi ze schodów. Ach, ta jakiś młody człowiek przebrany za posąg.

— Posągi zawsze ozywają tutaj po zachodzie słońca — wyjaśnił bardzo rzeczowym tonem Gerald.

— Właśnie widzę — Eliza nie zdawała się ani zdumiona, ani zaniepokojona. — O, tam idzie drugi. Patrzcie go, jakie ma skrzydełka przy stopach, jakby gołębie skrzydła!

— Przypuszczam, że to Merkury \* — rzekł Gerald.

— Na cokole, gdzie stoi posąg ze skrzydełkami u stóp, napisane jest „Hermes” — wyjaśniła Mabel. — Ale...

— Ja nie widzę żadnych posągów — wtrącił Jimmy. — Oj, dlaczego mnie szczypiesz?

— Nie widzisz? — szepnął Gerald. Ale niepotrzebnie się tak niepokoił, gdyż cała uwaga Elizy była skupiona na jednym: jej spojrzenie przesuwało się to w tę, to w inną stronę, obserwując szybkie ruchy niewidzialnych posągów. — Nie rozumiesz tego? Posągi ozywają po zachodzie słońca, ale nie można ich widzieć, chyba że się jest samemu niewidzialnym. A kiedy się je widzi, to wcale się nie jest przerażonym. Chyba że się ich dotknie.

— To namówmy ją — odparł Jimmy — żeby dotknęła któregoś posągu, i zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Ach, on skoczył do wody! — zawołała z przejęciem Eliza. — Ojej, jak też on pływa! A ten z gołębimi skrzydełkami lata teraz nad samym jeziorem i bawi się z tym drugim. O, jakie to ładne! Zupełnie jak aniołki, którymi przystrajają tort weselny. O, jeszcze jeden się zjawił, chłopaczek z długimi uszami i z malutką sarenką, która biegnie obok niego! O, patrzcie tylko na tę panią z dzieckiem! Podrzuca je do góry i łapie, jakby to była piłka. Dziwne, że się nie boi upuścić dzieciaka. Ale ładne to, bo ładne.

Rozległy park rozciągał się przed oczyma dzieci zapadając się w coraz większy mrok i coraz głębszą ciszę. Wśród coraz ciemniejszych cieni oczy dzieci dostrzegały połyskujące, białe i nieruchome posągi. Ale Eliza widziała co innego. W milczeniu przyglądała się wszystkiemu, a dzieci również nie przerywały milczenia.

Mrok wieczorny zapadał jak zasłona, coraz cięższa i coraz bardziej czarna. Zrobiła się noc. Nad drzewami wyłonił się księżyc.

— Ach! — zawołała nagle Eliza. — Ten śliczny mały chłopaczek z sarenką biegnie w tę stronę! Ojej, pędzi wprost na mnie!

W następnej chwili Eliza wydała przejmujący krzyk, a zaraz potem dał się słyszeć odgłos szybkich kroków na zwirowanej ścieżce i krzyki Elizy stawały się coraz bardziej odległe.

— Chodźmy — zawołał Gerald. — Eliza dotknęła posągu i dlatego się przerażała. Zupełnie tak samo było ze mną. Biegiem! Trzeba dopędzić ją, nim przyprawi o zawrót głowy całe miasteczko. Pomyśleć tylko: krzyżący głos i tupanie butów! Prędzej, prędzej!

Dzieci pędziły, ile sił w nogach. Ale Eliza miała nad nimi przewagę. W dodatku, kiedy biegła po trawie, nie było słychać jej kroków i trzeba było czekać, aż znowu zachrząści żwir na ścieżce. Poza tym Elizę popędzał strach, a strach popędza szybko.

Eliza biegła, jak się wydawało, najkrótszą drogą, niewidzialna w bladym świetle księżycy i widząc dla niej tylko widzialne rzeczy, wzdłuż alejek i pośród kęp drzew.

— Ja tu zostanę, zobaczymy się jutro — zawołała zdyszana Mabel, gdy grupa pościgowa, dążąca w ślad za Elizą, przemierzała taras. — Ona pobiegła przez zamkowe podwórze.

— Do drzwi kuchennych! — wykrzyknął Gerald, kiedy już mijali narożnik swej ulicy, po czym Gerald i Jimmy pędem wyminęli beczkę.

Ktoś niewidzialny, lecz jakby bardzo wzburzony, zdawał się mocować z zamkniętymi na klucz drzwiami kuchennymi. Zegar na wieży kościelnej uderzył raz.

— Wpół do dziesiątej — wyszeptał Gerald z trudem łapiąc powietrze. — Spróbuj zdjąć pierścień, może teraz zejdzie?

Przemawiał do pustego progu. Ale zaraz potem Eliza, zadyszana, z ubraniem w nieładzie, rozczochrana, z opadającymi włosami, w pomiętej sukni i z przekrzywionym kołnierzykiem, wyciągnęła rękę — rękę, którą zobaczyli. A na jej dłoni dokładnie widzialne w świetle księżycy spoczywało ciemne kółeczko czarodziejskiego pierścienia.

\*

\* Merkury — bóg rzymski, utożsamiany z greckim Hermesem, bogiem handlu i opiekunem stad.

— Dzień dobry! — powitał Elizę następnego ranka jej znajomy. Czekał tam już na nią, gdy otworzyła drzwi, niosąc wiaderko i ścierkę w ręku. — Szkoda, że wczoraj nie mogłaś wyjść. Było mi bardzo przykro.

— I mnie też. — Eliza przetarła wilgotną ścierką górny stopień schodów. — A coś ty robił całe popołudnie i wieczór?

— Trochę bolała mnie głowa — odparł młodzieniec — więc leżałem przez całe prawie popołudnie. A coś ty robiła?

— Ach, nic szczególnego — powiedziała Eliza.

\*

— Więc to wszystko tylko mi się przyśniło — szepnęła Eliza, gdy jej znajomy odszedł. — Ale to będzie dla mnie nauczką, żebym już nigdy nie ruszała cudzych starych pierścionków.

„Więc dzieci nic jej nie powiedziały o moim wczorajszym zachowaniu — rozmyślał młodzieniec, odchodząc. — To jednak musiało być chyba słońce, jak z naszymi żołnierzami w Indiach. Spodziewam się, że mi się to więcej nie przytrafi!”

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Johnson był bohaterem dnia. To on wysledził włamywaczy, ułożył plan działania i odzyskał skradzione srebra. Kamienia jednak nie rzucił — opinia publiczna orzekła, że w ogóle nie było kamienia, a Mabel i jej ciotka musiały się chyba pomylić. Lecz Johnson nie zaprzeczył faktowi rzucenia ostrzegawczego listu. Gerald wyszedł zaraz po śniadaniu, by kupić gazetę, a po powrocie przeczytał na głos rodzeństwu dwie stroniczki zmyśleń, jakie składały się na dziennikarskie sprawozdanie wydarzeń w „Kurierze Codziennym“. W miarę czytania usta wszystkich otwierały się coraz szerzej i szerzej, a gdy Gerald urwał lekturę po zdaniu: *Utalentowany nasz współobywatel, obdarzony znakomitą zmysłem detektywistycznym, prześcignął panów Lecoq i Holmesa i jego awans w służbie jest teraz zupełnie pewny*, zapadło głucho milczenie.

Pierwszy przerwał je Jimmy:

— No, no! On chyba troszkę przesadza.

— A mnie się zdaje — rzekła Kathleen — że to jakby nasza wina, jakbyśmy to my opowiedzieli wszystkie te bujdy. Bo gdyby nie ty, Jerry, to nie mieliby ich skąd wziąć. Bo skąd?

— No, moja droga — Gerald starał się być sprawiedliwy — wiesz przecież, że chłop musiał coś powiedzieć. Ale cieszę się, że ja... — nagle urwał.

— Cieszysz się, że co?

— Mniejsza z tym — odparł Gerald z miną, jakby odkładał na później sprawy wagi państwowej. — Ale co będziemy dziś robić? Widzę, że szlachetna Mabel nadchodzi. Z pewnością będzie chciała, żeby jej oddać pierścień. A ty i Jimmy chcecie też mieć pierścień. Ach, już wiem. Nikt nie zajmuje się mademoiselle od paru dni. O wiele dłużej, niż nasz bohater skłonny jest to przyznać.

— Wolałbym — przerwał mu Jimmy — żebyś nie nazywał wiecznie samego siebie „nasz bohater“. Moim bohaterem w każdym razie nie jesteś.

— Za to wy obydwaj jesteście moimi bohaterami — starała się załagodzić spór Kathleen.

— Jaka z ciebie miła dziewczynka — Gerald uśmiechnął się złośliwie. — Utrzymaj małego braciszka w dobrym humorze, póki niania nie wróci.

— Czy ty nie pójdziesz z nami? — spytała pospiesznie Kathleen.

— *Teraz, moi mili, bardzo spieszy mi się,  
Bo to przecież piątek, wielki jarmark dzisiaj.*

— zanucił Gerald.

— *A na tym wesołym, a na tym jarmarku  
Kupię róż i dam je miłej mej w podarku.*

Jeżeli chcecie wybrać się tam ze mną, to szybko kładźcie buty i w ogóle pośpieszcie się.

— Ja nie chcę iść — wtrącił Jimmy i prychnął nosem.

Kathleen spojrzała błagalnie na Geralda.

— Ach, Jimmy, Jimmy — rzekł Gerald smutnym głosem. — Nie dajesz mi ani na chwilę zapomnieć, że jesteś moim małym braciszkiem! Jeżeli kiedykolwiek potraktuję cię jak dużego chłopca i sfukę, jak bym zrobił z Turnerem czy którymkolwiek innym z moich kolegów — to będzie skutek twojego zachowania.

— Ich nie nazywasz przecież małymi braciszkami w kołysce — odparł Jimmy, zgodnie zresztą z prawdą.

— Nie! I dołożę wszelkich starań, żeby i ciebie tak w przyszłości nie nazywać. A teraz chodźcie, mój bohaterze i moja bohaterko. Wierny Mesrou jest waszym oddanym niewolnikiem.

Tak się dobrze złożyło, że cała trójka spotkała Mabel na rogu placu, gdzie każdego piątku ustawiano stragany osłonięte przed słońcem markizami i wielkimi zielonymi parasolami. Drób, wieprzowinę, gliniane naczynia, warzywa, materiały, słodczyce, zabawki, narzędzia, lusterka i wszelkie inne towary rozkładano na stołach skleconych na krzyżakach lub układano w piramidy na wózkach, z których wyprzęgnięto konie, a dyszle oparto na stosach drewnianych skrzynek. Wyroby metalowe zaś i różne przedmioty gospodarstwa domowego rozkładano po prostu na ziemi.

Słońce świeciło dobrotliwie i, jak orzekła Mabel, „cała przyroda była wesoła i uśmiechnięta”. Pośród warzyw znajdowało się trochę kwiatów i dzieci wahały się niezdecydowane co do ich wyboru.

— Rezeda tak słodko pachnie — rzekła Mabel.

— Róże są prześliczne — rzekła Kathleen.

— Goździki są po dwa pensy — stwierdził Jimmy.

Gerald, z nosem wetkniętym w ciasno związany bukiet róż herbacianych, uznał, że to rozstrzyga sprawę.

Kupiono więc goździki: jedną wiązanekę żółtych jak siarka, drugą białych jak gęsta śmietana i trzecią czerwonych jak policzki lalki, którą Kathleen nigdy się nie bawiła.

Dzieci zaniósł goździki do domu, a zielona jedwabna wstążka z warkoczy Kathleen świetnie nadawała się do przewiązania bukietu, co uczyniono z pośpiechem już na progu domu.

W chwilę potem Gerald zapukał do drzwi saloniku, gdzie mademoiselle przesiadywała całymi dniami.

— Entrez! — rozległ się jej głos i Gerald wszedł do saloniku. Mademoiselle tym razem nie czytała, co robiła zazwyczaj, lecz pochylała się nad blokiem rysunkowym. Na stoliku stało otwarte pudełko z farbami o wyglądzie bardzo nieangielskim i mała puszcza napełniona płynem burego koloru, tak dobrze znana zarówno najznakomitszym akwarelistom, jak i najskromniejszemu dziecku z pudełkiem najtańszych farb.

— W dowód sympatii od nas wszystkich — rzekł Gerald, kładąc nagle kwiaty przed

mademoiselle.

— Ach, jakie z ciebie kochane dziecko! Muszę cię za to ucałować. — I zanim Gerald zdążył wyjaśnić, że jest już na to za duży, został ucałowany na francuski sposób w obydwie policzki.

— Czy pani maluje? — zapytał pośpiesznie, by ukryć zakłopotanie, że traktuje go jak małe dziecko.

— Kończę szkic z wczoraj — odparła mademoiselle.

I nim Gerald zdążył zastanowić się, jak też może wyglądać wczoraj na obrazku, pokazała mu przepiękny i bardzo dokładny szkic zamku Yalding.

— Ach, jaki wspaniały! — zabrzmiał komentarz krytyka. — Och, proszę pani, czy oni także mogą to obejrzeć?

Reszta dzieci weszła, łącznie z Mabel, która stała z niepewną siebie miną z tyłu za wszystkimi i spoglądała ponad ramieniem Jimmy'ego.

— Ależ pani jest zdolna! — zawołał z uznaniem Gerald.

— Co z tego, że się ma talent — odparła Mademoiselle — kiedy musi się spędzić całe życie na uczeniu dzieci?

— To musi być piekielne zajęcie — przyznał Gerald.

— A ty? — mademoiselle zwróciła się z pytaniem do Mabel. — Czy także chcesz obejrzeć rysunek?... Koleżanka z miasta, nieprawdaż?

— Dzień dobry pani — odparła Mabel uprzejmie. — Nie, ja nie mieszkam w mieście. Mieszkam w zamku Yalding.

Wyglądało, że nazwa ta zrobiła na mademoiselle wielkie wrażenie. Gerald z niepokojem myślał w duchu, że ma nadzieję, iż mademoiselle nie okaże się snobką.

— Na zamku Yalding? — zawołała. — Ależ to wprost nadzwyczajne! Czy to możliwe, żebyś należała do rodziny lorda Yaldinga?

— Lord nie ma wcale rodziny — odparła Mabel. — Nie jest żonaty.

— To może jesteś... zaraz, jak to się mówi?... Kuzynką... siostrą... siostrzenicą?

— Nie — Mabel oblała się ciemnym rumieńcem — nie jestem żadną arystokratką. Jestem siostrzenicą gospodyni lorda Yaldinga.

— Ale znasz lorda Yaldinga, prawda?

— Nie — odparła Mabel. — Nigdy go nawet nie widziałam.

— To on nie przyjeżdża do swego zamku?

— Nie było go jeszcze, odkąd tam mieszkam, ale ma przyjechać w przyszłym tygodniu.

— A dlaczego nie mieszka w zamku? — spytała mademoiselle.

— Ciocia powiada, że jest na to za biedny — odparła Mabel i zaczęła snuć całą opowieść, tak jak ją słyszała w pokoju gospodyni: o tym, że stryj lorda Yaldinga pozostawił wszystkie pieniądze, jakie tylko miał, kuzynowi lorda Yaldinga, aby lorda pominąć, i że biedny lord Yalding ma dochodu zaledwie tyle, żeby utrzymać starą siedzibę rodzinną w znośnym stanie i móc żyć spokojnie gdzie indziej, ale o wiele za mało, żeby prowadzić otwarty dom na zamku, i że wreszcie lord nie może sprzedać zamku, ponieważ jest „w spisie”.

— Co to znaczy? Co to jest „spisa”? — spytała mademoiselle.

— W spisie, który układają prawnicy — wyjaśniła Mabel, dumna ze swej wiedzy i z tego, że budzi w Francuzce tak głębokie zainteresowanie. — A kiedy już raz czyjś dom znajdzie się w ich spisie, to nie można go sprzedać ani podarować, ani w żaden inny sposób się wyzbyć, tylko trzeba zostawić w spadku synowi, choćby się nawet nie chciało.

— Ale jak ten stryj mógł być tak okrutny, żeby zostawić bratankowi zamek i ani grosza pieniędzy? — spytała mademoiselle. A Kathleen i Jimmy nie mogli się dość nadziwić tak nagle obudzonemu zainteresowaniu historią, która im wydawała się piekielnie nudna.

— Ach — odparła Mabel — mogę to pani zaraz wyjaśnić. Lord Yalding chciał ożenić się z pewną panią, a jego stryj nie chciał tego małżeństwa. To była kelnerka czy może baletni-

ca, w każdym razie ktoś w tym rodzaju. Lord nie chciał się jej wyrzec, a wtedy stryj powiedział: „No, dobrze”, i zostawił cały swój majątek tamtemu kuzynowi.

— I mówisz, że lord nie ożenił się?

— Nie, bo ta pani wstąpiła do klasztoru. Myślę, że zamurowali ją żywcem.

— Zamurowali?...

— Tak, w ścianie, wie pani — odparła Mabel wskazując dla podkreślenia swoich wyjaśnień różowe i złociste róże tapety. — Zamknęli ją, żeby zabić. Zawsze tak robią w klasztorach.

— Nic podobnego — rzekła mademoiselle. — W klasztorach są bardzo dobre i miłe kobiety. Jest tylko jedna rzecz w klasztorach doprawdy nieznośna: zamki w drzwiach. Czasami nie można wyjść, zwłaszcza jeżeli jest się bardzo młodym, a krewni umieścili w klasztorze kogoś dla jego dobra i szczęścia. Ale zamuroвывать — czy jak to nazywasz? — młode osoby, żeby je zabić? Nie, tego się nigdy nie robi. A ten lord — czy nie próbował szukać swojej narzeczonej?

— O, tak, szukał jej na wszelkie możliwe sposoby — zapewniła ją Mabel. — Ale, jak pani wie, klasztorów są miliony, więc nie miał pojęcia, w którym jej szukać. A jego listy poczta odsyłała mu z powrotem...

— Mój Boże! — wykrzyknęła mademoiselle. — Wygląda na to, że w mieszkaniu gospodyni wszyscy wszystko wiedzą.

— Właściwie to tak — przyznała z prostotą Mabel.

— Myślisz, że lord ją znajdzie? Jak ci się zdaje?

— O, na pewno ją znajdzie — odparła Mabel — ale dopiero wtedy, kiedy będzie już stary i niedołężny i będzie już umierał. A wtedy bardzo łagodna siostra miłosierdzia wygładzi mu poduszkę i już w chwili jego śmierci zdradzi mu, kim jest. I powie: „Moje utracone kochanie!”, a wtedy jego twarz rozjaśni się cudowną radością i lord umrze z imieniem ukochanej na ustach.

Mademoiselle aż zaniemówiła ze zdziwienia.

— Widzę — rzekła po chwili — że zabawiasz się w prorokinię.

— O, nie — odparła Mabel — wyczytałam to wszystko w książce. I jeśli pani chce posłuchać, mogę pani opowiedzieć całe mnóstwo historii o nieszczęśliwej miłości.

Francuzka, zamiast odpowiedzi, nagle poderwała się, jak gdyby coś sobie właśnie przypomniała.

— Jest już prawie pora obiadowa — powiedziała. — Wasza przyjaciółka Mabelle — prawda? — będzie waszym gościem honorowym i na jej cześć urządzimy sobie małą ucztę. Niech Kathleen wstawi do wody moje prześliczne kwiaty, a ja wyskoczę po ciastka. Umyjcie wszyscy ręce i bądźcie gotowi, kiedy wrócę.

Uśmiechnęła się serdecznie do dzieci, wyszła z pokoju i słychać było tylko jej kroki na schodach.

— Zupełnie jakby była całkiem młodziutka — orzekła Kathleen.

— Kiedy ona j e s t młodziutka — odparła Mabel. — Jest całe mnóstwo panienek, którym mężczyźni oświadczają się, choć wcale nie są młodsze od mademoiselle. Widziałam masę ślubów, kiedy panny młode były dużo starsze. I dlaczego nie powiedzieliście mi, że ona jest taka piękna?

— A czy tak j e s t naprawdę? — spytała Kathleen.

— Ależ oczywiście! I jakie to miłe z jej strony, że pomyślała o ciastkach dla mnie i nazwała mnie gościem honorowym.

— Słuchajcie — odezwał się Gerald. — Ja bym powiedział, że zachowała się bardzo fajnie. Widzicie, guwernantki otrzymują bardzo mizerne pensje, tyle tylko, żeby się utrzymać. Tymczasem ona wydaje ciężko zapracowane pieniądze na nas. Więc czy nie warto byłoby nigdzie dziś nie wychodzić i urządzić dla niej zabawę? Przypuszczam, że ona musi się strasznie

nudzić.

— Ale czy jej to sprawi przyjemność? — zastanawiała się Kathleen. — Ciocia Emilka twierdzi, że dorośli nigdy w gruncie rzeczy nie lubią zabaw z dziećmi. Robią to tylko dla ich przyjemności.

— Dorośli — odparł Gerald — nie mają pojęcia, jak często urządzamy zabawy dla ich przyjemności.

— W każdym razie — rzekła Kathleen — mieliśmy urządzić przebieranie się w stroje królowny. Więc zaprosimy ją na to przedstawienie.

— Ale urządzmy je — nalegał Jimmy — tuż przed podwieczorkiem, żeby była przyjemna przerwa i żeby przedstawienie nie musiało trwać bez końca.

— Spodziewam się — powiedziała Mabel — że cały strój królowny jest w bezpiecznym miejscu.

— O, tak, przecież mówiłam ci, gdzie go schowałam, nie pamiętasz? Chodź, Jimmy, pomożemy nakryć do stołu. I powiemy Elizie, żeby wyjęła odświętny serwis.

Po czym oboje wyszli.

— Jakie to szczęście — rzekł Gerald, jakby uderzony nagłą myślą — że włamywacze nie zabrali brylantów ze skarbca.

— Nie mogli — Mabel mówiła przyciszonym głosem. — Nic o nich nie wiedzieli. Myślę, że w ogóle nikt o nich nie wie z wyjątkiem mnie, no i was. Ale wy przecież przysięgliście dochować tajemnicy. (Może nie pamiętacie, że przysięga została złożona prawie na samym początku naszej opowieści?) Wiem, że na przykład moja ciocia nie wie. Ja trafiłam na ukrytą sprężynę przez czysty przypadek. Lord Yalding dobrze ukrył tajemnicę schowka.

— Chciałbym — powiedział Gerald — też mieć taką tajemnicę do schowania.

— Bo jeżeli włamywacze wiedzą — ciągnęła Mabel — to wszystko wyjdzie na jaw na rozprawie. W czasie rozpraw prawnicy zmuszają do ujawnienia wszystkiego, co się wie, a prócz tego do powiedzenia całej furi kłamstw.

— Nie będzie żadnej rozprawy — rzekł Gerald, kopiąc w zamyśleniu nogę fortepianu.

— Nie będzie?

— W gazecie napisali... — ciągnął z namysłem Gerald. — „Złoczyńcy musieli dostać ostrzeżenie od współspiskowca, gdyż znakomite przygotowania, aby ich aresztować, kiedy wrócili ze swej niecnej wyprawy, nie zdały się na nic. Ale policja jest już na tropie”.

— Co za szkoda! — rzekła Mabel.

— Nie potrzebujesz się martwić, policja nie trafiła na żaden trop — odparł Gerald z uwagą wciąż skupioną na nodze fortepianu.

— Nie myślałam o tropie, myślałam o współspiskowcu.

— Szkoda, że uważasz, że szkoda, bo ten współspiskowiec to ja — powiedział Gerald wstając i zostawiając w spokoju nogę fortepianu.

Patrzył prosto przed siebie w taki sposób, w jaki mógłby spoglądać chłopiec na pokładzie płonącego statku.

— Nic na to nie mogę poradzić — powiedział. — Wiem, że będziesz uważała mnie za złoczyńcę, ale nie mogłem inaczej. Nie mam pojęcia, jak detektywi mogą to robić. Zwiedzałem kiedyś więzienie i kiedy dałem wskazówki Johnsonowi, przypomniałem sobie więzienie i po prostu nie mogłem już myśleć spokojnie o ich aresztowaniu. Wiem, że jestem zwierz i że nie jestem godzien być obywatelem angielskim.

— Myślę, że to było ładnie z twojej strony — powiedziała uprzejmie Mabel. — Ale jak ich ostrzegłeś?

— Po prostu wsunąłem kartkę papieru pod drzwi złodzieja, o którym wiedziałem, gdzie mieszka, i kazałem im siedzieć cicho.

— Ach, powiedz mi dokładnie, co napisałeś na kartce! — Mabel ogromnie się ożywiła.

— Napisałem: „Policja wie wszystko z wyjątkiem waszych nazwisk. Bądźcie choć raz

przywoici, a będziecie bezpieczni. Ale jeżeli wydarzy się jakieś nowe włamanie, to doniosę na was i możecie być pewni, że zrobię to skutecznie. Za to wam ręczy przyjaciel”. Wiem, że źle postąpiłem, ale nie mogłem inaczej. Tylko, proszę cię, nie mów o tym nic reszcie naszej czwórki. Nie zrozumieliby, dlaczego to zrobiłem. Ja sam zresztą też nic nie rozumiem.

— A ja wiem — rzekła Mabel. — To dlatego, że masz dobre i szlachetne serce.

— Szlachetne bzdury, moje drogie dziecko! — zawołał Gerald tracąc nagle wyraz twarzy chłopca na płonącym statku i w mgnieniu oka odzyskując własny. — A teraz leć biegiem i umyj ręce. Jesteś czarna jak atrament.

— Sam jesteś czarny — odparła Mabel — nie ja. Ja mam tylko ślady farby. Ciocia dziś rano farbowała sobie bluzkę według przepisu podanego w piśmie „Domowe Kłopoty”. I ciocia jest też czarna jak atrament, a bluzka cała pstrokata. Szkoda, że pierścień nie może zrobić niewidzialną tylko części jakiejś osoby, na przykład brudu.

— Kto wie — rzekł niespodziewanie Gerald — kto wie, czy będzie mógł w ogóle jeszcze kogoś uczynić niewidzialnym.

— Dlaczego? Chyba nie zrobiliście nic z pierścieniem, co? — ostro spytała Mabel.

— Nie. Ale czy nie zauważyłaś, że ty byłaś niewidzialna przez dwadzieścia jedną godzinę, ja byłem niewidzialny przez czternaście godzin, a Eliza wszystkiego siedem. Wypada to siedem godzin mniej za każdym razem. Więc teraz doszliśmy do...

— Ach, jak ty przeraźliwie dobrze umiesz liczyć — Mabel była przestraszona.

— Rozumiesz? Niewidzialność trwa za każdym razem o siedem godzin mniej, a siedem minus siedem daje zero. Więc tym razem musi się stać coś zupełnie innego. I poza tym nie może być minus siedem, bo nie wyobrażam sobie tego. Chyba że teraz pierścień sprawi, że ten, kto go będzie nosił, stanie się bardziej widzialny niż przedtem... Może grubszy.

— P r z e s t a ń — wykrzyknęła Mabel — bo mi się już w głowie kręci!

— I jeszcze jedna rzecz w tym wszystkim jest dziwna — ciągnął Gerald. — Tego, kto jest niewidzialny, krewni przestają lubić. Przypomnij sobie zachowanie twojej własnej ciotki, a potem Kizi, która zupełnie się o mnie nie troszczyła, kiedy poszedłem schwytać włamywaczy. Jeszcze nie dotarliśmy do samego dna właściwości pierścienia. O, hura! mademoiselle wraca z ciastkami. Biegiem, mężni bandyci, ratujcie swoje życie!

Ruszyli oboje biegiem.

A w torbie mademoiselle były nie tylko ciastka. Były tam śliwki i winogrona, i torciki z konfiturami, i woda sodowa, sok malinowy i czekoladki w pięknych bombonierkach, i gęsta, bielutka śmietanka w brązowych dzbanuszkach, a wreszcie olbrzymi bukiet róż. Mademoiselle była wesoła, aż dziwnie wesoła jak na guwernantkę. Hojną ręką rozdała ciastka i torciki i uwiła z kwiatów wianek dla każdego z dzieci. Choć sama jadła niewiele, wypiła zdrowie Mabel jako gościa honorowego tym cudownym płynem, jaki powstaje po zmieszaniu soku malinowego z wodą sodową. Poza tym namówiła Jimmy'ego, żeby jednak włożył swój wianek na głowę, dowodząc mu, że greccy bogowie i boginie zawsze nosili wieńce, gdy zasiadali do uczy.

Nigdy chyba nie było, odkąd istnieją francuskie guwernantki, takiej uczy jak owa ucza wydana przez mademoiselle. Opowiadano sobie bez końca dowcipy i historyjki, zanosząc się od śmiechu. Jimmy pokazał wszystkie sztuczki z widelcami, korkami, zapałkami i jabłkami, które tak słusznie cieszą się popularnością. Mademoiselle opowiadała im swoje przygody z jej czasów szkolnych, kiedy była „zupełnie małą dziewczynką z dwoma ciasno zaplecionymi warkoczykami”, a kiedy dzieci nie mogły zrozumieć, co to są warkoczki, poprosiła o papier i ołówek i narysowała prześliczny wizerunek samej siebie, gdy była dzieckiem z dwoma grubymi, lecz krótkimi warkoczykami sterczącymi z obu stron jej głowy niczym druty do robót wbite w kłębek włóczki. Następnie rysowała wszystko, o cokolwiek dzieci prosiły, aż Mabel pociągnęła Geralda za rękę i szepnęła:

— Przedstawienie!



— Proszę nam narysować fasadę teatru, francuskiego teatru — poprosił grzecznie Gerald.

— Są zupełnie takie same jak w Anglii — odpowiedziała mademoiselle.

— A czy pani lubi przedstawienia w teatrze?

— Oczywiście, ubóstwiam.

— To świetnie — rzekł lakonicznie Gerald. — Zagramy dla pani komedyjkę. Dziś po południu, jeżeli to pani dogadza.

— Eliza będzie prała — szepnęła Kizia — a obiecaliśmy jej, że także zobaczy przedstawienie.

— A może lepiej będzie wieczorem — poprawił się Gerald. — I proszę pani, mademoiselle, czy Eliza będzie mogła przyjść i też popatrzeć?

— Z całą pewnością — odparła mademoiselle. — I bawcie się dobrze, moje dzieci.

— Kiedy to właśnie p a n i ą chcemy zabawić — rzekła nagle Mabel. — Bo my wszyscy strasznie panią lubimy... prawda? — zwróciła się do reszty dzieci.

— O, tak — rozległ się natychmiast zgodny chór głosów, chociaż nikomu z pozostałej trójki nie przyszłoby do głowy powiedzieć coś takiego z własnej inicjatywy. A jednak gdy Mabel to powiedziała, zrozumieli wszyscy, ku swemu zdumieniu, że to prawda.

— Tiens \*! — rzekła mademoiselle. — Naprawdę lubicie waszą starą francuską guwernantkę? To niemożliwe — dodała dość niewyraźnym głosem.

— Pani wcale nie jest stara — odparła Mabel. — W każdym razie nie tak bardzo — dodała. — I jest pani piękna, zupełnie jak królowna.

— Ty pochlebczym! — rzekła ze śmiechem mademoiselle. — Idź teraz z nimi.

I Mabel pobiegła, by dogonić resztę dzieci, które były już w połowie schodów.

Mademoiselle siedziała jak zwykle w saloniku, ale na szczęście nie była zajęta lekturą jakiejś poważnej książki, ponieważ drzwi przez całe popołudnie bezustannie otwierały się i zamykały. Czy można wziąć haftowaną narzutę i poduszki z kanapy? Czy można wziąć sznur od bielizny z pralni? Eliza powiedziała, że nie można, ale może można? Czy można wziąć dywaniki z niedźwiedziej skóry sprzed kominka? Czy można zjeść podwieczorek w ogrodzie? Bo w jadalni jest prawie gotowa scena, a tymczasem Eliza chce nakryć do podwieczorku. Czy mademoiselle może im pożyczyć coś z ubrania, co jest kolorowe — szaliki albo szlafroki, albo coś jeszcze innego, byleby tylko było bardzo kolorowe? Owszem, mademoiselle mogła i pożyczyła rozmaite rzeczy z jedwabiu, zadziwiająco piękne, jak na guwernantkę, którą chyba nie bardzo na to stać. Czy mademoiselle ma może trochę różu? Bo zawsze słyszeli, że we Francji... Nie. Mademoiselle różu nie miała i, sądząc z koloru jej cery, wcale go nie potrzebowała. A jak mademoiselle sądzi, czy w drogerii sprzedadzą róż? A czy ona sama nie ma zbędnych sztucznych włosów? Usłyszawszy to ostatnie żądanie mademoiselle bladymi palcami wyciągnęła tuzin szpilek z włosów, a wówczas włosy jej opadły, przepiękne, granatowo-czarne włosy, sięgające długimi falami aż do kolan.

— Nie, wy okropne dzieci! — wykrzyknęła. — Nie mam ani sztucznych włosów, ani różu. Ale może mam wam dać moje zęby... Pewnie też mielibyście ochotę na nie?

Tu ukazała swe zęby w szerokim uśmiechu.

— Mówiłam, że pani jest królowną — rzekła Mabel — a teraz już wiem na pewno — pani jest Jagódką \*\*. Ach, niech pani zawsze nosi włosy rozpuszczone! A czy możemy wziąć wachlarz z pawich piór, który leży na półeczce od kominka? I sznury od portiery? No i wszystkie chustki do nosa, jakie tylko pani ma?

Mademoiselle niczego im nie odmówiła. Dostali wachlarze i chustki do nosa, wielkie arkusze kosztownego rysunkowego papieru wydobytego ze szkolnej szafki, pudełko z farbami

\* Tiens! (franc.) — wykrzyknik używany w znaczeniu: ha, patrzcie no, itp.

\*\* Jagódka — bohaterka bajki braci Grimm; gdy została uwięziona w wysokiej wieży, po jej do ziemi sięgających warkoczach wspinał się na wieżę królewicz, który chciał ją uratować.

i najlepszy soboli pędzel.

— Kto by pomyślał — mruknął Gerald, ssąc w zamyśleniu pędzel i przypatrując się dopiero co przez siebie namalowanej masce z papieru — że ona jest taka morowa? Ciekaw jestem, dlaczego szkarłat smakuje zupełnie jak kostki Maggi?

Wszystko tego dnia było bardzo przyjemne. Są, jak wiecie, takie dni, kiedy wszystko układa się dobrze od samego początku; wszystkie potrzebne wam rzeczy znajdują się na swoim miejscu, wszyscy was rozumieją, a wszystko, co robicie, wypada doskonale. Jak taki dzień różni się od tych innych dni, które wszyscy aż nadto dobrze znamy, kiedy to sznurowadło pęka przy wkładaniu buta, grzebień gdzieś się zapodział, szczotka wypada wam z rąk na podłogę i ląduje pod łóżkiem, gdzie jej nie można dosięgnąć, mydło wylatuje z rąk, odrywają się guziki, rzęsa się zawija i wpada do oka, kiedy okazuje się nagle, że zużyło się już ostatnią czystą chustkę do nosa, kołnierzyk się zagiął i wrzyna się w szyję, a w ostatniej chwili pękają podwiązki i nie można znaleźć sznurka, aby je choć częściowo zastąpić! W takie dni spóźnicie się, oczywiście, na śniadanie i wszyscy myślą, że zrobiliście to umyślnie. A potem dzień toczy się i toczy, robi się coraz gorszy i gorszy — zeszyt z zadaniami gdzieś się podział, upuszczacie liczydła, które wpadają w błoto, łamie się ołówki, a kiedy otwieracie scyzoryk dla zaostrzenia ołówka, łamiecie sobie paznokieć. W taki dzień drzwi przygniatają wam palec i płaczą zlecenia, z jakimi was posłali rodzice. Przewracacie filiżankę z herbatą, a masło nie chce się trzymać na waszej kromce chleba i spada na ziemię. A kiedy wreszcie idziecie do łóżka, zazwyczaj w stanie niełaski domowników — nie jest żadną pociechą świadomość, że za wszystkie te przykre wypadki nawet w najmniejszym stopniu nie ponosicie winy.

Otóż ten dzień nie był jednym z takich dni, jak już to chyba zauważyliście. Nawet podwieczorek w ogrodzie — był tam małeńki placyk wyłożony ceglami, tuż przy ogródku skalnym, gdzie wygodnie i pewnie można było ustawić stół — wypadł wprost nadzwyczajnie, chociaż myśli czworga spośród piątki obecnych zaprzątnięte były zbliżającym się przedstawieniem, a piąta osoba snuła swoje własne myśli, nie mające nic wspólnego ani z podwieczorkiem, ani z przedstawieniem.

A potem nastąpiła przerwa, wypełniona trzaskaniem drzwiami, chwilami interesującego milczenia i bieganiną w górę i w dół po schodach.

Było jeszcze jasno na dworze, kiedy zadzwonił dzwonek na kolację — sygnał ten uzgodniono w czasie podwieczorku i starannie wyjaśniono wszystko Elizie. Mademoiselle odłożyła książkę i weszła z hallu — aż złocistego od zachodzącego słońca — do jadalni oświetlonej słabym, żółtym światłem gazowym. Eliza, chichocząc, otworzyła drzwi i weszła za mademoiselle. Okiennice były pozamykane i tylko u ich szczytu i na dole przenikały smugi dziennego światła. Zielono-czarne obrusy ze szkolnej jadalni zwisały na sznurze od białizny przyniesionym z pralni. Sznur tworzył wdzięczną krzywiznę, ale spełniał swoje zadanie podtrzymywania kurtyny, zasłaniającej tę część pokoju, gdzie urządzono scenę.

Rzędy krzesel widniały po przeciwległej stronie pokoju — wszystkie krzesła z całego domu, tak przynajmniej to wyglądało. Mademoiselle cofnęła się gwałtownie kiedy zobaczyła, że dobre pół tuzina z tych krzesel było zajętych. W dodatku widzowie byli niezwykle dziwni — stara kobieta w spiczastym czepku przewiązanym czerwoną chusteczką, dama w wielkim słomkowym kapeluszu ozdobionym kwiatami, z rękoma bardzo dziwacznymi, opartymi na poręczach krzesła stojącego przed nią, a wreszcie kilku mężczyzn o dziwnym, niezdarnym wyglądzie, w kapeluszach nasuniętych na czoło.

— Widzę — szepnęła mademoiselle przez szparę między obrusami — że zaprosiliście innych jeszcze znajomych? Powinniście byli zapytać mnie o zgodę, moje dzieci.

W odpowiedzi dał się słyszeć spoza fałdów zaimprovizowanej kurtyny śmiech i coś w rodzaju okrzyku „hurra!”

— Doskonale, Jagódka! — zawołała Mabel: — Proszę podkręcić gaz, a przekona się pani, co to jest. Bo to należy do przedstawienia.

Eliza, nadal chichocząc, przesunęła się między rzędami krzeseł, strącając po drodze kapelusz jednego z gości, i podkreśliła wszystkie trzy żarzące się palniki gazowych lamp.

Mademoiselle spojrzała na najbliższej siedzącą postać, pochyliła się, aby ją lepiej obejrzeć, po czym usiadła na wpół śmiejąc się, a na wpół krzycząc.

— Och! — zawołała. — Oni nie są żywi!

Eliza zrobiła to samo odkrycie, wydając jeszcze głośniejszy okrzyk.

— Tam w nich w środku nic nie ma! — zawołała.

Siedmioro widzów usadowionych na krzesłach istotnie nie miało wewnątrz godnych wzmianki. Ciała ich bowiem zrobione były z poduszek i zwiniętych koców, kręgosłupy miały z kijów od mioteł, a ręce i nogi — z parasoli i kijów od hokeja. Za ramiona służyły im drewniane wieszaki, jakich mademoiselle używała do wieszania w szafie żakietów, aby nie traciły fasonu. Dłonie zrobione były z rękawiczek wypchanych chusteczkami do nosa, a twarze stanowiły tekturowe maski pomalowane w ciągu popołudnia niewprawnym pędzlem Geralda i przywiązane do okrągłych głów sporządzonych z wypchanych poszewek na jaśki. Twarze owych postaci były rzeczywiście dość przerażające. Gerald uczynił wszystko, co było w jego mocy, ale nawet wszystko, co było w jego mocy, dało w rezultacie coś, co można było uznać za twarze — zwłaszcza zaś kilka z nich — tylko dzięki temu, że znajdowały się w tym miejscu, gdzie zwykle znajdują się twarze, a mianowicie między kołnierzem i kapeluszem. Brwi owych stworów, zrobione sadzą, nadawały im wyraz złości, oczy były rozmiarów i nieomal kształtu pięcioszylingowych monet, a na usta i policzki poszło bardzo dużo karmazynu i niemal spodek szkarłatu.

— Sami sobie zapełniście widownię, co? Brawo! — wykrzyknęła mademoiselle, zupełnie już powróciwszy do równowagi, klaszcząc w dłonie. A na odgłos oklasków kurtyna uniosła się w górę — czy raczej rozsunęła się — jakiś zdławiony i zadyszany głos zapowiedział: „Przepiękna i Zwierz”, po czym ukazała się cała scena.

A była to scena prawdziwa — stoły z jadalni ustawione razem i przykryte biało-różowymi prześcieradłami. Chodzenie po niej stanowiło pewne ryzyko, ale w oczach widzów wyglądała imponująco. Dekoracja była prosta, ale całkowicie przekonująca. Duży kawał tektury zgięty w czworobok z wyciętymi otworami oraz świeczką z tyłu wyobrażał zupełnie przejrzyste ognisko domowe. Pożyczone od Elizy okrągłe pudło na kapelusze ustawione na taborecie z lampką nocną pod spodem nie mogło być wzięte za nic innego — chyba tylko przez wielką złośliwość — jak za kocioł. Kosz na papiery z kilkoma szkolnymi ściereczkami i płaszczem w środku oraz para granatowych piżam przewieszonych przez oparcie krzesła uzupełniały scenerię. Nie była nawet potrzebna informacja, jaka dała się słyszeć zza kulis: „Pralnia w domu Przepięknej”, bo było zupełnie oczywiste, że jest to pralnia i nic innego.

— Wyglądają zupełnie jak prawdziwa publiczność, prawda? — szepnęła za kulisami Mabel. — No, zaczynaj już, Jimmy. I nie zapominaj, że kupiec musi być pompatyczny i że ma używać długich słów.

Jimmy, gruby od poduszek wepchniętych pod najlepszy płaszcz Geralda, który kupiono z myślą, by wystarczył chłopcu na dwa lata, w turbanie z włosatego ręcznika na głowie i z otwartym parasolem nad głową, rozpoczął pierwszy akt prostym i pośpiesznie wypowiadającym monologiem.

— Jestem najnieszczęśliwszym kupcem, jaki żył kiedykolwiek. Byłem kiedyś najbogatszym kupcem w Bagdadzie, ale utraciłem wszystkie moje okręty i teraz mieszkam w bardzo nędznym domku, który już się wali. Widzicie, jak strugi deszczowe wpadają do środka przez dziurawy dach. Moje córki biorą bieliznę do prania. A...

Przerwa mogła wydawać się długa, gdyby nie to, że na scenie zjawił się Gerald, elegancki w różowym szlafrocuku mademoiselle i uosabiający sobą najstarszą córkę kupca.

— Dobry dzień na suszenie bielizny — wykrztusił. — Papciu drogi, odwróć parasol. Zaoszczędzi to nam wychodzenia na dwór po deszczu, aby przynieść wody. Chodźcie,

siostrzyczki, nasz drogi ojciec sprawił nam nową balię. Co za luksus!

Wszystkie trzy siostry przykłęły przed parasolem — trzymanym teraz do góry nogami — i prały wyimaginowaną bieliznę. Kathleen miała na sobie fioletową spódnicę Elizy, własną niebieską bluzkę i kapturek z powiązanych chustek do nosa. Biała nocna koszula z białym fartuszkim i dwa czerwone goździki wetknięte w czarne włosy Mabel nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, która z trzech sióstr jest Przepiękną.

Scena była świetnie odegrana. Taniec z wymachiwaniem ręcznikami, wykonany na zakończenie, mademoiselle uznała za czarujący. Eliza zaś tak świetnie się bawiła, że, jak powiedziała, sparła ją kolka od serdecznego śmiechu.

Wicie chyba dobrze, jak mogła być odegrana bajka o „Przepięknej i Zwierzu” przez czworo dzieci, które zużyły całe popołudnie na sporządzanie swoich kostiumów, wobec czego zupełnie nie miały czasu, by zrobić próbę tego, co będą mówiły. Mimo to sami byli zachwyceni swą grą, a publiczność wprost oczarowali. A czegoż więcej może dokonać sztuka teatralna, nawet szekspirowska? Mabel w swym stroju królowy była wspaniałą Przepiękną; Gerald zaś wspaniałym Zwierzem, noszącym na sobie skóry sprzed kominka w salonie z niezwykłą dystynkcją. A jeżeli Jimmy nie był zbyt wielomównym kupcem, nadrabiał ten brak przez okrągłości swojej postaci prawie nieograniczone. Kathleen zaś zaskoczyła i zachwycała nawet siebie samą szybkością, z jaką przekształcała się w coraz to nową, drugoplanową postać — wrózkę, służącą czy gońca. Odegrany już został akt drugi, gdy Mabel, która nie potrzebowała przebierać się, gdyż miała na sobie strój tak wytworny, że nie mogło być już nic lepszego, zwróciła się do Geralda pocącego się pod ciężarem zwierzęcych skór:

— Słuchaj, może byś tak oddał nam pierścień?

— Oddam, oddam — zapewnił ją Gerald, który o pierścieniu wcale nie pamiętał. — Oddam ci go podczas następnej sceny. Tylko nie zgub go ani go nie wkładaj na palec, bo mogłabyś zniknąć na dobre i nikt by cię już więcej nie widział albo mogłabyś stać się siedem razy bardziej widoczna niż ktokolwiek inny. I reszta z nas wyglądałaby jak cienie przy tobie. Taka byłabyś gruba czy...

— Gotowe! — zawołała Kathleen, wpadając znów na scenę jako niedobra siostra.

Gerald zdołał wsunąć rękę do kieszeni pod swymi skórąmi i w chwili gdy przewracał oczyma na znak wezbranych uczuć i mówił: — Żegnaj, droga moja Przepiękna! Wracaj jak najprędzej, gdyż jeśli twój wierny Zwierz długo nie będzie cię widział, to z pewnością zginie — wcisnął w jej dłoń pierścień i dodał: — Oto jest czarodziejski pierścień, który obdarzy cię wszystkim, czego tylko zapragniesz. Kiedy będziesz chciała powrócić do kochającego cię Zwierza, włóż tylko pierścień na palec i wypowiedz życzenie. A wtedy natychmiast znajdziesz się u mego boku.

Przepiękna-Mabel wyciągnęła rękę i w tej samej chwili pierścień znalazł się w jej dłoni.

Kurtyna opadła i rozległy się gorące oklaski dwóch par rąk.

Dalszy ciąg widowiska przebiegał wspaniale. Złe siostry były niemal aż nadto prawdziwe w swojej złości, a zmartwienie Przepięknej, kiedy siostry oblały jej szatę królowy prawdziwymi mydlinami, uznano za szczyt znakomitego aktorstwa. Nawet kupiec wzniosł się na wyżyny aktorstwa nie tylko dzięki poduszkom i kurtyna opadła w chwili, gdy wzruszająco zapewniał, że pod nieobecność jego ukochanej Przepięknej ze zmartwienia stanie się on jak cień.

I znów dwie pary rąk biły oklaski.

— Ej, Mabel, trzymaj! — zawołał Gerald uginający się pod ciężarem stojaka na ręczniki, imbryka, tacy do herbaty i zielonego bajowego fartucha czyścibuta, które to rzeczy łącznie z czterema doniczkami pelargonii z podestu schodów, papirusem z półeczki nad kominkiem w salonie oraz drzewkami kauczukowymi z okna w salonie miały przedstawiać sobą wodotryski i ogród z ostatniego aktu.

W tej samej chwili oklaski ucichły.

— Chciałabym — powiedziała Mabel przejmując od Geralda ciężar ogromnego czajnika — chciałabym, żeby te straszdyła, któreśmy porobili, były żywe. Wtedy mielibyśmy naprawdę huczne oklaski.

— Bardzo się cieszę, że one nie są żywe — odparł Gerald, rozmieszczając stojak na ręczniki i fartuch pucybuta. — Potwory! Czuję się jak idiota, ile razy napotkam spojrzenie ich papierowych oczu.

Kurtyna znów się rozsunęła. Na scenie leżał Zwierz, pokryty niedźwiedzią skórą, wyraźnie opuszczony wśród podzwrotnikowych piękności ogrodu, gąszczu papirusu, drzew kauczukowych i pelargoniiowych oraz czajnika-wodotrysku. Przepiękna gotowa już była do wspaniałego wejścia na scenę w całym wstrząsającym majestacie rozpaczy. I wtedy nagle to wszystko się wydarzyło.

Zaczęło się od tego, że mademoiselle powitała oklaskami scenę zamienioną w ogród, bijąc szybkie, leciutkie brawa swymi drobnymi francuskimi dłońmi. W ślad za nią ciężko rozległy się oklaski dużych czerwonych rąk Elizy. A następnie jeszcze ktoś zaklaskał, chyba ze sześć albo siedem osób, a ich oklaski brzmiały martwo jakoś i głucho. Dziewięć twarzy zamiast dwóch zwróciło się w stronę sceny, a z tych dziewięciu siedem stanowiły twarze z papieru, spiczaste i pomalowane. A każda z dziewięciu par rąk i każda z dziewięciu twarzy była żywa. Oklaski wzmożyły się, gdy Mabel wysunęła się na przód sceny, a kiedy przystanąła i spojrzała w stronę widowni, jej nie udawany wyraz zdumienia i zgrozy wywołał jeszcze mocniejsze brawa. Brawa te jednak nie były dość głośne, by zagłuszyć krzyki mademoiselle i Elizy, gdy uciekały z jadalni, wywracając krzesła i tłocząc się obydwie w drzwiach. Po chwili trzasnęły odległe już drzwi — drzwi pokoju mademoiselle i pokoju Elizy.

— Kurtyna! Kurtyna! Prędziej! — wołała Przepiękna-Mabel głosem, który nie był ani głosem Mabel, ani głosem Przepięknej. — Jerry! Te stwory o ż y ł y! Ach i co my teraz zrobimy?

Niedźwiedzioskóry Gerald zerwał się na nogi. I znów rozległy się głucho brzmiące oklaski, tłumiąc szelest obrusów zsuwanych po sznurze, gdy Jimmy i Kathleen opuszczali kurtynę.

— Co się stało? — wykrzyknęli naraz oboje.

— Tym razem urządziłaś nas! — zawołał Gerald do zarumienionej i spoconej Mabel. — Ach, niech liko weźmie te sznurki!

— Nie możesz ich rozerwać? Ja to urządziłam?! Rzeczywiście! — obruszyła się Mabel. — To mi się podoba!

— Bardziej chyba niż mnie — odparł Gerald.

— No, już nie kłóćmy się — powiedziała Mabel. — Chodźmy! Musimy te stwory rozebrać na kawałki — wtedy n i e b ę d ą już żywe.

— Tak czy owak to twoja wina — powiedział Gerald z najzupełniejszym brakiem kurtuazji. — Wiesz chyba, co się stało. Pierścień zamienił się teraz w pierścień życzeń. Wiedziałem, że przydarzy się coś zupełnie nowego. Wyciągnij mi z kieszeni scyzoryk — ten sznurek to jeden wielki węzeł. Jimmy, Kizia, Brzydale-Strachale ożyły, bo Mabel wyraziła takie życzenie. Idźcie rozerwać je na kawałki.

Jimmy i Kizia wyjrzeli za kurtynę i natychmiast cofnęli się, bladzi jak papier i z wytrzeszczonymi oczyma.

— O, nie! — odmówił lakonicznie Jimmy.

— Ani ja! — zawołała Kizia. I widać było, że nie da się jej namówić.

Gerald już się uwolnił niemal od niedźwiedziej skóry, lecz złamał sobie paznokcie dużego palca o najoporniejsze ostrze scyzoryka, gdy za kurtyną rozległy się szmery i szelesty, a zaraz potem ciężkie i donośne stapania.

— One w y c h o d z ą! — wrzasnęła Kathleen. — Idą na swoich nogach ze szczotek i parasoli. Nie dasz rady zatrzymać ich, Jerry. Istne potwory.

— Całe miasteczko zwariuje do jutra, jeśli ich n i e z a t r z y m a m y! — zawołał Gerald. — Mabel, daj mi pierścień, wypowiem życzenie odwrotne.

Wyrwał pierścień z rąk nie stawiającej zresztą oporu Mabel i z okrzykiem: — Życzę sobie, żeby Strachale n i e były ż y w e! — rzucił się do drzwi. Widział już w swej wyobraźni życzenie Mabel cofnięte i pusty hall usłany nieruchomymi poduszkami, kapeluszami, parasolami, kijami, płaszczami i rękawiczkami — nieszczęsnymi stworami, z których krótkie życie wyparowało na zawsze. Tymczasem hall był pełen żyjących, dziwacznych stworów — wszystkie były ohydnie karłowate i o tyle niższe od człowieka, o ile niższe są kije od mioteł i parasoli. Kaleka, zwisająca ręka zaczęła nagle gestykulować. Spiczasta biała twarz o czerwonych policzkach spoglądała na Geralda, a szerokie, czerwone usta coś powiedziały, czego nie mógł zrozumieć. Głos poczwary przypominał głos starego żebraka przy moście, nędzarza, który nie miał podniebienia. A stwory otaczające chłopca również nie miały podniebienia, oczywiście, nie miały...

— Yy oże i oei ory oel? — zapytał głos ponownie. I stwór musiał powtórzyć to cztery razy, zanim wreszcie Gerald zdołał na tyle się skupić, by zrozumieć, że ten potwór — żywy i najprawdopodobniej wymykający się wszelkiej nad nim kontroli — mówił z przerażającym spokojem i uprzejmym uporem: — Czy możesz mi polecić jakiś dobry hotel?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Czy możesz mi polecić jakiś dobry hotel? — wymawiający te słowa miał głowę wewnątrz zupełnie pustą. Gerald powinien był wiedzieć to doskonale. W ubraniu potwora nie było wcale ramion — tylko wieszak, na którym staranne w ubiorze panie wieszają zakłady. Ręka wzniesiona pytająco nie była wcale ręką; była to rękawiczka byle jak wypchana chusteczkami do nosa. A rękawiczka ta była przymocowana nie do prawdziwego ramienia, ale do parasolki Kathleen. A jednak wszystko to razem b y ł o żywe i zadawało określone, zrozumiałe dla wszystkich i najzupełniej rozsądne pytania.

Z uczuciem, że coś go dławii, Gerald uprzytomnił sobie, że teraz lub nigdy nadszedł czas, aby sprostał wymogom sytuacji. Ale gdy tylko sobie to pomyślał, uczucie dławienia wzmożło się jeszcze bardziej. Wyglądało na to, że nawet w najmniejszym stopniu nie zdoła sprostać wymogom chwili.

— Co, proszę? — było jedyną rzeczą, na jaką potrafił się zdobyć. A wówczas namalowana, spiczasta papierowa twarz zwróciła się znowu w jego kierunku i znowu zapytała:

— Yy oże i oei ory oel?

— Potrzebny panu hotel? — głupio powtórzył słowa poczwary Gerald. — D o b r y hotel?

— Ory oel — malowane usta z uporem powracały do swego pytania.

— Bardzo mi przykro — odparł uprzejmie Gerald (można w każdej sytuacji być uprzejmym, cokolwiek się zdarzy, a uprzejmość była jakby wrodzoną cechą chłopca) — ale wszystkie nasze hotele zamykane są bardzo wcześniej — około ósmej, jeśli się nie mylę.

— Ea aua — odparła maskara. Gerald nawet i teraz nie mógł zrozumieć, jak ten wytwór żartu, sfabrykowany naprędce z kapelusza, płaszcza, papierowej twarzy i o dłoniach zrobionych z rękawiczek — mógł stać się jedynie przez to, że ożył, budzącym szacunek człowiekiem, mniej więcej pięćdziesięcioletnim, najoczywiściej zamożnym, znanym i szanowanym w swojej dzielnicy miasta, czyli rodzajem człowieka, który podróżuje pierwszą klasą i pali drogie cygara.

Tym razem Gerald od razu zrozumiał, bez jakiegokolwiek potrzeby powtarzania, że dziwny stwór powiedział: „Trzeba zapukać“.

— To by się na nic nie zdało — wyjaśnił Gerald. — Wszyscy hotelarze są głusi jak pień. Tak jest przynajmniej w całym naszym miasteczku. I to jest — błagował już na całego — prawo wydane przez Radę Miejską. Tylko głuchym wolno prowadzić hotele. A to z powodu chmielu zawartego w piwie — fantazjował dalej. — Pan wie, że chmiel jest znakomitym lekiem na uszy.

— Ie ao ię oumię — rzekł wielce szanowny Brzydala-Strachal, a Gerald wcale nie był zdziwiony, że rozumie słowa tamtego, oznaczające: „Nie bardzo cię rozumiem”.

„To tylko na początku wydaje się trudne” — pomyślał.

Teraz już wszystkie Brzydale-Strachale otaczały Geralda. Pani w sztywnym czepku powiedziała — a Gerald stwierdził, że coraz lepiej rozumie słowa wypowiedane przez pozbawionych podniebienia:

— Jeżeli nie hotel, to byle jakie miejsce.

„Moje miejsce jest w zimnej ziemi” — zaśpiewało coś w uszach Geralda. Zaśpiewało na próżno... a może i nie na próżno?

— Znam pewne miejsce — powiedział Gerald z namysłem — ale...

Najwyższy wzrostem z Brzydali-Strachali przepchał się do przodu. Ubrany był w stary brązowy płaszcz i cylinder, które wisały na szaragach dla odstraszenia możliwych włamywaczy, uświadamiając im, że dom ten ma gospodarza i ów gospodarz jest u siebie. Wysoki stwór miał wygląd sportowca, zdawał się mniej powściągliwy niż jego przedmówca i każdy mógł dostrzec, że nie jest to dżentelmen.

— Ały eić — zaczął, ale przerwała mu pani w kapeluszu przybranym kwiatami. Ta postać mówiła wyraźniej od pozostałych dzięki temu, jak Gerald przekonał się później, że jej narysowane usta były otwarte, a przecięty w ich miejscu papier podwinięty był do góry. W ten sposób owa postać miała coś w rodzaju podniebienia, choć tylko papierowego.

— Chciałabym wiedzieć — usłyszał jej słowa Gerald — gdzie są zamówione przez nas powozy?

— Nie wiem — odpowiedział Gerald — ale postaram się dowiedzieć. Powinniśmy już wyjść stąd — dodał — bo przedstawienie się skończyło i mieszkańcy tego domu chcą pójść spać i pogasić światła. Chodźmy więc.

— Oy — powtórzył stwór najbardziej budzący szacunek i ruszył w kierunku frontowych drzwi.

— Czy pójdziesz z nami? — spytała pani w kapeluszu z kwiatami. Przy czym, jak mnie zapewniał Gerald, jej karminowe usta rozciągnęły się w uśmiechu.

— Z największą przyjemnością zrobię wszystko — odparł Gerald z wielką kurtuazją. — Ale zdarzają się różne rzeczy, kiedy się ich najmniej spodziewamy. Mógłbym pójść z wami i wyszukać dla was pomieszczenie, tylko musielibyście poczekać chwilę na... na podwórzu. To bardzo przyzwoite podwórze — ciągnął, spostrzegłszy na papierowych twarzach maszkar wyraz pogardliwego zdziwienia. — To nie takie zwyczajne podwórze. Na przykład studzienna pompa — dodał jakby w transie — została dopiero co pomalowana na zielono, a pojemnik na śmieci jest z emaliowanej blachy.

Brzydale-Strachale zaczęły się naradzać, a z tego, co mówiły, Gerald zrozumiał, że zieloność studni i emaliowana blacha pojemnika mają dla nich jakieś znaczenie.

— Jest mi niezmiernie przykro — nalegał Gerald — że muszę was prosić o zaczekanie na mnie, ale chodzi o to, że mam zupełnie obłąkanego wujka i muszę mu zawsze podawać kaszkę o wpół do dziesiątej — od nikogo innego nie przyjmie jedzenia, tylko ode mnie, z mojej ręki.

Gerald nie dbał już wcale o to, co mówi. Bo, widzicie, jedyne istoty, które wolno okłamywać to właśnie Brzydale-Strachale. Zrobione są tylko z ubrań, pod którymi nic nie ma,

nie są istotami ludzkimi, ale rodzajem bardzo wyraźnych widziadeł, toteż właściwie nie można ich oszukać, choć może to tak wyglądać.

Przez kuchenne drzwi oszklone kolorowymi szybami, a potem po żelaznych schodach Gerald wyprowadził maskary na podwórze. Niektóre z nich nosiły buty, te natomiast, których nogi stanowiły wyłącznie kije czy parasole, przekonały się, że schodzenie po żelaznych schodach jest raczej przykre.

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu — powiedział Gerald — to zaczekajcie, proszę, pod balkonem, bo mój wujaszek jest t a k zwariowany, że gdyby zobaczył... zobaczył obcych, nawet gdyby to byli arystokraci, to doprawdy nie mógłbym odpowiadać za następstwa.

— W takim razie — odezwała się nerwowo pani z kwiatami na kapeluszu — może byśmy sami poszli poszukać jakiegoś pomieszczenia?

— Tego bym nie radził — odparł Gerald najbardziej ponurym ze swych ponurych głosów — bo tutejsza policja aresztuje wszystkich obcych. Tak jest według nowej ustawy, świeżo ogłoszonej — dodał przekonująco — więc znaleźlibyście pomieszczenie, które z pewnością by się wam nie podobało. A ja też nie zniósłbym myśli, że jesteście w celi więziennej — zakończył.

— E yaem dzyś gazet — rzekł najbardziej budzący szacunek stwór i dodał coś, co brzmiało jak „haniebny stan rzeczy”.

W końcu wszyscy ustawili się pod balkonem. Gerald obrzucił ich jeszcze raz spojrzeniem i dziwił się w skrytości serca, dlaczego wcale się ich nie boi, chociaż rozum podsuwał mu niepokojące myśli. Stwory bowiem wyglądały naprawdę straszliwie. Wprost trudno było uwierzyć, że są to w rzeczywistości same tylko poduszki, części garderoby i kije, a wewnątrz ubrań jest pusto. Wracając po schodach do domu, Gerald usłyszał, jak stwory rozmawiają między sobą tym dziwnym językiem złożonym niemal wyłącznie z samych samogłosek. Wydało mu się nawet, że rozróżnia głos stwora budzącego szacunek: — Bardzo szarmancki chłopiec — i skwapliwą odpowiedź pani z kwiatami na kapeluszu: — O, tak!

Drzwi z kolorowymi szybami zamknęły się za Geraldem. Za sobą miał podwórze zaludnione przez siedem nieprawdopodobnych maskar, przed sobą zaś — milczący dom, zaludniony, jak o tym doskonale wiedział, przez pięć istot ludzkich tak przestraszonych, jak tylko ludzie potrafią być przestraszeni.

Może wam się wydawać, że Brzydale-Strachale są czymś, czego wcale nie należy się bać. Lecz jeśli tak myślicie, to tylko dlatego, żeście nie widzieli, jak choćby jeden taki stwór ożywa. Sfabrykujcie sami — wystarczy stare ubranie waszego ojca, kapelusz, którego już nie nosi, jedna czy dwie poduszki, pomalowana papierowa twarz, kilka kijów, a wreszcie para butów. Poproście ojca, by wam pożyczył na chwilę pierścień spełniający życzenia, zwróćcie ten pierścień, gdy zrobi swoje, i zobaczymy, jak się będziecie czuli.

Gerald, oczywiście, nie odczuwał strachu, ponieważ to on miał pierścień, a jak już wiecie, ten, kto ma pierścień, nie boi się n i c z e g o, dopóki tego czegoś nie dotknie. Ale Gerald wiedział bardzo dobrze, co czuje reszta mieszkańców domu. I właśnie dlatego zatrzymał się na chwilę w hallu, aby zastanowić się i wymyślić coś kojącego, coś, co uspokoiłoby także jego, gdyby on sam bał się tak, jak oni się bali.

— Kiziu! Jimmy! Mabel! Słuchajcie! — zawołał donośnym i krzepiącym głosem, który jemu samemu wydał się nierzeczywisty.

Drzwi do jadalni ostrożnie uchyliły się, tworząc szeroką na cal szparę.

— Ależ to historia! — ciągnął Gerald, usiłując pchnąć z lekka drzwi ramieniem. — Słuchajcie, dlaczego trzymacie drzwi zamknięte?

— Czy jesteś sam? — spytała Kathleen zdławionym szeptem.

— Ależ, oczywiście, nie bądź głuptasem!

Drzwi otwały się, ukazując trzy przerażone twarze i krzesła stojące w wielkim nieła-



dzie, tam gdzie siedziały dziwaczne stwory.

— Gdzie one są? Czy je odczarowałeś? Słyszeliśmy, jak mówiły. To straszne!

— Są na podwórzu — wyjaśnił Gerald udając najbardziej radosne podniecenie, na jakie mógł się zdobyć. — Co za frajda! Oni są zupełnie jak prawdziwi ludzie, mili i uprzejmi. Najbardziej pocieszna zabawa, jaką widziałem! Tylko nie mówcie nic mademoiselle i Elizie, a ja już się z nimi uporam. Kathleen i Jimmy niech się kładą spać, a ja odprowadzę Mabel do domu. A jak wyjdziemy na dwór, będę musiał znaleźć jakieś pomieszczenie dla tych straszylek. Ach, jacy oni są pocieszni. Chciałbym, żebyście wszyscy mogli pójść ze mną.

— Pocieszni? — odezwała się Kathleen ponurym, pełnym powątpiewania głosem.

— Szalenie pocieszni — powtórzył zdecydowanie Gerald. — A teraz zróbmy tak: ja będę mówił z mademoiselle i Elizą, a wy pomagajcie mi, jak tylko potraficie.

— Ale — odezwała się Mabel — nie masz chyba zamiaru zostawić mnie samej, kiedy wyjdziemy na dwór, i pójść gdzieś z tymi potworami. Wyglądają jak stado szatanów.

— Poczekaj, aż zobaczysz ich z bliska — powiedział Gerald. — Oni zachowują się zupełnie zwyczajnie. Pierwsza rzecz, o jaką jeden z nich mnie zapytał, to czy mógłbym mu wskazać jakiś dobry hotel. Tyle że nie mogłem go w pierwszej chwili zrozumieć, ponieważ nie ma on oczywiście podniebienia.

Ujawnienie tego było, rzecz prosta, błędem, co Gerald zaraz sobie uświadomił.

Mabel i Kathleen przytuliły się do siebie w sposób, który wyraźnie wskazywał, że tuż przed chwilą przeżyły moment śmiertelnego strachu. Znowu pobladły. A Jimmy, który siedział na skraju tego, co było przedtem sceną, i wymachiwał nogami, wyraźnie zadrżał.

— To nie ma z a d n e g o znaczenia — wyjaśnił Gerald — ta sprawa z podniebieniem. Bo można bardzo szybko nauczyć się ich rozumieć. Kiedy szedłem tutaj, słyszałem, jak między sobą nazywali mnie „szarmanckim chłopcem”. A z pewnością nie powiedzieliby tego, gdyby byli stadem szatanów.

— To nic nie znaczy — odparła Mabel — że nazwali cię szarmanckim chłopcem. Bo jeśli nie odprowadzisz mnie do domu, to wcale nie jesteś szarmancki. Więc co, odprowadzisz mnie?

— Ależ, oczywiście. Tej zabawie nie będzie końca. A teraz chodźmy do mademoiselle.

Mówiąc to, włożył płaszcz i pobiegł schodami na górę. Reszta dzieci zgromadzona w hallu usłyszała, z jaką beztroską zapukał do drzwi pokoju mademoiselle i wypowiedziane przez niego uspokajające słowa: „To tylko ja, Gerald”. Potem nastąpiła chwila ciszy, potem drzwi się otworzyły i odbyła się króciutka rozmowa. Po chwili mademoiselle i Gerald znaleźli się przed drzwiami Elizy, powiedzieli jej widocznie coś krzepiącego, bowiem głos Elizy, z początku pełen strachu, znacznie złagodniał.

— Ciekaw jestem, jakie kłamstwa on im opowiada — mruknął Jimmy.

— Ach, wcale nie kłamstwa — obruszyła się Mabel. — Tylko mówi im tyle prawdy, ile można im bez szkody powiedzieć.

— Gdybyś była mężczyzną — Jimmy spojrzał na nią zabójczym wzrokiem — byłabyś jakimś wściekłym jezuitą.

— A ja gdybym była chłopcem, nawet małym — odparła Mabel — to nie dałabym się śmiertelnie zastraszyć kupie starej garderoby.

— Tak mi ogromnie przykro, że się panie przestraszyły — słodkie jak miód słowa Geralda spłynęły w dół klatki schodowej. — Wcale nie mieliśmy tego zamiaru. Ale sztuczka była dobra, prawda?

— Masz ci los! — szepnął Jimmy. — On tam opowiada, że to była tylko sztuczka.

— Bo tak było — rzekła z powagą Mabel.

— Rzeczywiście znakomita sztuczka — powiedziała mademoiselle. — A jak poruszaliście manekinami?

— Ach — wyjaśnił Gerald — robiliśmy to już nieraz przy pomocy sznurków.

— To też prawda — szepnęła Kathleen.

— Chodźmy na dół — odezwała się mademoiselle, zatrzymując się u szczytu schodów — a wy pokażecie nam jeszcze raz tę wspaniałą sztukę.

— Ach, kiedy ja już usunąłem wszystkie manekiny — ubolewał Gerald. (— I to prawda — Jimmy usłyszał głos Kathleen). — Byliśmy tak zmartwieni skutkami tej sztuczki, że nie myśleliśmy o pokazaniu jej jeszcze raz.

— W takim razie — odparła wesoło mademoiselle, zaglądając do pełnej nieładu jadalni i widząc, że stwory rzeczywiście znikły — możemy teraz zjeść kolację i pogadać o waszym wspaniałym przedstawieniu.

Gerald wyjaśnił, że jego braciszek i siostrzyczka z ogromną przyjemnością zjedzą kolację. Co zaś do niego — mademoiselle sama przyzna z pewnością, że jego obowiązkiem jest odprowadzić Mabel do domu. Bo Mabel nie może zostać, mimo bardzo uprzejmego zaproszenia mademoiselle, ze względu na to, że uczucia ciotki dla siostrzenicy pełne są zawsze niepokoju i troski. A Eliza nie może, niestety, odprowadzić Mabel, gdyż wieczorami popada w nerwowy lęk, jeżeli nie ma przy niej znajomego.

Tak więc Mabel włożyła swój własny kapeluszyk i ubrała się w nie swój płaszcz, po czym wraz z Geraldem wyszli frontowymi drzwiami, a towarzyszyły im czułe słowa pożegnania i zapewnienie, że spotkają się jutro.

Z chwilą gdy drzwi frontowe zatrzasnęły się, Gerald chwycił Mabel za ramię i szybko podprowadził do narożnika bocznej uliczki wiodącej do podwórza. Ledwo znaleźli się za rogiem, przystanął.

— A teraz — spytał — chciałbym wiedzieć, czy jesteś idiotka, czy nie?

— Sam jesteś idiota! — odpowiedziała Mabel, lecz uczyniła to odruchowo, gdyż widać było, że Gerald mówi poważnie.

— Dlatego, że ja nie boję się Brzydałów-Strachalów. Są tak nieszkodliwi jak oswojone króliki. Ale idiota może się ich przestraszyć, a wtedy wszystko się wyda. Więc jeśli jesteś idiotką, to powiedz, a ja wrócę do domu i wytłumaczę, że boisz się iść po nocy i że wobec tego ja pójdę zawiadomić ciocię, że przenocujesz u nas.

— Nie jestem idiotką — odparła Mabel. — I — dodała rozglądając się wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem kogoś naprawdę przerażonego — nie boję się n i c z e g o.

— W takim razie powiem ci o moich trudnościach i o niebezpieczeństwach — rzekł Gerald. — Przynajmniej skłonny jestem to uczynić. A nie zrobiłbym tyle nawet dla rodzzonego brata, możesz być pewna. Ale jeżeli popsujesz wszystko, to nigdy nie odezwę się do ciebie słowem i im też zabronię odzywać się do ciebie.

— Jesteś prawdziwe zwierzę, ot co! Nie trzeba mi niczym grozić, żebym nabrała odwagi. Bo ja j e s t e m odważna.

— Mabel — przemówił Gerald stłumionym, przejmującym głosem, gdyż spostrzegł, że nadszedł czas, aby zmienić ton — w i e m, że jesteś odważna, w i e r z ę w ciebie. Dlatego właśnie urządziłem wszystko w ten sposób. Jestem pewien, że w twojej czarno-białej postaci kryje się serce lwicy. Czy mogę ci ufać? Aż do śmierci?

Mabel poczuła, że powiedzieć cokolwiek innego niż „Tak” znaczyłoby odrzucić bezcenną opinię osoby doprawdy męskiej. A zatem powiedziała:

— Tak.

— Wobec tego pozostań tutaj, tu koło latarni. A kiedy zobaczysz, że nadchodzę z nimi, pamiętaj, że są nieszkodliwi jak węże... właściwie jak gołębki. I mów do nich w taki sposób, w jaki zwracałabyś się do kogokolwiek innego. Rozumiesz?

Gerald już miał zamiar odejść, gdy zatrzymało go jej zupełnie naturalne pytanie:

— A do jakiego hotelu obiecałeś ich zaprowadzić?

— Ojej! — zrozpaczony Gerald chwycił się oburącz za głowę. — Masz tobie! Ale widzisz, Mabel, już mi pomagasz. — Nawet w tak dramatycznej chwili nie był pozbawiony

taktu. — Zupełnie zapomniałem! A chciałem cię zapytać, czy w zamku albo na terenach zamkowych nie ma jakiegoś pomieszczenia, gdzie można by ich umieścić na tę noc? Bo o jakiejś porze czar pryśnie, jak tamten czar, kiedy się było niewidzialnym, i Brzydale staną się tylko kupą płaszczy i innych rzeczy, które z łatwością można będzie przy byle jakiej okazji zanieść do domu. Więc czy jest coś takiego?

— Jest tajne przejście... — zaczęła Mabel, ale w tej samej chwili furka od podwórza otworzyła się i jeden z Brzydali-Strachali wysunął głowę i spojrział niespokojnie w głąb uliczki.

— Dobra! — Gerald skoczył na spotkanie Brzydala. A Mabel mogła się zdobyć tylko na to, by nie popędzić w przeciwnym kierunku i z przeciwnym zamiarem. I rzeczywiście zdobyła się na to, z czego była niezmiernie dumna, jak długo pamiętała tę noc.

Zaraz potem, w głuchej ciszy i stosując wszelkie środki ostrożności niezbędne z powodu bliskiej obecności szalenie zwariowanego wujaszka, Brzydale-Strachale posępnym korowodem wyłoniły się z furki.

— Posuwaj się na paluszkach — szepnęła Brzydula w czepku do Brzyduli w kapeluszu z kwiatami. I nawet w tej krytycznej chwili Gerald zastanawiał się, jak też ona to robi, skoro jedna jej noga kończyła się rączką kija golfowego, druga zaś uchwytem kija hokejowego.

Mabel uznała, że nie będzie to żadnym wstydem, jeśli wycofa się do słupa latarni na rogu uliczki. Lecz z chwilą gdy się tam znalazła, zatrzymała się — i nikt poza nią nie dowie się nigdy, jakiego to wymagało wysiłku. Bo pomyślcie tylko: stać pod latarnią, spokojnie i zdecydowanie, i czekać, aż te niewiarygodnie dziwaczne i puste wewnątrz stwory podejną do niej, postukując na chodniku swymi niby-nogami lub też niesione bezgłośnie, jak w wypadku paniusi w kapeluszu z kwiatami, przez spódnicę, która dotykała ziemi i, jak Mabel doskonale wiedziała, nie zawierała nic w środku.

Stała nieruchomo. Dłonie jej zrobiły się wilgotne i zimne, lecz stała nadal, powtarzając sobie raz po raz w duchu: „Oni nie są prawdziwi — nie mogą być prawdziwi. To tylko sen — oni nie są prawdziwi. To niemożliwe”. Poza tym na miejscu był Gerald i gdy Brzydale-Strachale otoczyły ich kołem, Gerald powiedział:

— Oto jedna z naszych znajomych, Mabel, królowa z bajki. — Po czym, zwracając się do niej, dodał szeptem tylko dla niej: — Bądź mężczyzną.

Mabel, z nerwami tak napiętymi jak struny mandoliny, miała krótką chwilę wahania, czy zdoła być mężczyzną, czy też zamiast tego będzie po prostu wrzeszczącą i uciekającą małą, zwariowaną dziewczynką. Albowiem budzący szacunek Brzydał podał jej swoją miękką dłoń („On nie jest prawdziwy” — pomyślała), a paniusia w kapeluszu z różami ujęła ją za ramię wypchaną rękawiczką, będącą zakończeniem parasolowej ręki, i powiedziała:

— Droga, miła dziewczeczko! Pójdź ze mną — wyginając dziwacznie i dziewczęco swą postać i wymawiając słowa prawie pozbawione spółgłosek.

Po czym wszyscy pomaszerowali ulicą Główną, jak gdyby, jak powiedział Gerald, byli zupełnie kim innym.

Tworzyli dziwny korowód, lecz Liddlesby to miasteczko wcześniej chodzące spać, a tamtejsza policja, podobnie jak w większości innych takich miejscowości, nosiła buty, które słyhać było na milę. Gdyby takie buty dały się słyszeć, Gerald miałby dość czasu, aby zawrócić i nie spotkać się z policjantami. Poza tym zaś nie mógł się oprzeć poczuciu dumy z odwagi Mabel, gdy słyszał jej uprzejme słowa w odpowiedzi na jeszcze bardziej uprzejme uwagi układnych Brzydali-Strachali. Nie wiedział bowiem, jak bliska była Mabel wydania z siebie krzyku, który ujawniłby całą sprawę i doprowadził zarówno policję, jak i mieszkańców miasteczka do rozpacz.

Nie spotkali nikogo z wyjątkiem jednego przechodnia, który mruknął: „Dziwna pora jak na karnawał!”, i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. A kiedy nazajutrz opowiedział o tym, co widział, żona nie wierzyła mu i orzekła, że spotkała go kara, co było uwagą niczym nie uzasadnioną.

Mabel czuła się tak, jakby brała udział w bardzo starannie wyreżyserowanym koszmarze. Lecz Gerald również brał w tym udział, Gerald, który ją spytał, czy jest idiotką. Otóż Mabel idiotką nie była. Czuła jednak, że wkrótce nią będzie. Mimo to szła dzielnie naprzód odpowiadając na samogłoskowe uprzejmości tych niemożliwych postaci. Słyszała nieraz, jak ciotka mówiła o niemożliwych ludziach. Otóż teraz wiedziała już, jak wyglądają.

Letni zmierzch przeszedł w letnią księżycową poświatę. Cienie Brzydali-Strachali widoczne na białej drodze były znacznie groźniejsze niż ich bardziej realne osoby. Mabel zapragnęła, by noc była ciemniejsza, ale natychmiast z dreszczem lęku sprostowała swoje życzenie.

Gerald, poddany dokładnemu badaniu przez Brzydala w cylindrze na temat jego nauki, wyczynów sportowych, sposobu spędzania czasu oraz ambicji, zastanawiał się, jak długo czar będzie działał. Pierścień zdawał się działać siódmkami. Czy zatem sprawa ta ciągnąć się będzie przez siedem godzin, czy też przez czternaście lub dwadzieścia jeden? Zamyślił się wreszcie tak głęboko nad zawiłościami mnożenia przez siedem (rzeczą, która zawsze była dla niego łamigłówką), że ocknął się z tego ze wstrząsem dopiero wtedy, gdy korowód znalazł się przed bramą zamkową.

Oczywiście, zamkniętą na klucz.

— Widzicie państwo — wyjaśnił, gdy Brzydale-Strachale na próżno wstrząsały żelazną bramą swymi nieprawdopodobnymi rękami — jest już za późno, by wejść tędy. Co prawda istnieje inna jeszcze droga, tam jednak trzeba włączyć przez dziurę.

— Przecież są tu panie — zaoponował Brzydala-Strachala budzący szacunek, ale panie jednogłośnie orzekły, że przepadają za przygodami.

— To takie strasznie porywające — powiedziała paniusia z kwiatami na kapeluszu.

Poszli więc naokoło drogą i doszli do dziury — trochę trudno było ją znaleźć przy świetle księżyca, które zawsze nadaje odmienny kształt najbardziej nawet znanym przedmiotom — a Gerald szedł pierwszy rozświetlając wnętrze otworu rowerową latarką, którą zdążył pochwytać, gdy jego gromadka wychodziła z podwórza. W ślad za nim, kuląc się, weszła w dziurę Mabel, a następnie Brzydale-Strachale z głuchym odgłosem drewnianych kikutów uderzających o kamienie. Wędrówce tej, poprzez jaskinię, wąwóz, a wreszcie łukowate sklepienie, towarzyszyły dziwne, samogłoskowe dźwięki oznaczające powszechne zdumienie, męską odwagę i niewieścią nerwowość.

Kiedy wyłonili się wśród zalanych księżycem cudowności włoskiego ogrodu, z niejednych malowanych, papierowych ust wydarł się zupełnie wyraźny okrzyk niezwykłego podziwu: „Och!” A Brzydala budzący szacunek powiedział coś, co brzmiało jak stwierdzenie, że miejsce to nadaje się doskonale do zwiedzania.

Nigdy jeszcze echo tak dziwacznych kroków nie rozbrzmiewało na marmurowych tarasach i wijących się zwirowanych drózkach. Nigdy jeszcze tak dziko niewiarygodne cienie nie padały na gładkie, szare, pokryte rosą trawniki czarodziejskiego ogrodu. Geraldowi przychodziły takie lub podobne myśli do głowy (tak naprawdę to pomyślał sobie: „Idę o zakład, że nigdy nie było tu takiej hecy, nawet tu!”), gdy spostrzegł, że posąg Hermesa zeskakuje ze swego cokołu i biegnie w stronę jego i jego gromadki z całą napiętą ciekawością ulicznika, gotowego wdać się w bójkę uliczną. Zauważył również, że tylko on jeden spostrzegł pędzącą ku nim białą postać. Domyślił się, że to pierścień pozwala mu widzieć rzeczy, których inni nie widzą. Zsunął pierścień z palca. No tak, Hermes stał na swym cokole, nieruchomy jak bałwan śniegowy ulepiony w czasie wakacji Bożego Narodzenia. Włożył znowu pierścień na palec i oto Hermes krążył dokoła ich grupy, zaglądając w każdą twarz nieświadomych tego Brzydali-Strachali.

— Wygląda mi to na hotel wysokiej klasy — odezwał się Brzydala-Strachala w cylindrze. — Ogrody są zaplanowane z wielkim, można by rzec, smakiem.

— Musimy wejść tylnym wejściem — szepnęła nagle Mabel. — Frontowe drzwi zamy-

ka się o wpół do dziesiątej.

Niskiego wzrostu tęgi Brzydal-Strachal w granatowo-żółtej cyklistówce, dotąd prawie zupełnie milczący, mruknął coś o eskapadzie i o tym, że czuje się na nowo młodym.

Całe towarzystwo minęło obrzeżoną marmurem sadzawkę, gdzie połyskując pływały złote rybki i gdzie wielka bestia przedpotopowa przychodziła kąpać się i pić. Przy blasku księżycy woda tryskała brylantami, lecz tylko Gerald spośród całej gromadki widział ogromnego, pokrytego łuskami jaszczura, który w tej właśnie chwili tarzał się i taczał pośród kęp nenufarów.

W pośpiechu wspięli się na stopnie świątyni Flory. Tylne ściany świątyni, w przeciwieństwie do przedniej pozbawiona łuku, opierała się o stromą wyniosłość, nieomal skałę, jakich kilka było w ogrodzie. Mabel obeszła posąg bogini macając po ciemku, a w chwilę potem latarka Geralda, rzucając snop światła niczym reflektor, wydobyła z mroku bardzo wysokie i bardzo wąskie drzwi: kamień, który stanowił te drzwi i który przed chwilą zamykał wejście, obrócił się powoli na skutek dotknięcia palców Mabel.

— Tędy — powiedziała, wciągając z wysiłkiem powietrze i czując, jak kark jej pokrywa się gęsią skórą, a całe ciało ogarnia przejmujący chłód.

— Ty prowadź, chłopcze, i wskazuj drogę latarką — powiedział Brzydal w cyklistówce na swój miły, chociaż ostry sposób.

— Ja — odparł Gerald — muszę zostać w tyle, żeby zamknąć drzwi.

— Królowa może to zrobić. A my jej pomożemy — rzekła wylewnie panusia w kapeluszu z piórkami, a Gerald pomyślał sobie, jaka ona jest okropnie natrętna, po czym łagodnie, ale stanowczo podkreślił, że to on jest odpowiedzialny za dokładne zamknięcie drzwi.

— Na pewno nikt z państwa nie chce, abym znalazł się w tarapatkach — powiedział. A Brzydale-Strachale, wciąż jeszcze uprzejme i rozsądne, zgodziły się, że czego jak czego, ale tego właśnie najbardziej by sobie nie życzyły.

— Niech p a n to weźmie — powiedział Gerald nagłaco i wręczył latarkę najstarszemu z Brzydali. — Pan jest urodzonym dowódcą. Proszę iść prosto przed siebie. Czy są tam jakieś schody? — zwrócił się do Mabel szeptem.

— Nie — odparła również szeptem. — Nie ma. Przejście ciągnie się Bóg wie jak długo, a potem zakręca.

— Szepty — wtrącił się nagle najniższy wzrostem Brzydal — nie uchodzą w dobrym towarzystwie.

— On sam nie jest dobrym towarzystwem — szepnęła panusia z różami na kapeluszu. — Proszę nie zwracać na niego uwagi, to dorobkiewicz — dodała ściskając ramię Mabel swą zwiotczałą ręką z obrzydliwą poufałością.

Szacowny Brzydal kroczący na przedzie z latarką prowadził pochód Brzydali-Strachali, którzy stopniowo znikali w wąskim przejściu. A Gerald i Mabel stali nieruchomo przed drzwiami, bojąc się nawet odetchnąć, by oddech ich nie spłoszył idących. Wreszcie westchnęli z ulgą. Jak się okazało, przedwcześnie. Nagle bowiem w przejściu zakotłowało się, powstała jakaś szarpanina i w miarę jak tych dwoje usiłowało zamknąć drzwi, Brzydale-Strachale wściekle napierali, chcąc je otworzyć. Czy zobaczyli w ciemnym przejściu coś, co ich przerażało, czy też w ich pustych głowach powstało przeświadczenie, że taki dziwny korytarz nie może być bocznym wejściem do żadnego hotelu naprawdę wysokiej klasy, czy też wreszcie jakiś nagły odruch ostrzegł ich o planowanym oszustwie — tego Mabel i Gerald nigdy się nie dowiedzieli. Wiedzieli jednak, że Brzydale-Strachale nie są już przyjazne ani nawet zdawkowe, ale że zaszła w nich jakaś nagła zmiana. Okrzyki: — Nie, nie! Nie pójdziemy dalej! Nie, niech on prowadzi! — przerwały senną ciszę cudownej skądinąd nocy. Rozległy się wrzaski kobiece, ochryple, stanowcze okrzyki męskich Brzydali, nabrzmiące oporem, a najgorsze ze wszystkiego było wytrwałe popychanie wąskich kamiennych drzwi, które już się niemal zamknęły za posępną gromadą. Poprzez szparę w drzwiach widać ich było w świetle rowerowej

latarki, jak napierali ciemną, zwartą masą. Wypchana ręka wysuwała się spoza drzwi. Kije tworzące ramiona wyciągały się gniewnie w stronę światła, od którego te drzwi, gdyby zostały zamknięte, odcięłyby ich na zawsze. A brzmienie ich bezspółgłoskowej mowy nie było już zwyczajne i ugodowe, lecz groźne, przywodzące na myśl potworności nie do zniesienia.

Wypchana dłoń opadła na ramię Geralda i w mgnieniu oka wszystkie strachy, jakie dotychczas znał tylko z wyobraźni, stały się rzeczywistością. Uświadomił sobie jak w błysku przypomnienia, które ukazuje tonącym całe ich minione życie, czego wymagał od Mabel i na co się ona zgodziła.

— Pchaj, pchaj z całej siły! — wykrzyknął i opierając obcas o cokół Flory pchnął, ile tylko starczyło mu mocy.

— Już bardziej nie mogę, nie mogę! — pojękiwała Mabel, usiłując podobnie jak on znaleźć oparcie dla swego obcasa: miała jednak za krótkie nogi.

— Nie wolno ich w żaden sposób wypuścić! — dyszał ciężko Gerald.

— Zobaczycie, co będzie, jak się wydostaniemy! — rozległy się spoza drzwi słowa, które wściekłość i brak podniebienia uczyniłyby niezrozumiałymi dla każdego z wyjątkiem uszu wyostrzonych przez straszliwy lęk.

— Co się tam dzieje? — zawołał nagle nowy głos, głos, w którym wszystkie spółgłoski brzmiały pocieszająco wyraźnie; równocześnie nowy cień padł na marmurową posadzkę świątyni Flory.

— Na pomoc! Na pomoc! Musimy zamknąć te drzwi — głos Geralda ledwo docierał do nowo przybyłego. — Jeżeli się wydostaną, pozabijają nas wszystkich!

Silne, okryte welwetem ramię znalazło się nagle między ramionami Geralda i Mabel. Obcas silnego mężczyzny wparł się w cokół bogini, ciężkie, wysokie drzwi stopniowo zaczęły się poddawać, aż w końcu zamknęły się, brzęknęła sprężyna i wściekła, tłoczona się, groźna masa Brzydali-Strachali została zamknięta, a Gerald i Mabel — co za niebywała ulga! — nareszcie byli wolni. Mabel rzuciła się na marmurową posadzkę szlochając spazmatycznie z radości i wyczerpania.

A ja, gdybym tam była, odwróciłabym głowę, aby nie widzieć, czy Gerald nie uległ temu samemu.

Nowo przybyły — wyglądał na gajowego, jak Gerald później orzekł — spojrzął w dół... chyba na Mabel... i powiedział:

— Wstawaj i nie bądź beksą. (Mógł był powiedzieć: „Nie bądźcie parą beksów”). — Kto tam jest i o co tu chodzi?

— Nie mogę panu powiedzieć — Gerald ciężko dyszał.

— To jeszcze zobaczymy, prawda? — rzekł przyjaznym głosem nowo przybyły. — Chodźcie stąd, wyjdźmy z tych ciemności i rozważmy całą sytuację przy świetle księżyca.

Gerald, nawet mimo tego całego zamętu, zdołał pomyśleć, że gajowy, który używa takich słów, miał z całą pewnością romantyczną przeszłość. Równocześnie zaś pojął, że tego rodzaju człowieka będzie znacznie trudniej „załatwić” za pomocą nieprzekonywającej historii niż Elizę albo też Johnsona, czy nawet mademoiselle. A ściślej mówiąc, ten człowiek wydawał się zupełnie nie do załatwienia za pomocą tej jedynej historii, jaką mieli do opowiedzenia.

Gerald podniósł się — jeśli nie zrobił tego już wcześniej, a może w ogóle stał — i pociągnął za bezwładną i gorącą teraz rękę szlochającej Mabel. A w tym samym czasie pan nie-do-załatwienia ujął jego rękę i wyprowadził oboje dzieci z cienia pod kopułą Flory na jasne, białe światło księżyca, rozświetlające schody świątyni. Tu usiadł, mając dzieci po obu stronach, wciągnął rękę każdego z nich pod swe welwetowe ramiona, przycisnął je do swych welwetowych boków w przyjazny, pokrzepiający sposób i powiedział:

— A teraz, opowiadajcie!

Mabel w odpowiedzi znów zaczęła szlochać. Musimy jej to wybaczyć. Okazała tyle

odwagi, a nie wątpię, że wszystkie bohaterki, od Joanny d'Arc po córkę latarnika Grace Darling, ratującą tonących, miewały chwile, kiedy szlochały.

Gerald machnął ręką.

— To na nic. Gdybym wymyślił jakąś historię, pan przejrzałby kłamstwo.

— To jest komplement dla mej przenikliwości — odparł obcy. — A jaka jest cena prawdy?

— Gdybyśmy powiedzieli panu prawdę — wyznał Gerald — pan by nam nie uwierzył.

— Możecie spróbować — rzekł welwetowy mężczyzna. Był gładko wygolony, a jego wielkie oczy połyskiwały w świetle księżyca.

— Kiedy nie mogę — odpowiedział Gerald i było rzeczą jasną, że mówi prawdę. — Pan albo by pomyślał, że jesteśmy parą obłąkanych, i kazał nas zamknąć, albo... E, to na nic. Dziękujemy bardzo za pomoc i proszę nas puścić do domu.

— Ciekaw jestem — mruknął z namysłem obcy — czy macie wyobraźnię.

— Założywszy, żeśmy ich wymyślili... — zaczął z zapałem Gerald, lecz urwał, gdyż ogarnęła go spóźniona przezorność.

— Jeżeli mówiąc „ich” masz na myśli ludzi, których pomogłem wam uwięzić w tym grobie — rzekł obcy, puszczając rękę Mabel, by objąć ją ramieniem — to pamiętaj, że ja ich widziałem i słyszałem. I przy całym szacunku dla waszej wyobraźni wątpię, czy jakiegokolwiek twoje zmyślenie byłoby tak przekonujące.

Gerald oparł łokieć na kolanach, a brodę wsparł na dłoniach.

— Zastanów się — rzekł welwetowy mężczyzna — a kiedy będziesz się zastanawiał, pozwól sobie powiedzieć, jak to wygląda z mojego punktu widzenia. Przypuszczam, że nie zdajecie sobie sprawy z mojego stanowiska. Przyjechałem tutaj z Londynu, by zająć się dużą posiadłością.

— Myślałem, że pan jest gajowym — wtrącił Gerald.

Mabel oparła głowę na ramieniu obcego.

— Wiem, pan jest przebranym bohaterem! — zawołała.

— Nic podobnego — odparł tamten — raczej rządcą. Pierwszego wieczoru po przyjeździe wychodzę, by zaczerpnąć powietrza przy księżycu, i zbliżając się do białego budynku słyszę nagle odgłos jakby szamotania, któremu towarzyszą rozpaczliwe wołania a pomoc. Ulegając nastrojowi chwili, przychodzę z pomocą i zamykam Bóg raczy wiedzieć kogo za kamiennymi drzwiami. Czy zatem jest rzeczą nierozsądną, że pytam, kogo też zamknąłem czy raczej kogo pomogłem zamknąć i komu pomocy tej udzieliłem?

— Bardzo rozsądne pytanie — przyznał Gerald.

— A więc?... — spytał obcy.

— A więc — odparł Gerald — chodzi o to... Nie — dodał po chwili — chodzi o to, że po prostu nie mogę panu na to pytanie odpowiedzieć.

— W takim razie muszę zapytać drugą stronę — orzekł mężczyzna. — Zostańcie tutaj, a ja otworzę drzwi i sam wszystkiego się dowiem.

— Opowiedz mu — po raz pierwszy odezwała się Mabel.

— Wszystko jedno, czy ci uwierzy, czy nie. Nie możemy pozwolić, żeby ich wypuścił.

— Doskonale — powiedział Gerald — powiem mu. Ale niech pan posłucha, panie rządczo, czy da nam pan słowo honoru angielskiego dżentelmena — bo choć nie wiem, czy jest pan rządcą, ale d ż e n t e l m e n e m pan jest — czy da pan słowo, że nie powtórzy pan nikomu tego, co panu powiemy, i że nie każe nas pan zamknąć w domu wariatów, choćbyśmy panu wydali się obłąkani?

— Owszem — powiedział obcy — myślę, że to mogę wam przyrzec. Ale jeżeli mieliście z kimś bójkę czy coś podobnego i zamknęliście waszych przeciwników w tej jamie, to czy nie myślicie, że byłoby najlepiej wypuścić ich? Z pewnością muszą być strasznie przerażeni. Bo przecież są to tylko dzieci.

— Niech pan zaczeka, aż dowie się pan wszystkiego — odparł Gerald. — To nie są wcale dzieci — nic podobnego! Czy mam panu opowiedzieć tylko o nich, czy zacząć od początku?

— Od początku, rzecz jasna — odparł obcy.

Mabel uniosła głowę z welwetowego ramienia i powiedziała:

— W takim razie ja zacznę. Znalazłam pierścień i powiedziałam, że uczyni mnie niewidzialną. Powiedziałam to dla zabawy, a pierścień sprawił to naprawdę. Byłam niewidzialna przez dwadzieścia jedną godzinę. A skąd miałam pierścień, to nieważne. Teraz, Gerald, ty opowiadaj dalej.

Gerald opowiadał dalej. A opowiadał przez długi czas, gdyż opowieść była istotnie fascynująca.

— W taki sposób — zakończył — zaprowadziliśmy ich do tego ciemnego przejścia. A kiedy upłynie siedem godzin albo czternaście, czy też dwadzieścia jedna — cokolwiek pomnożonego przez siedem — będą tylko kupą starych ubrań. Ożyli o wpół do dziesiątej. Przypuszczam więc, że przestaną być żywi za siedem godzin, czyli o wpół do piątej. A czy teraz pozwoli nam pan wrócić do domu?

— Odprowadzę was do domu — odparł obcy jakimś zupełnie nowym tonem niezwyklej delikatności. — Chodźmy.

— Pan nam nie wierzy — stwierdził ze smutkiem Gerald. — Oczywiście. Nikt by nam nie uwierzył. Ale ja, gdybym chciał, mógłbym sprawić, żeby pan nam wierzył.

Wszyscy troje wstali, a obcy wpatrywał się w oczy Geralda tak długo, aż Gerald odpowiedział na jego myśl.

— Nie, nie wyglądam chyba na wariata, prawda?

— Nie, nie jesteś wariatem. Ale jesteś niezwykle wrażliwym chłopcem. Czy nie myślisz, że może cierpisz na jakąś gorączkę czy coś w tym rodzaju?

— I Kizia, i Jimmy, i mademoiselle, i człowiek, który powiedział: „O, co to? Karnawał?”, i pan — pan widział, jak się ruszają, i słyszał ich wrzaski. Czy pan cierpi na coś?

— Nie... W każdym razie na nic poza brakiem informacji. No, ale już chodźcie, odprowadzę was.

— Mabel mieszka w zamku — wyjaśnił Gerald, gdy obcy skręcił w szeroką aleję wiodącą do głównej bramy.

— Ale nie jestem żadną krewną lorda Yaldinga — pośpieszyła z wyjaśnieniem Mabel. — Jestem siostrzenicą gospodyni.

Przez całą drogę Mabel trzymała obcego za rękę. Przy wejściu dla służby nastawiła twarz do pocałunku, po czym weszła do środka.

— Biedactwo — powiedział obcy, gdy szli aleją ku bramie.

Doszedł z Geraldem aż do drzwi szkoły.

— Proszę pana — rzekł Gerald przy rozstaniu. — Wiem, co pan chce zrobić. Pan pójdzie otworzyć tamte drzwi.

— Domyślny jesteś — odparł obcy.

— Więc niech pan tego nie robi, a w każdym razie niech pan zaczeka do rana i pozwoli, żebyśmy byli przy tym. Możemy tam przyjść o dziesiątej.

— Dobrze — spotkamy się tam o dziesiątej — odparł obcy. — Jesteście najdziwniejszymi dziećmi, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Jesteśmy dziwni — przyznał Gerald. — Ale i pan byłby taki, gdyby... Dobranoc.

\*

Gdy czworo dzieci szło gładkim trawnikiem w stronę świątyni Flory, rozmawiały, tak jak przez całe rano, o przygodach wczorajszej nocy i o odwadze Mabel. Nie była to dziesiąta, ale wpół do pierwszej. Gdyż Eliza popierana przez mademoiselle nalegała na uprzątnięcie, i



to uprzątnięcie bardzo dokładne, wczorajszego bałaganu.

— Zaslugujesz na Krzyż Walecznych, kochanie — rzekła z zapalem Kizia — powinni ci wystawić pomnik.

— Ożyłby, gdybyś postawiła go tutaj — powiedział ponuro Gerald.

— A ja bym się nie bał — mruknął Jimmy.

— Przy świetle dziennym wszystko wygląda inaczej — zapewnił go Gerald.

— Spodziewam się, że on tam będzie — rzekła Mabel. — On był taki miły, idealny rządcą z duszą dżentelmena.

— Ale go tam nie ma — rzekł Jimmy. — Myślę, że się wam przyśnił, tak jak ożywione posągi.

W pełnym słońcu weszli po schodach i trudno było po prostu uwierzyć, że zeszłej nocy w tym samym miejscu, w świetle księżycy, strach położył swe zimne ręce na rękach Mabel i Geralda.

— Może otworzymy drzwi — zaproponowała Kathleen — i zaczniemy znosić ubrania do domu.

— Najpierw posłuchajmy — zaproponował Gerald — może oni nie są jeszcze tylko ubraniami.

Przytknęli uszy do zawiasów kamiennych drzwi, za którymi zeszłej nocy Brzydale-Strachale krzyczały i wygrażały. Panowała zupełna cisza, jak wszędzie w ten łagodny poranek. Dopiero gdy już zawracali, ujrzeli człowieka, na którego spotkanie przyszli. Znajdował się z drugiej strony cokołu posągu Flory. Ale nie stał. Leżał tam zupełnie spokojnie na plecach, z szeroko rozrzuconymi na obie strony ramionami.

— Patrzcie, patrzcie — zawołała Kizia i wskazała palcem. Twarz miał dziwnie zielonkawego koloru, a przez czoło biegło cięcie. Brzegi owego cięcia były sine i trochę krwi wypłynęło z rany na biel marmuru.

W tej samej chwili Mabel również wskazała palcem, ale nie krzyknęła jak Kizia. Wskazała na wielki krzew rododendronu o lśniących liściach, z którego wyjrzała spiczasta, malowana, papierowa twarz — bardzo biała i bardzo czerwona w świetle słonecznym — a kiedy dzieci wpatrzyły się w nią, cofnęła się pod zasłonę połyskujących liści.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wszystko to było aż nadto oczywiste. Nieszczęsny rządcą musiał otworzyć drzwi, zanim czar przestał działać, kiedy Brzydale-Strachale były czymś więcej niż ubraniami, kapełuszami i kijami. Rzuciły się na rządcę i dokonały swego. Leżał nieprzytomny — nie wiadomo, co było przyczyną tej strasznej rany na jego czole. Kij golfowy czy też hokejowy, zastanawiał się Gerald. Dziewczęta rzuciły się do rannego. Jego głowa spoczywała już na kolanach Mabel. Kathleen chciała położyć ją na swoich kolanach, lecz Mabel była szybsza.

Jimmy i Gerald wiedzieli dobrze, co należy zrobić dla udzielenia pierwszej pomocy, jeszcze zanim Mabel powiedziała niecierpliwie:

— Wody, wody!

— W czym? — zapytał Jimmy, patrząc z powątpiewaniem na swoje ręce, a potem na zielony stok opadający do obrzeżonej marmurem sadzawki porośniętej liliami wodnymi.

— W twojej czapce, w czymkolwiek — rzekła Mabel.

Obydwaj chłopcy pobiegli po wodę.

— A jeśli oni pójda za nami? — powiedział Jimmy.

— Kto pójdzie za nami? — spytał szorstko Gerald.

— Brzydala-Strachale — odparł szeptem Jimmy.

— A kto się boi? — dowiadywał się Gerald.

Ale rozejrzał się bacznie w prawo i w lewo i wybrał drogę z dala od krzaków. Zaczerpnął wody do swego słomkowego kapelusza i wrócił do świątyni Flory niosąc ją ostrożnie i pieczołowicie, aby się nie wylała. Kiedy zauważył, jak szybko wycieka między słomą, wyciągnął zębami rękawiczkę z kieszeni na piersi i wrzucił ją do kapelusza. Przy pomocy tej niby chustki dziewczynki wytarły krew ze skroni rządcy.

— Powinniśmy mieć sole trzeźwiące — rzekła Kathleen na wpół z płaczem. — Wiem, że powinniśmy.

— Przydałyby się — przyznała Mabel.

— Czy twoja ciocia ma jakieś takie sole?

— Tak, ale...

— Nie bądź tchórzem — rzekł Gerald — oni nie zrobią ci krzywdy. On musiał chyba ubliżyć im czy coś w tym rodzaju... Słuchaj, biegnij. Będziemy uważać, czy nikt nie biegnie za tobą.

Nie było innego wyboru, jak pozostawić głowę rannego Kathleen. Mabel zrobiła to, spjrzała badawczo na obrośnięte rododendronem wzgórze i popędziła w stronę zamku.

Pozostała trójka pochyliła się nad wciąż nieprzytomnym rządcą.

— On żyje, prawda? — spytał zatroskany Jimmy.

— Tak — zapewniła go Kathleen — jego serce bije. Mabel i ja zbadaliśmy mu puls, tak jak to robią lekarze. Jaki to szalenie przystojny człowiek!

— Tak, rzeczywiście — przyznał Gerald.

— Nigdy nie wiem, co masz na myśli, mówiąc przystojny — rzekł Jimmy.

Nagle jakiś cień padł na marmurową posadzkę w ich pobliżu i odezwał się czwarty głos... Nie, nie był to głos Mabel. Mabel, biegnąca do ciotki, choć jeszcze wciąż widoczna, była już bardzo daleko.

— Tak — mówił głos — rzeczywiście zupełnie przystojny młodzieniec.

Dzieci spojrzały w górę i wzrok ich natknął się na twarz najstarszego, budzącego szacunek Brzydala-Strachala. Jimmy i Kathleen krzyknęli. Przykro mi to powiedzieć, ale tak było.

— Cicho — rozzłościł się Gerald, który wciąż miał na palcu pierścień. — Zamknijcie się! — po czym dodał szeptem: — Ja się go zaraz pozbędę.

— Bardzo smutna historia — rzekł szanowny Brzydal-Strachal. Wymawiał on słowa z jakimś dziwnym akcentem. Zarówno „r”, „m” jak i „n” brzmiały tak, jakby mówił z wielkim wysiłkiem ktoś cierpiący na ostry katar. Ale nie były to już same straszliwe samogłoski, jak wczoraj wieczorem. Kathleen i Jimmy pochylili się nad rządcą. Nawet ta nieruchoma postać, tylko przez to, że była postacią ludzką, zdawała się jakimś rodzajem obrony. Natomiast Gerald, pewien swej nieustraszoneści, jaką pierścień zapewniał temu, kto go nosił, spojrzął prosto w twarz Brzydala-Strachala i aż poderwał się ze zdumienia. Chociaż bowiem była to ta sama twarz, którą on namalował wczoraj na arkuszu rysunkowego papieru, jednakże nie była ta sama. A to dlatego, że nie była już papierowa. Była to prawdziwa twarz, a ręce, szczupłe i przezroczyste, były prawdziwymi rękoma. A gdy Brzydal poruszył się trochę, by lepiej przyrzec się rządcy, okazało się, że miał prawdziwe nogi i ramiona — żywe nogi, żywe ramiona i prawdziwy kręgosłup. W sumie był całkiem żywy — aż za bardzo.

— Jak to się stało? — spytał Gerald z wysiłkiem, zresztą skutecznym, zachowując spokój.

— Niestychanie przykra i smutna historia — odparł Brzydal-Strachal. — Reszta musiała wczoraj po ciemku zmylić drogę w przejściu. Bo wcale nie trafili do hotelu.

— A pan t r a f i ł? — zapytał ze zdziwieniem Gerald.

— Oczywiście — rzekł Brzydal-Strachal. — Bardzo porządny hotel, właśnie tak jak nas

zapewniałeś. A później, kiedy wyszedłem z hotelu — a chciałem obejrzeć raz jeszcze przy świetle dziennym scenerię tego lasku, gdzieśmy wczoraj byli — nie wyszedłem frontowymi drzwiami, gdyż personel hotelu nie umiał mi wskazać drogi. Wyszedłem bocznym wejściem i zastałem ich wszystkich zgromadzonych przy drzwiach, zupełnie rozwścieczonych. Tkwili tam całą noc, starając się wydostać. Nagle drzwi otworzyły się — musiał je otworzyć ten młody człowiek — i zanim zdążyłem go osłonić, ten źle wychowany osobnik w cylindrze... — pamiętasz go?...

Gerald skinął głową na znak, że pamięta.

— ...uderzył go w głowę i młody człowiek upadł tu, gdzie go widzisz. Wszyscy się rozbiegli, tylko ja zostałem i miałem właśnie pójść wezwać pomocy, kiedy cię zobaczyłem.

W tym momencie okazało się nagle, że Jimmy tonie we łzach, a Kathleen jest biała jak ściana.

— Co się stało, mój mały człowieku? — spytał przyjaźnie szacowny Brzydala-Strachal. Jimmy natychmiast przeszedł od łez do wrzasku.

— Masz pierścień! — rzekł Gerald wściekłym szeptem i wcisnął pierścień na gorący, wilgotny, oporny palec brata. Jimmy w tej samej sekundzie przestał ryczeć, jego wrzask urwał się jak ucięty nożem. A Gerald w oka mgnieniu uświadomił sobie, przez co przeszła Mabel ubiegłej nocy. Jednakże teraz był jasny dzień, Gerald zaś nie był tchórzem.

— Musimy odszukać resztę — powiedział.

— Przypuszczam — wtrącił starszawy Brzydala-Strachal — że poszli się kąpać. Ich ubrania są w lasku.

Wskazał sztywnym palcem kierunek.

— Wy oboje idźcie zobaczyć — powiedział Gerald. — A ja będę dalej zwilżał głowę temu facetowi.

W lasku Jimmy, obecnie nieustraszony jak lew, odkrył cztery kupki odzienia w komplecie wraz z maskami, miotłami, kijami hokejowymi i wszystkim w ogóle, co poszło na sfabrykowanie męskich Brzydali-Strachali wczorajszego wieczoru. Na kamiennej ławce wystawionej na słońce siedziały dwie żeńskie Brzydule-Strachule i Kathleen zbliżyła się do nich z niezmierną ostrożnością. Jak wszyscy dobrze wiemy, męstwo jest łatwiejsze w blasku słońca niż w nocy. Kiedy Kathleen i Jimmy znaleźli się przy samej ławce, spostrzegli, że siedzące tam Brzydala-Strachale niczym się nie różniły od najzwyczajniejszych Brzydali-Strachali, jakie często fabrykowali. Nie było w nich śladu życia. Jimmy rozebrał je na kawałki i westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Kathleen.

— Widzisz — powiedziała — czar przestał już działać. A ten starszawy pan jest prawdziwy. Tylko przypadkowo podobny jest do Brzydali-Strachali, jakich robiliśmy.

— Ma na sobie płaszcz — odpowiedział Jimmy — który wisiał w hallu; to w każdym razie jest pewne.

— Nie, to tylko podobny płaszcz. Wracajmy teraz do nieprzytomnego rządcy.

Uczynili tak i Gerald skłonił starszawego Brzydala-Strachala, by razem z Jimmym wycofał się w krzaki.

— Boję się — tłumaczył — że jak biedny rządcą przyjdzie do siebie i zobaczy obcych, może go to wyprowadzić z równowagi. A Jimmy dotrzyma panu towarzystwa. Z nas wszystkich on się najbardziej do tego nadaje — dodał pośpiesznie.

I była to niewątpliwie prawda, ponieważ Jimmy miał pierścień.

Tak więc ci dwaj znikli za krzakami rododendronów. Mabel zaś nadeszła z solami trzeźwiącymi w tej samej chwili, gdy rządcą otworzył oczy.

— Zupełnie jak w życiu — zauważyła. — Mogłam równie dobrze nigdzie nie chodzić. Ale wobec tego... — mówiąc to, przykłękała i natychmiast podetkała butelkę soli trzeźwiących pod nos nieszczęśnika, aż ten kichnął i delikatnie odsunął dłoń Mabel z nieśmiałym zapytaniem:

— Co się stało?

— Uderzył się pan w głowę — wyjaśnił Gerald. — Proszę leżeć spokojnie.

— Nie chcę już... tego flakonu z solami — wymówił słabym głosem rządcą i znieruchomiał.

Wkrótce jednak usiadł i rozejrzał się wkoło siebie. Zapanowała kłopotliwa cisza. Oto był tu człowiek dorosły, który poznał tajemnicę ubiegłej nocy, i żadne z dzieci nie miało pewności co do obowiązujących przepisów prawa w wypadku, kiedy ktoś, choćby bardzo młody, fabrykuje Brzydali-Strachali i przywołuje ich do życia, życia niebezpiecznego, pełnego złości i gotowości do walki. Co też teraz on powie, co zrobi? Po długiej chwili milczenia rządcą powiedział:

— Co za dziwne uczucie! Czy długo byłem nieprzytomny?

— Od wielu godzin — rzekła z powagą Mabel.

— Niedługo — rzekła Kathleen.

— Nie wiemy. Znaleźliśmy pana w tym stanie — powiedział Gerald.

— Teraz już czuję się dobrze — oświadczył rządcą, a jego wzrok padł na zakrwawioną chusteczkę. — Musiałem porządnie wyrznąć się w głowę. A wy udzieliliście mi pierwszej pomocy. Dziękuję wam serdecznie. A swoją drogą to dziwne.

— Co jest dziwne? — zapytał Gerald już przez samą grzeczność.

— No, w gruncie rzeczy może nie ma w tym nic dziwnego... Chyba musiałem was widzieć tuż przedtem, zanim zemdlałem, czy jeszcze wcześniej... Ale kiedy byłem nieprzytomny, miałem zupełnie niezwykły sen... I wy w nim też byliście.

— Czy tylko my? — spytała Mabel z zapartym tchem.

— O, mnóstwo rzeczy... zupełnie niemożliwych... ale w y byliście całkiem prawdziwi. Trójka dzieci odetchnęła z ulgą. Było to, jak przyznali później, szczęśliwe rozwiązanie.

— Czy pan n a p e w n o czuje się zupełnie dobrze? — spytali wszyscy troje, gdy stanął na nogach.

— Najzupełniej, dziękuję. — To mówiąc, rzucił okiem poza posąg Flory. — Wiecie, co mi się śniło? Że tam były drzwi. Ale, oczywiście, żadnych drzwi nie ma. Sam nie wiem, jak wam dziękować — dodał, spoglądając na nich swymi przepięknymi — jak mówiły dziewczynki — miłymi oczyma. — Miałem szczęście, żeście nadeszli. Możecie tu przychodzić, kiedykolwiek zechcecie — dodał. — Daję wam na to stałe pozwolenie.

— Pan jest nowym rządcą, prawda? — zagadnęła Mabel.

— Tak — odparł. — A skąd wiecie? — spytał natychmiast, lecz dzieci nic mu na to nie odpowiedziały. Zamiast tego zapytały, w którą stronę idzie, i poszły w przeciwną stronę po gorących uściskach dłoni i wyrażeniu nadziei z obu stron, że się niedługo zobaczą.

— Coś wam powiem — odezwał się Gerald, gdy przyglądali się, jak wysoka, rosła postać rządcy oddala się coraz bardziej po zboczach porośniętym zieloną, rozgrzaną od słońca trawą. — Czy macie jakiś plan, jak spędzimy dzisiejszy dzień? Bo ja mam.

Pozostali nie mieli żadnego planu.

— Pozbędziemy się tego Brzydala-Strachala... Och, znajdziemy już jakiś sposób... i zaraz potem pójdziemy prosto do domu i schowamy pierścień w zalakowanej kopercie, tak żeby pozbył się swoich zębów i nie mógł już nam płać nieprzewidzianych psot. A potem wyjdziemy na dach i urządzimy sobie spokojne popołudnie — nic, tylko książki i jabłka. Bo przyznam się wam, że przygód mam już powyżej uszu.

Dziewczynki zgodziły się z nim całkowicie.

— A teraz m y ś l c i e — rzekł Gerald — myślcie, ile tylko możecie, jak pozbyć się tego Brzydala-Strachala.

Wszyscy zaczęli myśleć, ale ich mózgi były zmęczone strachem i zmartwieniami, toteż myśli, jakie im przychodziły do głowy, nie były, jak powiedziała Mabel, warte myślenia, a cóż dopiero wypowiedzania.

— Mam nadzieję, że z Jimmym wszystko jest w porządku — powiedziała z niepokojem Kathleen.

— O, tak, z pewnością — odparł Gerald — on ma przecież pierścień.

— Spodziewam się, że nie wypowie jakiegoś głupiego życzenia — rzekła Mabel, ale Gerald kazał jej być cicho i pozwolić mu myśleć.

— Myślę, że najlepiej myślę na siedząco — powiedział i usiadł. — A czasem najlepiej się myśli na głos. Brzydal-Strachal jest całkiem p r a w d z i w y — co do tego nie można mieć wątpliwości. A zrobił się prawdziwy, kiedy był w korytarzu. Gdybyśmy go mogli tam znowu zaprowadzić, mógłby się jeszcze raz zmienić, a wtedy zabralibyśmy ubranie i wszystkie rzeczy do domu.

— Czy nie ma jakiegoś innego sposobu? — spytała Kathleen. A Mabel, bardziej szczerą, dodała otwarcie:

— Nie pójdą już więcej do tamtego korytarza, żeby nie wiem co!

— Boisz się? W jasny dzień? — szydził Gerald.

— Tam, w korytarzu nie byłoby jasnego dnia — odrzekła Mabel, a Kathleen cała zadrżała.

— Gdybyśmy podeszli do niego — zaproponowała — i nagle zdarli z niego płaszcz... on przecież j e s t tylko płaszczem i ubranie... już nie mógłby być prawdziwy.

— Nie mógłby! — roześmiał się Gerald. — Przecież ty nie masz pojęcia, jaki on jest pod płaszczem.

Kathleen znowu zadrżała. A przez cały ten czas słońce świeciło wesoło, a białe posągi i zielone drzewa, fontanny i tarasy wyglądały tak romantycznie i zachęcająco, jak dekoracje teatralne.

— Tak czy owak — odezwał się Gerald — spróbujmy zwabić go z powrotem do korytarza i zamknąć drzwi. To wszystko, na co możemy liczyć. A potem będzie czas na jabłka i „Robinsona Kruzoa“ czy „Robinsona Szwajcarskiego“, czy jakąś inną książkę, byle bez czarów. Więc najpierw musimy uporać się z Brzydalem. I pamiętajcie, że on teraz wcale nie jest straszny, n a p r a w d ę nie jest. Jest po prostu rzeczywiście.

— Na tym pewnie polega cała różnica — wtrąciła Mabel i usiłowała wyczuć tę różnicę.

— A poza tym jest jasny dzień, spójrzcie tylko na słońce — nalegał Gerald. — No, idziemy!

Ujął każdą z dziewczynek za rękę i podeszli zdecydowanym krokiem do klombu rododendronów, poza którymi Jimmy i Brzydal-Strachal mieli na nich czekać. Po drodze Gerald wciąż powtarzał: „On jest prawdziwy“, „Patrzcie, jak słońce świeci“, „Za minutę będzie po wszystkim“. I zdania te powtarzał w kółko tak długo, by nie mogło być co do ich sensu żadnej wątpliwości.

Gdy już byli niedaleko krzaków, błyszczące ich liście zaszeleściły, poruszyły się i rozsunęły i zanim dziewczynki zdążyły cofnąć się choćby o krok, Jimmy wyszedł na słońce, mrugając osłepionymi oczyma. Gałęzie rododendronów zamknęły się za nim i już nie szeleściły ani nawet nie drgnęły, co nie zapowiadało ukazania się jeszcze jednej osoby. Jimmy był sam.

— Gdzie on jest? — jednym tchem zapytały dziewczynki.

— Spaceruje po alejce świerkowej — odparł Jimmy — i robi jakieś rachunki w książce. Powiada, że jest strasznie bogaty i musi jechać do miasta na giełdę czy też do kantoru wymiany, czy jak to się nazywa... gdzie zmieniają papiery na złoto, jeśli ma się dość sprytu. Tak on przynajmniej powiada. Ja też chciałbym pojechać do kantoru zmiany, a wy nie?

— Nie myślę, żebym miał ochotę na jeszcze jakieś zmiany — odparł Gerald. — Było już ich dość. Pokaż nam, gdzie on jest, musimy się go pozbyć.

— On ma samochód — ciągnął Jimmy, rozsuwając nagrzone i jakby powleczone lakierem liście rododendronu — ma także ogród z kortem tenisowym, staw, parę koni i powóz, a

na wakacje wyjeżdża do Aten, tak jak inni ludzie jadą po prostu na wieś.

— Najlepiej byłoby — rzekł Gerald, zanurzając się za bratem w krzaki — najlepiej byłoby powiedzieć mu, że najłatwiej stąd wyjść przez hotel, który, jak sądzi, znalazł wczoraj wieczorem. A wtedy zaprowadzimy go do korytarza, popchniemy go, odskoczymy i zatrzaśniemy drzwi.

— Może tam umrzeć z głodu — zauważyła Kathleen — jeżeli jest naprawdę prawdziwy.

— Spodziewam się, że to nie potrwa długo, wszystkie czary pierścienia trwają krótko. W każdym razie to jedyna rzecz, która przychodzi mi na myśl.

— On jest strasznie bogaty — ciągnął niewzruszenie Jimmy, zanurzając się coraz głębiej w krzaki. — Buduje bibliotekę publiczną dla swojej dzielnicy i chce tam zawiesić swój portret. Myśli, że to się będzie podobać.

Dzieci wydobyły się spośród rododendronów i doszły do porostej trawą alejki, obrzeżonej wysokimi sosnami i świerkami najrozmaitszych odmian.

— Zaraz go zobaczycie, to już bardzo blisko — rzekł Jimmy. — On po prostu tarza się w pieniądzech. Po prostu nie wie, co z nimi robić. Zbudował sobie wodopój dla koni i specjalną studnię z wodą dla ludzi, na której jest jego popiersie. Nie rozumiem, dlaczego nie zbuduje sobie prywatnego basenu koło swojego łóżka, żeby mógł co rano skakać prosto do wody? Chciałbym być bardzo bogaty, wtedy bym mu pokazał...

— To bardzo rozsądne życzenie — odparł Gerald. — Że też nie przyszło nam dotąd na myśl. Ojejku! — zawołał i nie bez powodu. Bo oto w zielonym cieniu świerkowej alei, w ciszy leśnej, przerywanej tylko szelestem liści i głośnym oddechem pozostałej trójki nieszczęśników, spełniło się życzenie Jimmy'ego. Stopniowo, tak że było to widać, ale bardzo szybko Jimmy stał się bogaczem. Najokropniejsze zaś ze wszystkiego było to, że choć widzieli, co się z nim dzieje, nie bardzo to rozumieli, a zresztą nawet gdyby rozumieli, nie mogliby temu zapobiec. Jimmy, ich Jimmy, z którym, odkąd tylko mogli pamiętać, wspólnie płatali figle, z którym kłócili się i godzili na przemian, ten właśnie Jimmy stał się straszliwie stary, a wszystko to było sprawą paru sekund. Ale w ciągu tych paru sekund zobaczyli, jak z małego chłopca wyrasta młodzieniec, potem młody człowiek, a następnie mężczyzna w średnim wieku. Aż wreszcie, z dreszczem i z wstrząsającym, niewymownym przerażeniem, ujrzeli go przeobrażonego w starszego, poważnego pana, starannie, lecz mocno niemodnie ubranego, spoglądającego na nich przez okulary i dopytującego się o najbliższą drogę do stacji. Gdyby sami nie widzieli, jak odbyła się jego przemiana we wszystkich swych okropnych szczegółach, nigdy by nie odgadli, że ten tęgi, zamożny, starszy jegomość w cylindrze i surducie, z dużą czerwoną pieczęcią zwisającą na grubym łańcuchu z kieszonki wytwornej kamizelki, jest ich własnym Jimmym. Ponieważ jednak widzieli przemianę, znali okropną prawdę.

— Ach, Jimmy, n i e! — wykrzyknęła z rozpaczą Mabel.

Gerald powiedział: — To jest zupełnie straszne — a Kathleen wybuchnęła dzikim zawodzeniem.

— Nie płacz, dziewczynko! — powiedział Ten-który-kiedyś-był-Jimmym. — A ty, chłopczyku, czy nie możesz dać sensownej odpowiedzi na sensowne pytanie?

— On nas nie zna! — jęknęła Kathleen.

— Kto was nie zna? — spytał niecierpliwie Ten-który-kiedyś-był.

— T... ty... pan nas nie zna! — zaszlochała Kathleen.

— Pewnie, że nie — odparł Ten-który. — Ale to przecież nie powinno was wprawiać w taką rozpacz.

— Ach, Jimmy, Jimmy, Jimmy! — Kathleen szlochała jeszcze głośniej.

— On rzeczywiście nas n i e z n a — przyznał Gerald. — A może... Słuchaj, Jimmy, ty chyba nie udajesz, co? Bo jeżeli tak, to po prostu...

— Nazywam się pan... — powiedział Ten-który-kiedyś-był-Jimmym i podał prawidłowo-

wo ich rodzinne nazwisko. Nawiasem mówiąc, może będzie prościej i krócej nazywać tego starszego, tęgiego jegomościa, który był Jimmym bogatym i postarzałym, jakimś określeniem łatwiejszym niż te, jakich użyliśmy dotąd. Nazywajmy go zatem „Ten”, co będzie skrótem od „Ten-który-kiedyś-był-Jimmym”.

— I co my teraz zrobimy? — szepnęła przerażona Mabel, głośno zaś powiedziała: — Ach, panie James czy jak tam pan się nazywa, niech pan mi da ten pierścień.

Bowiem na palcu Tego nieszczęsny pierścień był wyraźnie widoczny.

— Nigdy w świecie — odparł stanowczo Ten. — Jesteś, zdaje się, bardzo chciwym dzieckiem.

— Ale co pan zamierza robić? — spytał Gerald głuchym tonem zupełnej beznadziejności.

— Wasze zainteresowanie bardzo mi pochlebia — odparł Ten. — A więc czy powiecie mi wreszcie, którą prowadzi droga do najbliższej stacji?

— Nie — zaprzeczył Gerald — nie powiemy.

— W takim razie — rzekł Ten nadal uprzejmie, choć z bardzo wyraźną wściekłością — może wskażecie mi drogę do najbliższego zakładu dla obłąkanych?

— Och, nie, nie, nie! — zawołała Kathleen. — Nie jesteś przecież aż tak zły!

— Może i nie — odparł Ten. — Ale wy jesteście. Jeżeli nie jesteście szaleńcami, jesteście idiotami. No, ale dość już! Widzę przed sobą jegomościa, który jest chyba przytomny. Zdaje się nawet, że go poznaje.

Istotnie, zbliżał się do nich teraz jakiś pan. Był to starszawy Brzydala-Strachal.

— Ach, Jimmy, czy nie pamiętasz Jerry'ego — wołała z rozpaczą Kathleen. — I Kizi, twojej ukochanej Kizi, Kiziuli? Jimmy, kochany Jimmy, nie bądźże głupi!

— Dziewczynko — rzekł Ten, patrząc na nią gniewnie przez okulary. — Bardzo żałuję, że nie jesteś lepiej wychowana.

Po czym sztywnym krokiem podszedł do Brzydala-Strachala.

Dwa kapelusze uniosły się w górę, zamieniono parę słów, a następnie dwie postaci starszych panów, idąc równym krokiem obok siebie, zaczęły oddalać się zieloną alejką świerkową. Za nimi szło troje zrozpaczonych dzieci, przerażonych, oszołomionych, półprzytomnych i — co jest chyba najgorsze ze wszystkiego — zupełnie nie wiedzących, co dalej robić.

— Wypowiedział życzenie, że chce być bogatym — wyjaśnił Gerald — więc oczywiście jest nim. I będzie miał pieniądze na bilety i w ogóle na wszystko.

— A kiedy wreszcie czar przestanie działać — bo w końcu musi przestać działać, prawda? — Jimmy znajdzie się w zupełnie strasznym położeniu. Może ocknie się nagle w jakimś naprawdę dobrym hotelu i nie będzie miał pojęcia, skąd się tam wziął.

— Zastanawiam się — wtrąciła Mabel — jak długo już działają czary z Brzydalami-Strachalami.

— A, tak — odparł Gerald — coś mi się przypomniało. Wy dwie musicie zebrać płaszcze, ubrania i inne rzeczy. Schowacie je, wszystko jedno gdzie, a jutro odniesiemy je do domu... Jeżeli w ogóle będzie jakieś jutro — dodał posępnie.

— Przestań! — zawołała Kathleen, znów ciężko dysząc, gotowa do płaczu. — Czy można wyobrazić sobie, że wszystko jest takie straszne, kiedy słońce tak świeci?

— Słuchajcie — ciągnął Gerald — ja, oczywiście, muszę zostać z Jimmym. A wy pójdziecie do domu do mademoiselle i powiecie jej, że Jimmy i ja pojechaliliśmy pociągiem z jakimś panem. Powiedźcie, że wyglądał na wujka. On zresztą tak rzeczywiście wygląda, na jakiegoś wujaszka. Później naturalnie będzie dzika awantura, ale trzeba to zrobić.

— Wszystko to razem pełne jest kłamstw — rzekła Kathleen. — Wygląda na to, że w żaden sposób nie można powiedzieć nawet słówka prawdy.

— Nie martw się o to — odparł jej brat. — To nie są kłamstwa, to jest prawda, jak wszystko inne w tej paskudnej historii z czarami, w którą wpakowaliśmy się. Tak jak mówie-

nie kłamstw we śnie: nie można nic na to poradzić.

— Może! Jedno, co wiem, to to, że chciałabym, żeby się to wszystko raz skończyło.

— Dużo nam przyjdzie z twojego życzenia — odparł z rozpaczą Gerald. — No, do widzenia. Ja m u s z ę już iść, a wy m u s i c i e zostać. Jeżeli to może być dla was jakąś pociechą, to powiem wam, że nie wierzę, żeby cokolwiek z tego było prawdziwe. To niepodobieństwo. To zanadto dzika historia. Powiedzcie mademoiselle, że Jimmy i ja wrócimy na podwieczorek. A jeśli nie wrócimy, to nic na to nie poradzę. W ogóle n i c nie poradzę, chyba że może z Jimmym... — Puścił się pędem, bo dziewczynki jakoś zwlekały, a Brzydal-Strachal i Ten (były Jimmy) przyspieszyli kroku.

Dziewczęta były pozostawione samym sobie.

— Musimy teraz znaleźć te ubrania — rzekła Mabel. — Koniecznie. Kiedyś bardzo chciałam być bohaterką. Ale to wygląda zupełnie inaczej w rzeczywistości, prawda?

— Tak, prawda — odpowiedziała Kathleen. — A gdzie schowamy te ubrania, kiedy je znajdziemy? Chyba nie w tamtym korytarzu?

— Za nic w świecie! — wykrzyknęła stanowczo Mabel. — Schowamy je wewnątrz tego wielkiego kamiennego dinozaura. Jest wydrażony.

— A czy wiesz, że on ożywa? — zauważyła Kathleen.

— Ale nie wtedy, gdy świeci słońce — odparła z pewnością siebie Mabel — i gdy nie ma pierścienia.

— Dziś już nie będzie żadnych jabłek i książek — powiedziała Kathleen.

— Nie, ale jak tylko wrócimy do domu, urządzimy najbardziej dziecinną rzecz, jaką potrafimy. Urządzimy podwieczorek dla lalek. Będziemy się wtedy czuły, jakby nie było na świecie żadnych czarów.

— W takim razie do podwieczorku musimy mieć bardzo mocną herbatę — rzekła z namysłem Kathleen.

\*

I oto widzimy Geralda — niewielką, ale zdecydowaną na wszystko postać — wędrującego zapyłoną, białą, słoneczną drogą śladem dwóch starszych panów. Rękę zanurzył w kieszeni spodni, potrząsając z zadowoloną miną sporą garścią drobniaków, które przypadły mu w udziale za robienie czarów na jarmarku. Cicho stąpając w miękkich tenisówkach podąża ku stacji, gdzie niepostrzeżony przez nikogo słucha przy okienku kasy głosu Tego-który-kiedyś-był-Jimmym. „Jeden pierwszą do Londynu” — powiada głos. A Gerald czeka, aż Ten i Brzydal-Strachal wyjdą na peron, rozprawiając o polityce i handlu z Afryką, i kupuje powrotny bilet trzeciej klasy do Londynu. Z hałasem i w kłębach dymu nadjeżdża pociąg. Obserwowani zajmują miejsca w przedziale wybitym niebieskim aksamitem. Obserwujący wskazuje do przedziału z żółtymi drewnianymi ławkami. Słychać gwizd lokomotywy, unosi się w górę chorągiewka. Pociąg jakby skupia się w sobie i powoli rusza.

„Nie rozumiem — rozmyśla Gerald, samotny w swym przedziale trzeciej klasy — jak mogą pociągi i czary istnieć w tym samym czasie”.

A jednak mogą.

\*

Mabel i Kathleen, rozglądając się nerwowo wśród krzewów rododendronu, paproci i dziwacznych świerków, znajdują sześć oddzielonych kupek płaszczy, kapeluszy, spódnic, rękawiczek, kijów golfowych i hokejowych i kijów od mioteł. Ciężko dysząc, wilgotne od potu, gdyż słońce w południe jest bezlitosne, zanoszą to wszystko na pagórek, gdzie pośród modrzewi widnieje ogromny kamienny dinozaur. Dinozaur ma w brzuchu otwór, Kathleen pokazuje Mabel, jak robi się „mostek”, i wspina się do zimnego kamiennego wnętrza potwora. Mabel podaje jej odzież i kije.



— Pełno tu miejsca — mówi Kathleen — jego ogon sięga głęboko w ziemię. Wygląda zupełnie jak tajne przejście.

— A jeżeli coś nagle wyskoczy i rzuci się na ciebie? — mówi Mabel i Kathleen pośpiesznie schodzi na ziemię.

Wyjaśnianie czegokolwiek mademoiselle wydaje się trudne, ale, jak Kathleen powiedziała później, najmniejsza rzecz wystarczy, aby odwrócić uwagę dorosłych. Jakaś postać mija okno właśnie w chwili, gdy dziewczynki tłumaczą, że ten pan, z którym chłopcy pojechali do Londynu, wyglądał zupełnie jak wujaszek.

— Kto to taki? — zapytuje nagle mademoiselle, wskazując przy tym palcem, co, jak każdy wie, nie jest dowodem dobrego wychowania.

Przechodniem jest rządcą wracający od doktora z antyseptycznym plastrem na tej paskudnej ranie, której mycie zajęło dziś rano tak dużo czasu. Dziewczynki mówią, że to jest nowy rządcą zamku, a mademoiselle powiada: — O, nieba! (Ciel! \*) — i nie zadaje już kłopotliwych pytań co do chłopców. Obiad — bardzo spóźniony — odbywa się w milczeniu. Po obiedzie mademoiselle wychodzi w kapeluszu z różowymi różami i z różową parasolką w ręku. Dziewczynki w głuchoj ciszy urządzą podwieczorek dla lalek z prawdziwą herbatą. Przy drugiej filiżance Kathleen wybucha płaczem. Mabel, również płacząc, obejmuje ją.

— Chciałabym — szlocha Kathleen — ach, tak bym chciała wiedzieć, gdzie są teraz chłopcy! To byłaby taka pociecha.

\*

Gerald wiedział, gdzie byli chłopcy, ale dla niego nie było to żadną pociechą. Jeżeli się nad tym dobrze zastanowić, był on jedyną osobą, która mogła wiedzieć, gdzie są chłopcy, ponieważ Jimmy nie wiedział, że jest chłopcem — i w istocie właściwie nim nie był — a po Brzydalu-Strachalu nie można było spodziewać się, aby wiedział o czymkolwiek rzeczywistym, jak na przykład o tym, gdzie są chłopcy. W chwili gdy drżąca dłoń Kathleen nalewała drugą filiżankę herbaty na podwieczorku dla lalek — herbaty bardzo mocnej, ale nie dość mocnej, by zagłuszyć niepokój, Gerald stał na czatach — doprawdy nie ma na to innego słowa — na klatce schodowej dużego gmachu przy ulicy Szerokiej. O piętro niżej znajdowały się drzwi z tabliczką „B. S. Strachal, Pośrednictwo Giełdowe”, a o piętro wyżej znajdowały się inne drzwi z tabliczką, na której wyryte było imię i nazwisko małego braciszka Geralda, wzbogaconego nagle w tak czarodziejski i żałosny sposób. Przy nazwisku Jimmy'ego nie był wymieniony jego zawód. Gerald zatem nie mógł odgadnąć, czemu Ten (który-kiedyś-był-Jimmym) zawdzięczał swoje bogactwo. Zauważył, kiedy drzwi się otwały, żeby wpuścić jego brata, mnóstwo urzędników i mahoniowych biurek. Najwidoczniej Ten miał jakieś wielkie przedsiębiorstwo.

Co Gerald miał robić? Co m ó g ł zrobić?

Jest prawie niemożliwością, by ktoś, zwłaszcza tak młody jak Gerald, wszedł do dużego biura w Londynie i zaczął tłumaczyć, że starszawy i szacowny szef tego biura nie jest tym, na kogo wygląda, ale jest w gruncie rzeczy jego małym braciszkiem, który nagle postarzał się i wzbogacił dzięki złośliwemu pierścieniowi spełniającemu życzenia. A jeśli komuś z was wydaje się to rzeczą możliwą, niech sam spróbuje, a zobaczymy, jaki będzie skutek. Nie mógł też zapukać do drzwi pana B. S. Strachala, Pośrednika Giełdowego (ani do kantoru wymiany), i powiadomić j e g o urzędników, że ich szef to jedynie trochę starych ubrań, które tylko przypadkiem ożyły i w jakiś czarodziejski sposób, którego nawet nie umiał wytłumaczyć, stały się kimś prawdziwym w ciągu nocy spędzonej w rzeczywiście dobrym hotelu, i że ów hotel wcale nie istniał.

Położenie, jak widzicie, najeżone było trudnościami. A pora była tak późna, tak dawno

\* Ciel (franc.) — niebo.

minął czas obiadu Geralda, że jego wzmagający się głód szybko urastał do rzędu największej trudności ze wszystkich. Jest rzeczą zupełnie możliwą umrzeć z głodu na klatce schodowej londyńskiej kamienicy, jeżeli osobnicy, których się obserwuje, pozostają dość długo w swoich biurach. Prawdziwość tego uświadamiał sobie Gerald coraz bardziej boleśnie.

Chłopak z fryzurą podobną do nowej wycieraczki przed frontowymi drzwiami wbiegł, gwiżdżąc, po schodach. W ręku miał granatową torbę.

— Dam ci szóstaka, jeżeli przyniesiesz mi za szóstaka maślanych bułeczek — rzekł Gerald z tą szybkością decyzji, jaka cechuje wszystkich wielkich przywódców.

— Pokaż te twoje szóstaki — odrzucił chłopak z jeszcze większą szybkością.

Gerald pokazał monety.

— Dobra, dawaj.

— Opłata przy dostawie — powiedział Gerald, używając nagle terminów handlowych, które mu nigdy nie przychodziły na myśl.

Chłopak wyszczerzył zęby z podziwu.

— Masz głowę na karku — zawołał. — Ciebie nie nabierze!

— Nie tak łatwo — przyznał Gerald ze skromną dumą.

— No to już, zjeżdżaj! Ja m u s z ę tu czekać. Przypilnuję twojej torby, jeśli chcesz.

— Wolnego — odparł chłopak biorąc torbę pod pachę. — Znam się na tym! Tę sztukę z zaufaniem znam nie od dziś. Nauczyłem się jej, kiedy miałem cztery lata.

Wystrzelwszy ten pożegnalny strzał wybiegł i w odpowiednim czasie wrócił obładowany bułeczkami. Gerald dał mu sześć pensów i zabrał bułeczki. Kiedy w chwilę później chłopak wyłonił się z drzwi biura B. S. Strachala — Pośrednika Giełdowego, Gerald zatrzymał go.

— Co to za jeden ten facet? — zapytał uwypuklając pytanie ruchem wielkiego palca.

— Strasznie wielka szyszka — odpowiedział chłopak. — Forsy ma jak lodu. Samochód i tak dalej.

— A wiesz coś o tym o piętro wyżej?

— Jeszcze większa szyszka. Stara firma! Ma własną piwnicę w Banku Angielskim, gdzie trzyma swoje skarby. Wszystko w okutych skrzyniach. Ojej, chciałbym tam zostać sam choćby na pół godziny, tylko żeby drzwi były otwarte, a policjant poszedł sobie na partyjkę szachów. Nic więcej! Słuchaj no, pęknieś, jak zjesz te wszystkie bułeczki.

— Chcesz? — odparł Gerald, wyciągając doń otwartą torebkę.

— W naszym biurze mówią — odezwał się chłopiec wywdzięczając się za bułeczkę nadprogramowymi wiadomościami — że ci dwaj chętnie poderznąliby sobie gardła i że próbują tego już od lat... Oczywiście tylko w interesach.

Gerald zamyślił się, zdumiony, za sprawą jakich czarów ci dwaj, których jeszcze nie było wczoraj — bogaty Jimmy i Brzydal-Strachal — doszli do tego, że mają za sobą lata historii. Gdyby tak można ich stąd zabrać, czy wszelka pamięć o nich by znikła? Na przykład w umyśle tego chłopca czy w umysłach tych wszystkich ludzi, którzy prowadzili z nimi interesy? A czy biuro pełne mahoni i urzędników też by znikło? Czy urzędnicy byli prawdziwi? A mahonie? Czy on sam był prawdziwy? I chłopak?

— Czy potrafisz dochować tajemnicy? — spytał chłopca. — I czy miałbyś ochotę spletać komuś figla?

— Właściwie powinienem wracać do mego biura — odparł chłopak.

— No to idź! — zirytował się Gerald.

— Nie bądź taki ważny! — powiedział chłopak. — Miałem właśnie powiedzieć, że to mi nie przeszkadza. Wiem, jak rozkwasić sobie nos, jeżeli się trochę spóźnię.

Gerald powińszował mu tej umiejętności, tak wdzięcznej zarazem i tak pożytecznej, po czym odezwał się:

— Posłuchaj. Dam ci pięć szylingów — uczciwie.

— Za co? — pytanie chłopaka było zupełnie zrozumiałe.  
— Jeżeli mi pomożesz.  
— No to wał, ale już!  
— Prowadzę prywatne dochodzenie — wyjaśnił Gerald.  
— Glina? Nie wyglądasz na to.  
— Po co być gliną, jeżeli się na niego wygląda? — spytał niecierpliwie Gerald sięgając po nową bułeczkę. — Ten stary facet o piętro wyżej jest p o s z u k i w a n y.  
— Policja? — spytał chłopak ze wspaniale robioną obojętnością.  
— Nie, stroskana rodzina.  
— „Wracaj — powiedział chłopak — wszystko zostało przebaczone i zapomniane”.  
Rozumiem.

— A ja muszę go im jakoś dostarczyć. Więc gdybyś mógł pójść do niego i zawiadomić, że ktoś chce się z nim spotkać w interesach...

— Czekaj! — przerwał mu chłopak. — Znam sztuczkę dwa razy lepszą. Wejdz tylko tutaj i pogadaj ze starym Strachalem. Dałby sobie uszy obciąć, żeby starego mieć z drogi na dzień czy dwa. Tak mówili u nas w biurze nie dalej jak dzisiaj rano.

— Pozwól mi pomyśleć — rzekł Gerald, kładąc ostatnią bułeczkę na kolanach, aby móc wygodnie ująć głowę rękoma.

— Nie zapomnij pomyśleć o moim piątku — powiedział chłopak.

Na schodach zapadła cisza, przerywana tylko kaszlem jakiegoś urzędnika z biura Tego i stukotem maszyny do pisania w biurze B. S. Strachala.

Wreszcie Gerald wstał i skończył jeść bułeczkę.

— Racja — powiedział. — Zaryzykuję. Masz tu twego piątką.

Otrzeptał z piersi okruszyny bułeczek, odchrząknął i zapukał do drzwi B. S. Strachala. Drzwi się otworzyły i Gerald wszedł do środka.

Chłopak z czupryną jak wycieraczka pozostał na czatach, pewien, że potrafi wytłumaczyć swoją dłuższą nieobecność dzięki swemu sprytowi. Jego oczekiwanie zostało nagrodzone. Zeszedł kilka stopni w dół do zakrętu schodów i usłyszał głos pana B. S. Strachala, tak dobrze znany na tej klatce schodowej, tłumaczący coś łagodnym, spokojnym tonem:

— Wtedy poproszę go, żeby pozwolił mi obejrzeć pierścień, wezmę go do rąk i upuszczę, a ty podniesiesz. Ale pamiętaj, że to jest czysty przypadek i ty wcale mnie nie znasz. Nie mogę pozwolić, żeby moje nazwisko zostało zamieszane w podobną sprawę. Ale czy jesteś p e w i e n, że on naprawdę ma kręcka?

— Najzupełniej — odparł Gerald. — Ma pełnego bzika na punkcie tego pierścienia. Pójdzie za nim wszędzie. Jestem tego całkowicie pewien. I niech pan pamięta o stroskanej rodzinie.

— Pamiętam, pamiętam — rzekł uprzejmie pan Strachal. — Tylko o tym myślę, rzecz jasna.

Po tych słowach Strachal poszedł schodami na następne piętro i Gerald usłyszał głos Tego, informujący urzędników, że idzie na obiad. Następnie okropny Strachal i Jimmy, nie mniej okropny od tamtego w oczach Geralda, zeszli schodami w dół, gdzie w półmroku dolnego podestu dwóch chłopców starało się ukryć, jak tylko mogli. Potem tamci dwaj wyszli na ulicę, rozprawiając o udziałach i akcjach, a dwaj chłopcy za nimi.

— Powiedz no — szepnął z podziwem chłopak z wycieraczkową czupryną — co ty właściwie zamyślasz?

— Zobaczysz — odpowiedział lekceważąco Gerald. — Chodźmy.

— Powiedz, bo muszę wracać.

— Dobrze, powiem ci, choć mi i tak nie uwierzysz. Ten starszy pan w rzeczywistości nie jest wcale stary. To jest mój młodszy braciszek, który nagle przemienił się w to, co widzisz. A ten drugi też nie jest prawdziwy. To tylko stare ubrania i nic w środku.

— To prawda, że on na to wygląda — przyznał chłopak. — Ale powiedz no prawdę, przecież ty bujasz?

— Powiem ci tylko tyle, że mój braciszek zmienił się tak z powodu czarodziejskiego pierścienia.

— Nie ma żadnych czarodziejskich rzeczy ani żadnych czarów — powiedział chłopiec. — Wiem, bo tak nas uczono w szkole.

— Dobrze — odparł Gerald. — Do widzenia.

— Ach, nie! — zawołał chłopak. — Mów dalej, chociaż wiem, że bujasz.

— No więc to jest czarodziejski pierścień. Gdybym go dostał do rąk, wystarczy, że powiem życzenie, żebyśmy znaleźli się w jakimś miejscu, a znajdziemy się tam. A wtedy już sobie ze wszystkim poradzę.

— Poradzisz?

— Tak, pierścień n i e c o f a żadnego wypowiedzianego życzenia. One cofają się same po pewnym czasie. Jak rozkręcająca się sprężyna. Ale zupełnie nowe życzenie pierścienia spełni. Tego jestem prawie pewien. W każdym razie zaryzykuję.

— Ale z ciebie numer! — rzekł z szacunkiem chłopak.

— Poczekaj, to zobaczysz — powtórzył Gerald.

— Słuchaj, ty chyba nie chcesz tam wejść? — spytał chłopak.

Stanęli właśnie przed drzwiami gwarnej restauracji.

— Owszem, wejść. Nie mogą nas wyrzucić, jeśli będziemy zachowywać się przyzwoicie. A ty chodź ze mną. Wystarczy mi na obiad.

Doprawdy nie wiem, dlaczego Gerald tak uczeplił się tego chłopca. Bo nie był to chłopiec zbyt sympatyczny. Pewnie dlatego, że był on jedyną osobą znaną Geraldowi w Londynie, z którą mógł rozmawiać. Z wyjątkiem, oczywiście, Tego-który-kiedyś-był-Jimmym i Brzydala-Strachala. A z żadnym z nich nie miał chęci rozmawiać.

To, co stało się zaraz potem, stało się tak szybko, że, jak się później wyraził Gerald, było „zupełnie jak czary”. Restauracja była przepełniona. Siedział tam tłum zaaferowanych i śpieszących się mężczyzn, łykających naprędce jedzenie, przynoszone im w pośpiechu przez zapracowane kelnerki.

Słychać było szcęk nakryć i talerzy, bulgotanie piwa nalewanego do szklanek, gwar wielu głosów i zapach różnych smakowitych potraw.

— Proszę o dwa sznyce — powiedział Gerald, bawiąc się pełną garścią srebrnych monet, tak by nie było żadnych wątpliwości co do jego uczciwych zamiarów. W tym samym momencie przy sąsiednim stoliku usłyszał słowa: „A, tak, ciekawy stary klejnot rodzinny”, po czym pierścień zsunął się z palca Tego, a pan B. S. Strachal, mruczając coś o niezwykłym curiosum \*, wyciągnął po niego swą nieprawdopodobną rękę. Wycieraczkogłowy chłopak obserwował to wszystko z zapartym tchem.

— Rzeczywiście, to pierścień — przyznał. W tej samej chwili pierścień wysunął się z ręki pana B. S. Strachala i potoczył się po podłodze. Gerald rzucił się nań jak chart na zającą. Wcisnął sobie niepozorne kółeczko na palec i w zatłoczonej sali wykrzyknął na głos:

— Chciałbym razem z Jimmym znaleźć się poza tamtymi drzwiami w świątyni Flory!

Było to jedyne bezpieczne miejsce, które mu przyszło na myśl.

Światła, odgłosy i zapachy restauracyjne zamarły w mgnieniu oka, jak kropla wosku znika w ogniu czy kropla deszczu w stawie. Nie mam pojęcia i Gerald też nigdy się nie dowiedział, co stało się w restauracji. Nie było o tym ani słowa w gazetach, choć Gerald szukał skwapliwie wszelkiej wzmianki o „Niezwykłym zniknięciu znanego przedsiębiorcy”. Co sobie pomyślał i zrobił wycieraczkogłowy chłopak — tego również nie wiem, podobnie jak Gerald. Tylko że Gerald chciałby o tym wiedzieć, podczas gdy ja nie dbam o to zupełnie. W

\* Curiosum (łac.) — osobliwość, rzecz niezwykła.

każdym razie świat toczył się swoją koleją bez względu na to, co chłopak myślał czy zrobił.

A więc, jak już powiedziałam, światła, odgłosy i zapachy restauracyjne zanikły w mgnieniu oka. Zamiast światła — była ciemność; zamiast odgłosów — panowała cisza; a zamiast zapachów wołowiny, wieprzowiny, baraniny, ryb, cielęciny, kapusty, cebuli, marchwi, piwa i dymu tytoniowego — był tylko stęchły, wilgotny zapach jakiegoś podziemia, które długo stało zamknięte.

Gerald poczuł mdłości i zawrót głowy, a gdzieś na dnie jego umysłu kołatała się jakaś myśl, o której wiedział, że będzie mu od niej jeszcze bardziej mdło i że jeszcze bardziej będzie mu się kręciło w głowie, jak tylko uprzytomni sobie jej sens. Na razie zaś najważniejszą rzeczą było znaleźć najwłaściwsze słowa dla ułagodzenia londyńskiego przedsiębiorcy, który kiedyś był Jimmym, i jakoś skłonić go do zachowania spokoju do chwili, gdy Czas, jak rozkręcająca się sprężyna, spowoduje odwrócenie się czarów i sprawi, że wszystko będzie tak, jak kiedyś było i jak być powinno. Na próżno jednak szukał odpowiednich słów. Nie mógł ich znaleźć. Nie były zresztą potrzebne. Albowiem z głębokich ciemności rozległ się głos i nie był to głos londyńskiego przedsiębiorcy, który kiedyś był Jimmym, lecz odezwał się właśnie Jimmy, młodszy braciszek Geralda, który tak niedawno wypowiedział to nieszczęsne życzenie, by stać się bogatym, życzenie, na które jedyną odpowiedzią mogła być przemiana wszystkiego, co było Jimmym, małym i biednym, w to wszystko, czym kiedyś mógłby się stać stary i bogaty Jimmy. Głos ten powiedział:

— Jerry, Jerry! Nie śpisz? Bo ja miałem taki dziwny sen...

A potem nastąpiła chwila, kiedy nikt nic nie mówił ani nie czynił.

W głębokiej ciemności, w głębokiej ciszy i w zagęszczonym zapachu zamkniętego podziemia Gerald wyciągnął dłoń i ujął rękę Jimmy'ego.

— Dobra jest, Jimmy, stary chłopie — powiedział — to już nie sen. To znowu ten piekielny pierścień. Musiałem wypowiedzieć życzenie znalezienia się tutaj, żeby wydobyć cię z tamtego twojego snu.

— Znalezienia się gdzie? — Jimmy trzymał się ręki Geralda w sposób, który w świetle białego dnia on pierwszy nazwałby niemowlackim.

— Jesteśmy w korytarzu za posągiem Flory — rzekł Gerald i zaraz dodał: — Wszystko jest właściwie w porządku.

— O, tak, na pewno wszystko jest w porządku — odpowiedział w ciemności Jimmy z irytacją nie dość silną, by pozwoliła mu rozluźnić ucisk braterskiej dłoni. — A l e j a k m y s i ę s t ą d w y d o s t a n i e m y ?

W tej samej chwili Gerald uświadomił sobie, co czało się na dnie jego umysłu, aby przyprawić go o jeszcze większy zawrót głowy niż błyskawiczna podróż z centrum Londynu na zamek Yalding. Lecz odpowiedział spokojnie:

— Wypowiem życzenie i oczywiście wydostaniemy się stąd. — A przecież od początku wiedział, że pierścień nie odrabia raz spełnionych życzeń.

Tym razem też tak było.

Gerald wypowiedział życzenie. Potem wręczył ostrożnie, w głębokiej ciemności, pierścień Jimmy'emu. Z kolei Jimmy wypowiedział życzenie.

Mimo to nadal tam tkwili, w czarnym przejściu za Florą, które raz przynajmniej — w wypadku jednego z Brzydali-Strachali — doprowadziło do „dobrego hotelu”. Kamienne drzwi były nadal zamknięte. A chłopcy nie wiedzieli nawet, w której stronie szukać tych drzwi.

— Gdybym choć miał zapałki! — westchnął Gerald.

— Dlaczego nie zostawiłeś mnie w tamtym śnie? — Jimmy był bliski łez. — Było tam jasno i mieli mi właśnie podać łososia z ogórkiem.

— A ja — odparł posępnie Gerald — miałem właśnie zjeść sznycel po wiedeńsku ze smażonymi kartoflami.

Zamiast tego wszystkiego mieli teraz tylko ciszę, mrok i zapach pleśni.

— Zawsze byłem ciekawy — zaczął Jimmy głuchym, bezbarwnym głosem — jakie się ma uczucie, kiedy się jest żywcem pogrzebanym. A teraz już wiem! Ach! — głos jego nagle wzniósł się do krzyku. — To nieprawda, nieprawda! To tylko sen!

Tu nastąpiła przerwa, w czasie której można było policzyć do dziesięciu. Po czym...

— Tak — rzekł mężnie Gerald w ciemności, ciszy i zapachu pleśni — to tylko sen, Jimmy, stary chłopie. Musimy tylko poczekać i po prostu tak dla zabawy od czasu do czasu wołać. Chociaż w rzeczywistości to jest tylko sen, oczywiście.

— Oczywiście — zgodził się Jimmy wśród ciszy, mroku i zapachu zgnilizny.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Istnieje zasłona, cienka jak pajęczyna, przejrzysta jak szkło, a mocna jak żelazo, która oddziela na zawsze świat czarów od świata, który wydaje się nam rzeczywisty. Ale kiedy ktoś czasem trafi na jakieś słabe miejsce w tej zasłonie, ujawnione przez czarodziejskie pierścienie, amulety i tym podobne przedmioty — wszystko niemal może się zdarzyć. Tak więc nie ma w tym nic dziwnego, że Mabel i Kathleen, zajęte jednym z najnudniejszych podwieczorków dla lalek, w jakim kiedykolwiek brały udział, nagle poczuły, i to obydwie naraz, dziwne, niezrozumiałe, ale zupełnie nieodparte pragnienie, by natychmiast wrócić do świątyni Flory — choćby nawet miały pozostawić serwis dla lalek nie umyty i w dodatku nie zjedzoną połowę rodzyneków. Wyruszyły więc — jak musiałyby pójść każdy, kto znalazłby się w mocy czarów — i to wbrew rozsądkowi, i nieomal wbrew własnej woli.

A im bardziej zbliżały się, w złotym blasku popołudnia, do świątyni Flory, tym większej nabierały pewności, że nie mogły postąpić inaczej.

To właśnie dokładnie wyjaśnia, jak to się stało, że gdy Gerald i Jimmy, trzymając się za ręce w ciemności przejścia, wydali swój pierwszy jednogłosny okrzyk „po prostu tak, dla zabawy” — okrzyk ten spotkał się z natychmiastową odpowiedzią z zewnątrz.

Przebłysk światła ukazał się w tej części przejścia, gdzie chłopcy najmniej spodziewali się drzwi. Przebłysk zamienił się w szparę, kamienne drzwi otworzyły się powoli i obaj chłopcy znaleźli się w świątyni Flory, mrugając oczami w jasnym blasku dnia, i zaraz potem padli ofiarą niezliczonych uścisków Kathleen oraz pytań Mabel.

— I zostawiliście tego Brzydala-Strachala na swobodzie w Londynie — wytknęła im Mabel. — Mogliście przecież wypowiedzieć życzenie, żeby zabrał się tu razem z wami.

— Dobrze jest, jak jest — odparł Gerald. — Nie ma co się o niego kłopotać. Nie mogłem przecież myśleć o wszystkim. A poza tym... nie, dziękuję za Strachala! A teraz pójdziemy do domu i włożymy pierścień do zalakowanej koperty.

— Kiedy ja jeszcze nie miałam pierścienia — wtrąciła Kathleen.

— Nie sądziłem, że miałabyś jeszcze na niego ochotę, widząc, co wyprawia z ludźmi — usiłował przemówić do niej Gerald.

— Nie robiłby takich rzeczy, gdybym ja wypowiadała życzenia — upierała się Kathleen.

— Słuchaj — rzekła Mabel — najlepiej będzie, jak go położymy z powrotem do skarbca i skończymy z nim raz na zawsze. Nie powinnam była wcale go ruszać, doprawdy. To był właściwie rodzaj kradzieży. To jest tak samo nie w porządku, jak kiedy pożyczyła go sobie Eliza, żeby pochwalić się przed swoim znajomym.

— Nie mam nic przeciw temu — zgodził się Gerald — żeby pierścień odnieść do

skarbcza. Tylko jedno: gdyby komuś z nas przyszło do głowy jakieś sensowne życzenie, to wydobędziesz go z powrotem, prawda?

— Ależ tak, oczywiście — zgodziła się Mabel.

Wobec tego powędrowali do zamku. Mabel raz jeszcze nacisnęła sprężynę, uruchamiającą boazerię z ukrytymi za nią klejnotami, i pierścień umieszczono z powrotem pośród nieciekawych ozdób, o których Mabel kiedyś powiedziała, że służą do robienia czarów.

— Jak niewinnie wygląda — rzekł Gerald patrząc na pierścień. — Nikt by nie pomyślał, że jest w nim coś czarnoksięskiego. Zwyczajny stary pierścionek. Ciekaw jestem, czy to prawda, co Mabel mówiła o pozostałych ozdobach. Może wypróbujemy?

— Daj spokój! — zawołała Kathleen. — Ja myślę, że czarnoksięskie przedmioty pełne są złośliwości. Przepadają po prostu za tym, żeby kogoś wpakować w kabałę.

— Ja chętnie bym spróbowała — odezwała się Mabel. — Tylko że wszystko, co się stało, było dosyć nieprzyjemne. A poza tym zapomniałam, co wtedy mówiłam.

Okazało się, że inni też nie pamiętali, co Mabel mówiła. I pewnie dlatego, kiedy Gerald oświadczył, że miedziana sprzączka umieszczona na nodze będzie działać jak siedmiomilowe buty, wcale tak nie było; i kiedy Jimmy — w którym, widać, zostało coś jeszcze z wielkiego londyńskiego przedsiębiorcy — wyraził pogląd, że stalowy naszyjnik zapewnia zawsze pełne kieszenie pieniędzy, jego własne kieszenie nadal były puste; i kiedy Mabel i Kathleen wymyślały niezmiernie urocze właściwości dla różnych pierścionków, łańcuszków i broszek — też nic się nie stało.

— To tylko ten pierścień jest czarodziejski — orzekła wreszcie Mabel. — I wiecie co? — dodała zupełnie innym głosem.

— A co?

— A to, że może nawet i ten pierścień wcale nie jest czarodziejski!

— Ależ my wiemy, że jest!

— Ja tego nie wiem — odparła Mabel. — I myślę, że w każdym razie dziś nie jest. Wydaje mi się, że tamtego dnia wszystkie te rzeczy nam się przyśniły. Tego właśnie dnia, kiedy powiedziałam tę bzdurę o pierścieniu.

— Nic podobnego! — zawołał Gerald. — Ty byłaś wtedy w swoim stroju królowny.

— W jakim stroju królowny? — spytała Mabel, szeroko otwierając swoje ciemne oczy.

— Et, nie mów głupstw — mruknął znużony Gerald.

— Nie mówię głupstw — upierała się Mabel. — A zresztą myślę, że już na was czas. Jimmy chce zjeść na pewno podwieczorek.

— Pewnie, że chcę — przyznał Jimmy. — A inna sprawa, że tamtego dnia miałaś na sobie strój królowny. No, chodźmy już. Zamknijmy okiennice i zostawmy ten pierścień tam, gdzie powinien leżeć.

— Co za pierścień? — spytała Mabel.

— Nie zwracajcie na nią uwagi — powiedział Gerald. — Ona tylko stara się być zabawna.

— Nic podobnego! — zawołała Mabel. — Jestem natchniona jak Pytia czy Sybilla. Co za pierścień?

— Pierścień od życzeń — wyjaśniła Kathleen — i od niewidzialności.

— Czy wy ciągle jeszcze nie rozumiecie — rzekła Mabel z szeroko otwartymi oczyma — że ten pierścień staje się tym, za co się go uważa? Zrobił nas niewidzialnymi, bo ja powiedziałam, że zrobi. O, nie, nie możemy go tu zostawić, jeżeli tak z nim jest. I to wcale nie będzie kradzież, naprawdę, skoro jest aż tak wartościowy. Powiedzcie, czym on jest?

— Pierścieniem spełniającym życzenia — odparł Jimmy.

— To już było! — zawołała Mabel z coraz większym przejęciem. — I spełniły się już twoje głupie życzenia. A ja powiadam, że to nie jest pierścień od życzeń. Ja twierdzę, że to pierścień, który tego, co go nosi, czyni wysokim na cztery jarady.

To mówiąc, pochwyciła pierścień. Jeszcze nie zdążyła dokończyć zdania, gdy pierścień ukazał się wysoko ponad głowami dzieci na palcu nieprawdopodobnej Mabel, wysokiej istotnie na dwanaście stóp \*.

— No, urządziłaś się — powiedział Gerald. I miał rację. Na próżno Mabel twierdziła teraz, że pierścień jest pierścieniem od spełniania życzeń. Najwyraźniej tym nie był. Był tym, co o nim powiedziała poprzednio.

— A w dodatku — uzupełnił Gerald — nie mamy najmniejszego pojęcia, jak długo to będzie trwało. Widzieliście, jak było z niewidzialnością. — Nie było to zbyt zrozumiałe zdanie, ale wszyscy je zrozumieli.

— To może trwać całe dni — powiedziała Kathleen. — Ach, Mabel, to było głupie z twojej strony!

— Tak, tak, śmieć się ze mnie — rozżaliła się Mabel. — A powinniście mi byli uwierzyć, kiedy mówiłam, że jest tym, co się o nim powie. Wtedy nie musiałabym wam tego dowodzić i nie musiałabym być tego idiotycznego wzrostu. I co ja teraz mam robić, chciałabym wiedzieć.

— Musimy cię schować do czasu, aż będziesz z powrotem swojego zwykłego wzrostu; to wszystko — orzekł praktycznie Gerald.

— Tak, ale g d z i e — spytała Mabel, uderzając w podłogę półmetrową stopą.

— W jednym z pustych pokoi. Nie będziesz się chyba bała.

— Pewnie, że nie — odparła Mabel. — Ach, jak ja żałuję, żeśmy po prostu nie położyli pierścienia na jego miejsce i nie zostawili go w spokoju.

— No, to nie my tego nie zrobiliśmy — rzekł Jimmy z większą dozą prawdy niż gramatyki.

— Teraz go położę z powrotem — powiedziała Mabel pociągając za pierścień.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego — rzekł z namysłem Gerald. — Nie chcesz chyba pozostać taka wysoka? A o ile wiem, to jeżeli pierścień nie będzie na twoim palcu, nie będzie działał, kiedy przyjdzie pora.

Niebosięzna Mabel z niezadowoleniem dotknęła sprężyny. Boazeria powoli zasunęła się i wszystkie błyszczące klejnoty znalazły się w ukryciu. Skarbiec na nowo stał się zwykłym ośmiokątnym pokojem o ścianach wyłożonych boazerią, zalany słońcem, ale nie umeblowanym.

— No więc gdzie mam się schować? — zastanowiła się Mabel. — Całe szczęście, że ciocia pozwoliła mi zostać tej nocy z wami. Ale teraz jedno z was będzie musiało zostać ze mną tej nocy. Nie mogę przecież być zupełnie sama, będąc tej idiotycznej wysokości.

Wysokość była tu właściwym słowem. Mabel powiedziała „wysoka na cztery jardy“ i rzeczywiście była wysoka na cztery jardy. Ale nie była bodaj wcale grubsza, niż kiedy jej wzrost wynosił cztery stopy i siedem cali, i wskutek tego robiła wrażenie, jak zauważył Gerald, „dziwnie robakokształtnej”. Sukienka, oczywiście, urosła razem z nią i Mabel wyglądała jak mała dziewczynka odbita w jednym z owych wklęsłych luster w panopticum \*\*, które sprawiają, że ludzie tędy wyglądają tak przyjemnie szczupło, a ludzie szczupli tak smutnie grubo. Mabel usiadła nagle na podłodze i wyglądało to zupełnie, jakby składał się drewniany metr.

— Nie ma sensu tu się rozsiadać, moja panienko — rzekł Gerald.

— Wcale się nie rozsiadam — odpowiedziała Mabel. — Opuściłam się tylko na ziemię, żeby móc przejść przez drzwi. Myślę, że teraz będę musiała często chodzić na czworakach.

— Czy nie jesteś przypadkiem głodna? — spytał nagle Jimmy.

— Nie mam pojęcia — odparła z rozpaczą Mabel. — W każdym razie to tak daleko stąd!

\* Stopa — angielska i północnoamerykańska miara długości = 30,48 cm.

\*\* Panopticum (łac.) — muzeum osobliwości.



— No, to ja sprawdzę — powiedział Gerald — czy droga jest wolna.

— Wiecie co — odezwała się Mabel. — Prawdę mówiąc, wołałabym być na dworze, póki nie zrobi się ciemno.

— Nie możesz. Z pewnością ktoś by cię wypatrzył.

— Nikt mnie nie zobaczy — odparła Mabel — jeżeli pójde cisowym żywopłotem. W środku żywopłotu jest przejście. Zupełnie jak w żywopłocie opisanym w „Szczęśliwym podarunku”.

— W czym?

— W „Szczęśliwym podarunku“. Wspaniała książka. To właśnie ta książka naprowadziła mnie na pomysł, żeby szukać ukrytych drzwi, tajemnych sprężyn i innych takich rzeczy. Gdybym się przeczołgała jak wąż przez ten żywopłot — kończy się w krzakach rododendronu, blisko dinozaura — moglibyśmy urządzić tam sobie obóz.

— A co z podwieczorkiem? — zagadnął Gerald, który nie jadł nawet obiadu.

— To jest to właśnie, czego nie ma — odparł Jimmy, który też nic nie jadł.

— Ach — zawołała Mabel — przecież n i e o p u s c i c i e mnie! Słuchajcie, napiszę do cioci. Jeżeli tylko jest w domu i nie śpi, to da wam wszystko, czego potrzeba na urządzenie pikniku. A jeśli cioci nie ma, to zrobi pokojówka.

Na arkusiku wyrwanym z bezcennego notesu Geralda Mabel napisała:

*Kochana Ciociu!*

*Czy zechciałaby Ciocia przysłać nam rozmaitych rzeczy do jedzenia na piknik? Przyniesie to wszystko Gerald. Byłabym przyszła sama, ale jestem trochę zmęczona. Zdaje się, że ostatnio dosyć urosłam.*

*Kochająca Cię siostrzenica  
Mabel.*

*P.S. Proszę przysłać jak najwięcej, bo niektórzy z nas są bardzo głodni.*

Przeczołganie się Mabel wzdłuż tunelu w żywopłocie cisowym okazało się rzeczą trudną, ale możliwą. Lecz mimo że było rzeczą możliwą, było rzeczą długotrwałą, tak że trójka dzieci ledwo zdążyła usadowić się wśród rododendronów i zacząć gorzko zastanawiać się nad tym, gdzie się podziewa Gerald, gdy Gerald właśnie zjawił się, dysząc ciężko pod ciężarem przykrytego papierem koszyka. Zrzucił go na ziemię, na piękny dywan trawnika, stęknął i zaraz dodał:

— Ale warto było... Gdzie jest Mabel?

Długa, blada twarz Mabel wyjrzała spośród liści rododendronu bardzo blisko ziemi.

— Chyba wyglądam jak wszyscy, prawda? — spytała z niepokojem. — Tylko że reszta mnie jest o milę stąd, pod różnymi innymi krzakami.

— Przykryliśmy luki między krzakami paprocią i liśćmi — wyjaśniła Kathleen, uprzedzając pytanie. — Nie kręć się, Mabel, bo je postrącasz.

Jimmy skwapliwie rozpakował koszyk. Podwieczorek był imponujący. Pokażna bułka, masło w liściu kapusty, butelka mleka, butelka wody, spory placek i wielkie, gładkie, żółte jagody agrestu w pudełku, które kiedyś zawierało olbrzymią butlę czegoś niezrównanego na włosy i wąsy. Mabel ostrożnie przesunęła swe nieprawdopodobne ramiona i oparła się na jednym ze swych pająkowatych łokci, Gerald pokroił bułkę i posmarował masłem, a Kathleen gorliwie obiegła na żądanie Mabel całą kępę rododendronu, aby upewnić się, że zielone przykrycie nie opadło z żadnej z bardziej oddalonych części osoby Mabel. A potem nastąpiło rozkoszne milczenie wygłodniałej gromadki przerywane tylko krótkimi, gwałtownymi nawoływaniami zrozumiałymi w takich okolicznościach:

— Proszę jeszcze kawałek placka!

— Hej, tam, dawajcie mleka!

— Przysuńcie tu agrest!

Wszyscy stopniowo stawali się spokojniejsi i coraz bardziej zadowoleni ze swego losu. Miłe uczucie na w pół znużenia i na w pół wypoczynku ogarnęło uczestników uczty. Nawet nieszczęsna Mabel doznawała tego uczucia aż po krańce swej odległej stopy, która spoczywała pod trzecim rododendronem na północno-północny-zachód od podwieczorkowego zebrania. Toteż Gerald dał wyraz jedynie uczuciu pozostałych, kiedy powiedział nie bez żalu:

— No, czuję się jak odnowiony! Ale nie mógłbym przełknąć już ani okruszyny niczego, choćby mi za to płacono.

— Ja mogłabym — powiedziała Mabel. — Owszem,, wiem, że już nie ma nic do jedzenia i że zjadłam swój udział. Ale m o g ł a b y m zjeść jeszcze więcej. To pewnie dlatego, że jestem tak długa.

Rozkoszny pojedzeniowy spokój wypełnił ciepłe powietrze. W niewielkiej odległości widniała pośród krzewów zielonomszysta szarżyzna ogromnego, kamiennego dinozaura.. On również zdawał się pełen spokoju i zadowolenia. Gerald pochwycił spojrzenie jego kamiennego oka przez wyrwę w ścianie rododendronowych liści. Wzrok ten zdawał się pełen zrozumienia.

— Myślę, że za swoich dni musiał on lubić porządnie się najeść — powiedział Gerald, z rozkoszą wyprostowując ramiona.

— Kto taki?

— Ten dino... jak mu tam — odparł Gerald.

— On już najadł się dzisiaj — zachichotała Kathleen.

— Prawda? — zachichotała z kolei Mabel.

— Tylko nie śmiej się brzuchem — zauważyła niespokojnie Kathleen — bo ci zleci całe zielone przykrycie.

— Co to znaczy najadł się? — spytał podejrzliwie Jimmy. — O czym wy gadacie?

— A tak, najadł się. Różne rzeczy znalazły się w jego brzuchu — chichotała dalej Kathleen.

— Dobrze, możesz sobie stroić żarty, jeżeli masz ochotę — rzekł nagle rozgniewany Jimmy. — Nas to nic nie obchodzi, prawda, Jerry?

— Mnie obchodzi — powiedział z namysłem Gerald. — Koniecznie c h c ę wiedzieć. Zbudźcie mnie, dziewczęta, kiedy już skończycie udawać, że nie macie zamiaru powiedzieć.

Nasunął sobie kapelusz na oczy i wyciągnął się w pozycji wygodnej drzemki.

— Ach, nie mów głupstw! — zawołała pospiesznie Kathleen. — Chodzi tylko o to, że nakarmiłyśmy dinozaura przez jego dziurę w brzuchu tym wszystkim, z czego były zrobione Brzydale-Strachale.

— To możemy zabrać to z sobą do domu — odparł Gerald gryząc biały koniec żdźbła trawy — i wszystko będzie w porządku.

— Słuchajcie! — wykrzyknęła nagle Kathleen. — Mam pomysł. Dajcie mi na chwilę pierścień. Na razie nie zdradzę wam, jaki to pomysł, bo może nic z tego nie wyjdzie, a wtedy powiecie, że jestem idiotka. Oddam pierścień, nim pójdziemy do domu.

— Ach, przecież jeszcze nie idziecie? — rzekła prosząco Mabel i zdjęła pierścień z palca. — Oczywiście — dodała skwapliwie — nie mam nic przeciwko temu, żebyś wypróbowała swój pomysł, choćby nawet był głupi.

A pomysł Kathleen był zupełnie prosty. Polegał jedynie na przypuszczeniu, że pierścień zmieni swe właściwości, jeżeli ktoś inny da mu nowe imię, ktoś, kto nie był dotąd pod wpływem jego czarów. Tak więc z chwilą gdy pierścień przeszedł z długiej, bladej dłoni Mabel do jednej z tłustych, gorących i czerwonych łapek Kathleen, dziewczynka podskoczyła, wołając: — Chodźmy opróżnić dinozaura t e r a z! — i popędziła szybko w stronę prehistorycznego potwora, by wszystkich wyprzedzić. Chciała powiedzieć głośno, a jednak tak, aby nikt z

pozostałych jej nie usłyszał: „To jest pierścień spełniający życzenia. Spełnia każde życzenie, jakie się wypowie”. I rzeczywiście wypowiedziała te słowa. I nikt jej nie usłyszał z wyjątkiem ptaków, a może i paru wiewiórek i jakiegoś kamiennego fauna, którego piękna twarz zdawała się patrzeć na nią ze śmiechem, gdy pędem przebiegała obok jego cokołu.

Droga prowadziła pod górę. Dogrzewało słońce, a Kathleen pędziła co sił w nogach. Mimo to jej bracia pochwycili ją, zanim dobiegła do wielkiego, czarnego cienia dinozaura. Toteż gdy już dopadła tego cienia, była istotnie bardzo zgrzana i nie mogłaby w żaden sposób wybrać spokojnie najodpowiedniejszego życzenia.

— Wejdę na górę — powiedziała — i wydobędę te wszystkie rzeczy, bo wiem dokładnie, gdzie co położyłam.

Gerald zrobił mostek, Jimmy pomógł siostrze wspiąć się, po czym przez otwór w brzuchu Kathleen znikła w ciemnym wnętrzu potwora. Zaraz potem z otworu posypał się grad pustych kamizelek, spodni o dziko chwiejących się nogawkach i marynarek wymachujących rękawami.

— Uwaga! — wykrzyknęła Kathleen i z góry poleciały laski, kije golfowe, hokejowe oraz kije od szczotek, uderzające z hałasem o siebie.

— Schodź już! — zawołał Jimmy.

— Zaczekajcie chwilę — powiedział Gerald — ja jeszcze wejdę na górę.

Chwycił się rękoma za krawędź widniejącej nad nim dziury i podskoczył. Właśnie oparł się kolanami o brzeg otworu i uniósł ramiona, kiedy usłyszał szuranie trzewików Kathleen we wnętrzu dinozaura i jej głos mówiący:

— Prawda, jaki tu przyjemny chłodek? Myślę, że posągi są zawsze chłodne. Ach, jak bym chciała być posągiem... O!

„O!” — było krzykiem zgrozy i przerażenia. A okrzyk ten został natychmiast ucięty przez nagle zapadłe, straszliwe, kamienne milczenie.

— Co się znowu stało? — spytał Gerald. Ale w głębi serca wiedział doskonale. Wyprostował się w ogromnym, pustym wnętrzu potwora. Przy słabym świetle, jakie wpadało przez otwór, widział zarysy czegoś białego na tle szarego wnętrza dinozaura. Sięgnął do kieszeni, przykląkł na jedno kolano, zapalił zapalniczkę, a gdy błękit płomyka przemienił się w jasną żółtość — spojrzał w górę i zobaczył to, czego się spodziewał: twarz Kathleen, białą, kamienną i bez życia. Włosy jej również były białe, podobnie jak ręce, sukienka, buciki — wszystko było białe twardą i zimną bielą marmuru. Życzenie Kathleen spełniło się. Była teraz posągiem. We wnętrzu dinozaura zapadła na długo całkowita cisza. Gerald nie był w stanie wymówić słowa. To było zbyt nagłe i zbyt okropne. Gorsze niż wszystko, co zdarzyło się dotąd. Milczenie przeciągało się, wreszcie Gerald odwrócił się i z głębi chłodnego kamiennego wnętrza przemówił do brata stojącego w zielonym, słonecznym, pulsującym i żywym świetle na zewnątrz.

— Jimmy — powiedział głosem najzupełniej opanowanym i rzeczowym. — Kathleen powiedziała, że pierścień jest pierścieniem spełniającym życzenia. I rzeczywiście jest. Rozumiem teraz, dlaczego tak pędziła i starała się nas wyprzedzić. No i zaraz potem ta idiotka wyraziła życzenie, żeby być posągiem.

— I jest nim? — spytał z dołu Jimmy.

— Chodź tu i przyjrzyj się — odparł Gerald.

Wobec tego Jimmy wspiął się do góry, częściowo o własnych siłach, częściowo zaś przy pomocy Geralda.

— Rzeczywiście jest teraz posągiem — stwierdził z przerażeniem. — To okropne!

— Wcale nie — orzekł stanowczo Gerald. — Chodźmy na dół, musimy powiedzieć Mabel.

Tak więc obaj chłopcy wrócili do Mabel, która dyskretnie pozostała na miejscu, całą swoją długością skryta pod rododendronami. Chłopcy powiadomili ją o tym, co się stało. Powiadomili ją w taki sposób, jak się roztrzaskuje butelkę strzałem z pistoletu.

— Straszna historia! — zawołała Mabel i poruszyła się na całej swej długości, tak że liście i paprocie opadły z niej małymi kępkami i dziewczynka nagle poczuła, że słońce ogrzewa jej nogi. — I co teraz będzie? Ach, co za straszna historia!

— Kathleen wyjdzie z tego — odparł Gerald z pozornym spokojem.

— Tak, ale co będzie z e m n ą? — powiedziała z naciskiem Mabel. — Nie mam przecież pierścienia. A czas na mnie przyjdzie wcześniej niż na nią. Czy nie moglibyście tego pierścienia odzyskać? Może ściągniecie go z jej palca? Nałożę go jej z powrotem na palec w tej samej chwili, kiedy będę znowu zwykłego wzrostu. Słowo daję.

— No, no, nie masz co beczeć — odparł Jimmy, odpowiadając na siąkania nosem, które w mowie Mabel służyły jej za przecinki i inne znaki przestankowe. — W każdym razie ty nie masz co beczeć.

— Ach, ty nie wiesz — zawołała Mabel — przecież ty nie wiesz, co to jest być tak długą jak ja. Słuchajcie, chłopcy, postarajcie się o ten pierścień. Ostatecznie to jest bardziej mój pierścień niż kogokolwiek z was, już choćby dlatego, że ja go znalazłam i ja powiedziałam, że jest czarodziejski.

Prośba ta obudziła w piersi Geralda zawsze mu właściwe poczucie sprawiedliwości.

— Myślę, że pierścień też przemienił się w kamień, tak jak jej buty, sukienka i wszystko. Ale pójdę zobaczyć. Tylko jeżeli nie przyniosę pierścienia, to znaczy, że nie mogłem, i nie ma co robić zamieszania.

Pierwsza zapałka zapalona we wnętrzu dinozaura ukazała pierścień odcinający się ciemno na białej dłoni posągowej Kathleen.

Palce Kathleen miała wyprostowane. Gerald ujął za pierścień i ku swemu zdziwieniu zsunął się on z łatwością z zimnego, gładkiego marmurowego palca.

— Doprawdy, bardzo mi przykro, Kiziu kochana — powiedział i uściśnął marmurową dłoń. A potem przyszło mu na myśl, że kto wie, czy ona go nie słyszy. Wytłumaczył więc dokładnie posągowi, co on i pozostali zamierzają zrobić. Pomogło mu to uprzytomnić sobie dokładnie, co właściwie powinni w gruncie rzeczy uczynić. Tak więc gdy poklepawszy posąg serdecznie po marmurowych plecach wrócił do rododendronu, mógł wydać rozkazy z jasną dokładnością urodzonego przywódcy, jak później powiedział. A wobec tego, że pozostała dwójka dzieci nie miała żadnego planu, plan Geralda został przyjęty, jak zwykle przyjmowane są plany urodzonych przywódców.

— Masz tu swój bezcenny pierścień — powiedział do Mabel. — Teraz chyba niczego się już nie boisz, prawda?

— Nie — odparła ze zdziwieniem Mabel. — Zupełnie o tym zapomniałam. Wicie co, zostanę tutaj albo trochę dalej, w lasku, jeżeli tylko zostawicie mi wszystkie płaszcze, żebym nie zmarzła w nocy. W ten sposób będę tutaj, kiedy Kathleen przestanie już być kamieniem.

— Dobrze — powiedział Gerald. Taki był właśnie pomysł urodzonego przywódcy.

— Wy, chłopcy, idźcie do domu i powiedzcie mademoiselle, że Kathleen zostaje na zamku. Bo tak jest.

— Tak — przyznał Jimmy — rzeczywiście tak jest.

— Czary — rzekł Gerald — ciągną się w porcjach siedmiogodzinnych. Twoja niewidzialność trwała dwadzieścia jedną godzinę, moja — czternaście, Elizy — siedem. Kiedy pierścień zaczął spełniać życzenia, to zaczął też od siódemki. Ale w gruncie rzeczy wcale nie wiadomo, jaka może być następna liczba. Więc nie wiadomo również, która z was pierwsza wyjdzie z zaczarowania. W każdym razie wymknijmy się z domu przez okno, a potem wzdłuż szpaleru, kiedy już powiemy dobranoc mademoiselle, i zajrzemy do ciebie, zanim pójdziemy spać. Myślę, że będzie najlepiej, jak się przeniesiesz bliżej dinozaura, a my przed odejściem przykryjemy cię liśćmi.

Mabel poczołgała się w kierunku wyższych drzew i tam stanęła, wyglądając zupełnie jak wysoka topola i tak nierealnie, jak mylna odpowiedź na długie i skomplikowane dzielenie.

Ale przy swoim wzroście z łatwością dosięgała otworu w brzuchu dinozaura, wetknęła więc tam głowę i spojrzała na białą postać Kathleen.

— Wszystko będzie w porządku, kochanie — oświadczyła kamiennej postaci — będę tu całkiem blisko ciebie. Zawołaj mnie, jak tylko poczujesz, że już wracasz do siebie.

Posąg Kathleen pozostał nieruchomy, jak zwykle posągi, a Mabel cofnęła głowę, położyła się na ziemi, po czym przykryto ją liśćmi i zostawiono samą. Chłopcy poszli do domu. Była to jedyna rozsądna rzecz do zrobienia. Nie miałoby najmniejszego sensu wyprowadzać mademoiselle z równowagi i spowodować, by posłała policję tropem dzieci. Wszyscy to rozumieli. Wstrząs, jaki wywołałoby odnalezienie zaginionej Kathleen nie tylko w brzuchu dinozaura, ale, co więcej, w kamiennym kształcie posągu, mógłby zachwiać umysłem każdego policjanta, nie mówiąc już o umyśle mademoiselle, która, jako cudzoziemka, siłą rzeczy miała umysł wrażliwszy i łatwiejszy do nadwerżenia.

Co zaś do Mabel...

— No — powiedział Gerald — wystarczy, żeby ktokolwiek popatrzył na nią taką, jaka jest teraz, żeby dostał hyzja. Z wyjątkiem, oczywiście, nas.

— Bo my jesteśmy inni — dodał Jimmy — nasze mózgowice już się zdążyły przyzwyczać do najrozmaitszych rzeczy. Trzeba by dużo więcej, żeby nas ruszyło.

— A swoją drogą żal mi biednej Kizi — powiedział Gerald.

— Tak, oczywiście — przyznał Jimmy.

\*

Słońce zaszło poza czarnymi drzewami i wschodził już księżyc. Mabel, na całej swojej niesamowitej długości przykryta marynarkami, kamizelkami i spodniami, spała bardzo spokojnie w chłodzie wieczoru. Wewnątrz dinozaura Kathleen, żywa w swym marmurowym kształcie, również usnęła. Słyszała słowa Geralda i widziała zapalenie zapałki. Była tą samą Kathleen co zawsze, tyle że była to Kathleen w marmurowej powłóce, która nie pozwalała jej nawet drgnąć. Powłoka ta nie pozwoliłaby jej także płakać, choćby tego chciała. Ale Kathleen nie chciała płakać. Od wewnątrz marmur nie był zimny ani twardy. Zdawał się być podbity miękką podszewką, ciepłą, przyjemną i bezpieczną. Plecy Kathleen nie bolały wcale, mimo że była pochylona. Ręce i nogi nie zeszytywniały mimo długich godzin znieruchomienia. Słowem, było jej dobrze, nawet lepiej niż dobrze. Trzeba było tylko czekać spokojnie, aż się wyjdzie z kamiennej powłoki i na nowo będzie się tą Kathleen, którą było się zawsze. Toteż dziewczynka czekała zadowolona i spokojna, aż wreszcie czekanie przemieniło się w nieczekanie, po prostu — w nic. Okryta miękkim wnętrzem marmuru, dziewczynka spała tak spokojnie i bezpiecznie, jakby leżała w swoim własnym łóżku.

Zbudził ją fakt, że nie leżała w swoim własnym łóżku, prawdę mówiąc, nie leżała wcale — fakt, że była w pozycji stojącej i że czuła w nogach igły i szpilki. Również jej ramiona, trzymane w dziwacznej pozycji, sztywne były i zmęczone. Przetarła oczy, ziewnęła i przypomniała sobie wszystko. Była przecież posągiem, posągiem wewnątrz kamiennego dinozaura.

— A teraz jestem na nowo żywa — wysunęła natychmiastowy wniosek — i zaraz wyjdę ze zmarmurowienia.

Kathleen usiadła i ostrożnie wysunęła jedną nogę przez otwór ledwo rysujący się w kamiennym brzuchu dinozaura. I w tej samej chwili długi, powolny wstrząs odrzucił ją w bok od otworu. **P o t w ó r p o r u s z y ł s i ę!**

— Ach! — zawołała Kathleen wewnątrz bestii. — Jakie to okropne! Pewnie świeci księżyc i potwór ożył. Gerald miał rację!

Istotnie, bestia się poruszała. Przez otwór w jej brzuchu Kathleen widziała zmieniającą się powierzchnię trawy, paproci i mchów, w miarę jak dinozaur ociężale sunął przed siebie. Dziewczynka nie miała odwagi skoczyć przez otwór, gdy zwierzę było w ruchu, z obawy, by nie zmiażdżyło jej na śmierć swoją olbrzymią łapą. A po tej myśli przysłała jej zaraz do głowy

inna: gdzie też jest Mabel? Chyba — chyba gdzieś blisko? A jeżeli jedna z olbrzymich łap stąpnie nagle na którąś część niezwyklej długości Mabel? Bo przy obecnych rozmiarach Mabel byłoby rzeczą bardzo trudną nie stąpnąć na jakąś część jej ciała, gdyby przypadkiem znalazła się na czyjejs drodze. Bardzo trudno, nawet gdyby się ktoś o to mocno starał. A przecież dinozaur wcale by się nie starał. Dlaczego miałby to robić? Kathleen zawisała w przerażeniu nad okrągłym otworem.

Olbrzymia bestia kołysała się z boku na bok. I posuwała się coraz prędzej. Teraz już wszelka próba skoku byłaby niebezpieczna. W każdym razie musieli już obecnie znacznie oddalić się od Mabel. Potwór sunął coraz szybciej i szybciej. Dół jego brzucha przechylił się. Najwidoczniej bestia schodziła po zboczu. Zatrzeszczały łamane gałęzie, gdy potwór przedzierał się przez gąszcz wiecznie zielonych dębów. Następnie pod jego kamiennymi stopami zachrząścił żwir. Aż wreszcie kamień natrafił na kamień. Potwór przystanął. Plusnęło! Byli widocznie nad samą wodą, przy sadzawce, nad którą przy świetle księżyca fruwał Hermes i gdzie Janus i dinozaur pływali pospołu. Kathleen opuściła się szybko przez otwór w brzuchu potwora na płaski marmur opasujący sadzawkę, skoczyła na bok i stanęła, z trudem chwytając oddech, w cieniu cokołu jakiegoś posagu. Uczyniła to w samą porę, gdyż niemal jednocześnie potworny jaszczur zsunął się ciężko do wody, zatapiając tysiące gładkich i błyszczących liści nenufarów, i popłynął w kierunku środkowej wyspy.

— Nie ruszaj się, panienczko! Ja teraz skaczę! — głos płynął gdzieś sponad cokołu, a w następnej chwili Febus zeskoczył z cokołu w swojej małej świątyni, zbiegł szybko po stopniach schodów i zatrzymał się o parę metrów dalej.

— Jesteś tu nowa — ciągnął Febus, przechylając się wdzięcznie przez ramię. — Nie zapomniabym twojej twarzy, gdybym ciebie choć raz widział.

— O, tak — przyznała Kathleen — jestem tu po raz pierwszy. I nie miałam pojęcia, że ty potrafisz mówić.

— A dlaczego? — roześmiał się Febus. — Przecież ty mówisz...

— Ale ja jestem żywa.

— A ja to nie? — spytał bożek.

— O, tak, myślę, że tak — odparła Kathleen, zdziwiona, ale nie przestraszona. — Tylko myślałam, że trzeba mieć na palcu pierścień, żeby zobaczyć, że się ruszasz.

Febus zdawał się ją całkowicie rozumieć, co o nim dobrze świadczyło, gdyż Kathleen doprawdy nie wyraziła się zbyt jasno.

— Ach, to dotyczy śmiertelnych — odparł Febus. — M y możemy wzajemnie słyszeć się i widzieć w tych krótkich chwilach, kiedy życie należy do nas. To również jest częścią cudownych czarów.

— Ale przecież ja jestem śmiertelna — rzekła Kathleen.

— Jesteś równie skromna co urocza — odpowiedział z roztargnieniem Febus Apollo. — Ta biała woda przyzywa mnie! Skaczę!

W następnej chwili kręgi płynnego srebra rozlały się po sadzawce, rozszerzając się coraz bardziej, począwszy od miejsca, gdzie złączone białe dłonie boga Słońca uderzyły o powierzchnię wody w chwili, gdy nurkował.

Kathleen zawróciła i poszła pod górę, w stronę, gdzie rosły rododendrony. Musi odszukać Mabel i muszą zaraz wracać do domu. Byle tylko Mabel była takiego wzrostu, że można by ją bez obawy zabrać z sobą do domu. Ale najprawdopodobniej, o tej godzinie czarów, już wróciła do swoich właściwych wymiarów. Kathleen, pokrzepiona tą myślą, przyspieszyła kroku. Przepisnęła się przez zarośla rododendronów, przypomniała sobie spiczastą, malowaną, papierową twarz, która tak niedawno wyglądała spośród błyszczących liści, i czekała, czy nie ogarnie jej strach, ale strach nie nadszedł. Odnalazła Mabel z łatwością, i to ze znacznie większą łatwością, niż gdyby Mabel była w takim stanie, w jakim ją chciała odszukać. Z daleka już bowiem, przy świetle księżyca, widać było długą, robakokształtną postać, rozciągniętą

na całe dwanaście stóp i okrytą marynarkami, spodniami i kamizelkami. Mabel wyglądała jak rura kanalizacyjna przykryta workami z obawy przed mrozem. Kathleen łagodnie dotknęła jej długiego policzka i Mabel przebudziła się.

— O co chodzi? — spytała sennym głosem.

— To tylko ja — wyjaśniła Kathleen.

— Ach, jakie masz zimne ręce! — powiedziała Mabel.

— Zbudź się nareszcie — rzekła Kathleen — i porozmawiajmy.

— Czy mogłybyśmy wrócić teraz do domu? Jestem strasznie zmęczona, a w dodatku podwieczorek był tak dawno.

— Jesteś jeszcze za długa, żeby wracać do domu — odparła Kathleen ze smutkiem, a Mabel przypomniała sobie o wszystkim.

Leżała przez chwilę z zamkniętymi oczyma. Nagle drgnęła i zawołała:

— Ach, Kiziu, czuję się tak dziwnie... jak jedna z tych zabawek w formie węża, kiedy się go ściska, żeby zmieścił się w swoim pudełku. Ja... ach, tak, tak... wiem, że ja...

Mabel domyślała się słusznie. A Kathleen, przyglądając jej, przyznała, że wygląda zupełnie jak sprężynowy wąż skracany coraz bardziej przez uciskające go ręce dziecka. Odległe stopy Mabel zaczęły się przybliżać, długie, chude ramiona stawały się coraz krótsze, a twarz nie była już długości jarda.

— Stajesz się taka, jaka byłaś! — wykrzyknęła Kathleen. — Tak, tak! Jakże się cieszę!

— Wiem — odparła Mabel. I gdy to powiedziała, stała się na nowo dawną Mabel nie tylko wewnątrz siebie — bo wewnątrz była oczywiście cały czas sobą — ale i w swoim zewnętrznym wyglądzie.

— Już jesteś całkiem w porządku! Hurra! Hurra! Tak się cieszę! — wołała radośnie Kathleen. — A teraz pójdziemy zaraz do domu, kochanie.

— Do domu? — spytała Mabel, powolutku siadając na ziemi i wpatrując się w Kathleen dużymi, ciemnymi oczyma. — Iść do domu? Z tym wyglądem?

— Z jakim? — zniecierpliwiła się Kathleen.

— No z t w o i m — zabrzmiała dziwna odpowiedź Mabel.

— Ze mną jest wszystko w porządku — powiedziała Kathleen. — Chodźmy.

— Czy ty doprawdy nie wiesz? — spytała Mabel. — Przyjrzyj się sobie, swoim rękom, sukience, wszystkim.

Kathleen spojrzała na swoje ręce. Miały biel marmuru. A jej sukienka także i jej trzewiki, pończochy, nawet końce warkoczyków. Była cała biała jak świeżo spadły śnieg.

— Co to jest? — spytała i zaczęła drżeć. — Dlaczego jestem cała tego straszego koloru?

— Czy ty nie rozumiesz? Och, Kiziu, czy nie rozumiesz? Z tobą jeszcze n i e j e s t, jak być powinno. Wciąż jeszcze jesteś posągiem.

— Nic podobnego! Jestem żywa! Rozmawiam z tobą!

— Wiem, wiem, kochanie — odparła Mabel, starając się ją uciszyć, jak się ucisza niesforne dziecko. — To dlatego, że świeci księżyc.

— Ależ ty sama widzisz, że jestem żywa.

— Widzę, oczywiście. Bo mam pierścień.

— Kiedy ja w i e m na pewno, że jestem całkiem w porządku.

— Słuchaj — łagodnie odparła Mabel, ujmując białą marmurową dłoń Kathleen — czy ty doprawdy nie możesz zrozumieć, że z tobą nie jest jeszcze wszystko w porządku? Jesteś posągiem, ale świeci księżyc i dlatego ożyłaś razem z innymi posągami. A kiedy księżyc zajdzie, znowu będziesz posągiem. Na tym, kochanie, polega trudność naszego powrotu do domu. Wciąż jeszcze jesteś posągiem i ożyłaś tylko na krótko, tak jak inne marmurowe postacie. Ach, słuchaj, gdzie jest dinozaur?

— Kąpie się — odpowiedziała Kathleen — tak samo jak pozostałe kamienne zwierzaki.

— No dobrze — powiedziała Mabel, usiłując w każdej rzeczy dopatrzeć się jej dodatkowej strony. — Przynajmniej za to jedno możemy być wdzięczni.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Jeżeli — powiedziała Kathleen, siedząc jak uosobienie rozpaczy w swych marmurowych okowach — jeżeli rzeczywiście jestem posągiem, który ożył, to dziwię się, że się mnie nie boisz.

— Bo mam pierścień — odparła stanowczo Mabel. — Pociesz się, kochanie! Już nie długo będzie z tobą lepiej. A na razie staraj się o tym nie myśleć.

Przemawiała do Kathleen, jak się mówi do dziecka, które zacięło się w palec czy też upadło na ogrodowej dróżce i wstaje z potłuczonymi kolanami, oblepionymi żwirem.

— Wiem — odparła z roztargnieniem Kathleen.

— A ja pomyślałam sobie — powiedziała wesoło Mabel — że możemy dowiedzieć się bardzo wielu rzeczy o tym zaczarowanym miejscu, jeżeli inne posągi nie okażą się zbyt dumne i będą chciały z nami rozmawiać.

— Będą chciały — zapewniła ją Kathleen. — Febus w każdym razie na pewno zechce. Był ogromnie miły i uprzejmy.

— A gdzie on jest? — spytała Mabel.

— W sadzawce... przynajmniej był — odpowiedziała Kathleen.

— W takim razie chodźmy tam — rzekła Mabel. — Ach, Kiziu, jak to przyjemnie być znowu sobą! — Poderwała się z ziemi, a gałęzie i zwiędłe paprocie, które okrywały jej niezwykle wybujałą postać, a następnie skupiły się w jednym miejscu, gdy skurczyła się do swych właściwych rozmiarów, opadły, jak opadają liście w lesie, kiedy nagle szarpnie nimi silny podmuch wiatru. Natomiast biała Kathleen nie poruszyła się.

Obydwie dziewczynki siedziały teraz na zalanej blaskiem księżyca trawie, a otaczał je wielki spokój nocy. Ogromny park był nieruchomy jak obraz. Tylko plusk wodotrysków i oddalony gwizd pośpiesznego pociągu przerywały ciszę, a równocześnie jakby jeszcze ją pogłębiały.

— Jak się miewasz, siostrzyczko? — zawołał tuż za nimi jakiś czarowny głos. Dziewczynki pośpiesznie zwróciły się w tę stronę, przechylając główki, jak to czynią zaskoczone ptaki.

W księżycowym blasku stał Febus, ociekający wodą po kąpieli w sadzawce, i uśmiechał się do nich bardzo łagodnie i bardzo przyjaźnie.

— Ach, to ty! — zawołała Kathleen.

— Tak, nikt inny, tylko ja — odparł wesoło Febus. — A kim jest ta twoja znajoma, to dziecię Ziemi?

— To jest Mabel — odparła Kathleen.

Mabel wstała, skłoniła się i po chwili wahania wyciągnęła rękę.

— Jestem twoim niewolnikiem, panienko — powiedział Febus, ujmując jej dłoń marmurowymi palcami. — Nie mogę jednak zrozumieć, jak to się dzieje, że nas widzisz i dlaczego się nas nie boisz.

Mabel ukazała rękę, na której widniał pierścień.

— Zupełnie dostateczne wytłumaczenie — przyznał Febus. — Ale skoro już masz pierścień, to dlaczego zachowujesz swój pstrokaty ziemski wygląd? Stań się białym posągiem i popływaj z nami w sadzawce.



— Nie umiem pływać — odparła wymijająco Mabel.

— Ja także nie umiem — wtrąciła Kathleen.

— Ty potrafisz pływać — zwrócił się do niej Febus. — Wszystkie posągi, z chwilą gdy ożyją, stają się biegłe we wszelkich dziedzinach sportu. A ty, dziecię o ciemnych oczach i włosach barwy nocy, wypowiedz życzenie, stań się posągiem i przyłącz się do naszych igraszek.

— Wybacz, ale wołałabym tego nie robić — odparła powściągliwie Mabel. — Widzisz, z tym pierścieniem jest tak, że jak się wypowiada jakieś życzenie, to nigdy nie wiadomo, jak długo będzie trwało jego spełnienie. Byłoby bardzo przyjemnie, gdybym się stała posągiem t e r a z, ale rano pewnie bym tego żałowała.

— Dzieci Ziemi często podobno takich rzeczy żałują — szepnął do siebie Febus. — Ale ty, dziecinko, zdajesz się nie znać dobrze mocy swego pierścienia. Wypowiedz życzenie dokładnie, a wtedy pierścień też spełni je dokładnie. Jeżeli nie podasz ścisłej miary czasu, dziwne czary snute przez Aritmosa, bożka liczb, wślizną się i przeobrażą życzenie. Powinnaś powiedzieć tak: „Chcę aż do świtu być posągiem z żywego marmuru, takim jak moja przyjaciółka, a po upływie tego czasu chcę być na powrót Mabel o ciemnych oczach i włosach barwy nocy”.

— Ach, tak — zawołała Kathleen — zrób to! Będzie tak przyjemnie! Zrób to, Mabel! Ach, a jeżeli obydwie będziemy posągami, to nie będziemy się bały dinozaura?

— W świecie żywego marmuru strach nie istnieje — odezwał się Febus. — Czyż nie jesteśmy braćmi, my i dinozaur, braćmi jednak wykutymi z kamienia i życia?

— A czy będę mogła pływać?

— Pływać, unosić się na falach i nurkować. A potem z boginiami Olimpu zasiąść do nocnej uczty, spożywać pokarm bogów, pić ich napój, słuchać nieśmiertelnej pieśni, a także śmiechu nieśmiertelnych ust.

— Uczta! — zawołała Kathleen. — Ach, Mabel, wypowiedz to życzenie! Zrobiłabyś to, gdybyś była tak głodna jak ja.

— Ależ to nie będzie prawdziwe jedzenie — persadowała Mabel.

— Owszem — odparł Febus — będzie równie prawdziwe dla ciebie, jak dla nas. Nie ma bowiem innej prawdziwości nawet w twoim wielobarwnym świecie.

Mimo to Mabel wahała się. A potem spojrzała na nogi Kathleen i nagle odezwała się:

— Dobrze, zrobię to. Ale najpierw zdejmę buciki i pończochy. Marmurowe buciki wyglądają po prostu okropnie, zwłaszcza sznurowadła. A cóż dopiero mówić o marmurowych pończochach, które opadają — a moje właśnie opadają.

Mabel zdjęła buciki, ściągnęła pończochy i odwiązała fartuszek.

— Mabel ma poczucie piękna — powiedział z uznaniem Febus. — A teraz, dziecko, wypowiedz zaklęcie, a potem poprowadzę was do pań Olimpu.

Mabel drżącym nieco głosem wypowiedziała życzenie i z tą samą chwilą w gaju oświetlonym księżycem znalazły się dwa małe żywe posążki. Rosły Febus ujął każdy z nich za rękę.

— A teraz biegiem! — zawołał.

I popędzili przed siebie.

— Ach, jak przyjemnie! — krzyknęła Mabel z trudem łapiąc oddech. — Jak śmiesznie wyglądają w trawie moje białe nogi! Myślałam, że jak będę posągiem, to będę czuła sztywność, ale tak nie jest.

— Nie ma żadnej sztywności wśród nieśmiertelnych — roześmiał się bóg Słońca — a tej nocy ty jesteś jedną z nas.

Po czym cała trójka pobiegła wzdłuż zbocza nad brzeg sadzawki.

— A teraz skaczemy! — zawołał Febus.

Wszyscy razem skoczyli, a woda plusnęła wokół trzech białych i lśniących postaci.

— Ach — westchnęła Kathleen — u m i e m pływać!

— I ja też! — dorzuciła Mabel.

— Naturalnie, że potraficie — powiedział Febus. — Teraz opłyniemy trzy razy sadzawkę, a potem wylądujemy na wyspie.

Cała trójka płynęła obok siebie, przy czym Febus świadomie zwalniał tempo, by dziewczynki mogły za nim nadążyć. Ich marmurowe sukienki wcale nie zdawały się im przeszkadzać w pływaniu, jak na pewno przeszkadzałyby wam, moi czytelnicy, gdybyście nagle skoczyli w ubraniu do basenu i próbowali popływać. A dziewczynki i bożek pływali wprost pięknie, z tą doskonałą łatwością i bez najmniejszego wysiłku i zmęczenia, co musieliście na pewno zauważyć podczas waszego pływania w snach. A miejsce, gdzie pływała nasza trójka, było wprost zachwycające i jakby do pływania stworzone. Lilie wodne, których długie, węzowe łodygi tak są uciążliwe dla zwykłych pływaków, w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały ruchom marmurowych ramion i nóg. Księżyc stał wysoko na jasnym niebie. A płaczące wierzby, cyprysy, świątynie, tarasy, gąszcze drzew i krzewów oraz wspaniały gmach starego zamku — wszystko to powiększało jeszcze romantyczny urok scenerii.

— To chyba najlepsza rzecz, jaką nam przyniósł pierścień — powiedziała Mabel, miękkim, łagodnym ruchem posuwając się w wodzie.

— Wiedziałem, że będziecie zadowolone — rzekł uprzejmie Febus. — A teraz jeszcze raz dokoła, a potem na wyspę!

Wylądowali na wyspie wśród zarośli sitowia, tataraku, krwawnika, wikliny i późno kwitnącej tawuły o wonnych, puszystych białych kwiatach. Wyspa była większa, niż na to wyglądała z brzegu, i zdawała się cała zarośnięta drzewami i krzewami. Kiedy jednak pod przewodnictwem Febusa wszyscy troje znaleźli się w ich cieniu, dziewczynki spostrzegły poza drzewami świetlistą linię leżącą znacznie bliżej od nich, niż mógł znajdować się drugi brzeg wyspy. A skoro tylko wynurzyli się spomiędzy drzew, można już było zobaczyć, skąd płynie światło. Drzewa, spośród których właśnie się wyłonili, tworzyły ciemny krag wokół sporej, jasnej polanki i wyglądały — jak zauważyła Kathleen — niczym zwarty tłum otaczający boisko futbolowe.

Polanę otaczał szeroki pierścień gładkiego trawnika. Dalej marmurowe stopnie schodziły do niewielkiej okrągłej sadzawki, gdzie nie było lilii wodnych, tylko złote i srebrne rybki, przesuwane się w różnych kierunkach jak błyski rtęci i ciemnych płomieni. A całą tę przestrzeń złożoną z wody, marmuru i trawy oświetlało jasne, białe, promienne światło, siedem razy mocniejsze niż najjaśniejszy blask księżyca, a w spokojnych wodach sadzawki leżało siedem odbitych księżyców. Widać było, że są to tylko odbicia, bowiem ich kształt rwał się i mienił, kiedy złote i srebrne rybki marszczyły wodę ruchami płetw i sterujących ogonków.

Dziewczynki spojrzały w górę na niebo, spodziewając się niemal, że zobaczą tam siedem księżyców. Ale nie, stary księżyc świecił samotnie, jak zwykł zawsze świecić nad nimi.

— Tam jest siedem księżyców — powiedziała ze zdziwieniem Mabel i wskazała palcem na sadzawkę, co nie należy do dobrych manier.

— Oczywiście — potwierdził uprzejmie Febus. — Wszystkiego w naszym świecie jest siedemkroć tyle, co w waszym.

— Ale ty nie jesteś w siedmiu osobach — zdziwiła się Mabel.

— Nie, ale jestem siedmiokrotnie sobą — odparł bóg Słońca. — Bo, widzicie, istnieją liczby i istnieją ilości, nie mówiąc już o jakości. Rozumiecie to chyba, prawda?

— Niezupełnie — przyznała Kathleen.

— Objasnienia zawsze mnie męczą — przerwał swój wywód Febus. — Może pójdziemy do pań?

Po drugiej stronie sadzawki stała liczna grupa osób, tak białych, że zdawały się tworzyć wielki biały otwór w ścianie drzew. W grupie tej było ze dwadzieścia lub może trzydzieści osób — same posagi, a przy tym wszystkie były żywe. Niektóre z nich zanurzały swoje białe

stopy pomiędzy złote i srebrne rybki i wywoływały zmarszczki przesuwające się po obliczach siedmiu księżyców. Niektóre przystrajały się nawzajem różami, tak słodko pachnącymi, że dziewczynki czuły ten zapach nawet po drugiej stronie sadzawki. Jeszcze zaś inne postacie trzymały się za ręce i tańczyły wkoło, a dwie siedziały na stopniach, grając w przeplatankę — która jest doprawdy bardzo starożytną grą — za pomocą białej marmurowej nitki.

Gdy nowo przybyli podeszli bliżej, rozległy się powitalne okrzyki i wesoly śmiech.

— Febus znowu się spóźnił! — zawołał ktoś.

A inny głos spytał:

— Czy może któryś z twoich rumaków zgubił podkowę?

Wreszcie inny jeszcze głos powiedział coś o wawrzynach.

— Przyprowadziłem gości — oświadczył Febus i natychmiast posągi otoczyły dziewczynki kołem, głaszcząc je po głowach i policzkach i nazywając najpiękniejszymi i najczulszymi słowami.

— Czy wieńce są już gotowe, Hebe? — spytała najwyższa wzrostem i najwspanialsza z dam. — Spleć jeszcze dwa!

Hebe zaraz zbiegła po stopniach w dół i przyniosła w swych okrągłych ramionach mnóstwo różanych wieńców. Starczyło po jednym dla każdej marmurowej głowy.

Teraz wszyscy wyglądali siedem razy piękniej niż przedtem, co w wypadku bogów i bogiń nie jest bez znaczenia. Dziewczynki przypomniały sobie, jak w czasie uczty z sokiem malinowym mademoiselle powiedziała, że bogowie i boginie zawsze noszą wieńce w czasie posiłków.

Hebe własnoręcznie ułożyła wieńce z róż na głowach dziewczynek, a Afrodyta Urania, najmiłsza pani w świecie, o głosie jak głos mamy w momentach, gdy się ją kocha najbardziej, ujęła je za ręce i powiedziała:

— Chodźcie, musimy pośpieszyć się z przygotowaniem uczty. Eros, Psyche, Hebe, Ganimedes — cała młodzież niech układa owoce.

— Nie widzę tu żadnych owoców — rzekła Kathleen, podczas gdy cztery szczupłe postacie oderwały się od białego tłumu i podeszły do dziewczynek.

— Zaraz je zobaczysz — odparł Eros, rzeczywiście śliczny chłopiec, co dziewczynki natychmiast przyznały. — Wystarczy po nie sięgnąć.

— Ot, tak! — dodała Psyche, sięgając marmurowym ramieniem do gałęzi wierzby. Następnie wyciągnęła rękę do dziewczynek: trzymała w niej dojrzały owoc granatu.

— Rozumiem — rzekła Mabel. — Wystarczy... — dotknęła palcami gałęzi wierzby i w zagłębieniu dłoni poczuła aksamitną okrągłość dużej brzoskwini.

— Tak, właśnie tak — roześmiała się Psyche, rzeczywiście przemiała osóbką.

Następnie Hebe zdjęła kilka srebrnych koszyków z rosnącej w pobliżu olchy i cała czwórka zabrała się pieczołowicie do zrywania owoców. Równocześnie starsze posągi zajęte były zdejmowaniem złotych pucharów, kubków i półmisek z gałęzi jesionów i młodych dębów oraz napełnianiem ich najświetniejszymi pokarmami i napojami, jakie można było sobie tylko wymarzyć, i ustawianiem tego wszystkiego na stopniach schodów. Był to niebiański po prostu piknik. Wreszcie wszyscy zasiedli czy wyciągnęli się na marmurowych stopniach i rozpoczęła się uczta. Ach, jakież cudowny smak miały potrawy podawane na tych półmiskach, jak cudownie smakowały napoje ze złotych kubków przechylanych do białych ust zebranego towarzystwa! A owoce! Takie owoce nie rosną nigdzie na ziemi! Tak jak nigdzie nie brzmi taki śmiech, jak śmiech marmurowych ust, ani taki śpiew, jak pieśni, które przerywały ciszę tej nocy czarów.

— Ach! — zawołała Kathleen, a przez jej palce przeciekał sok trzeciej już brzoskwini i kapał jak łzy na marmurowe stopnie. — Jakżebym chciała, żeby chłopcy byli tu z nami!

— Ciekawa jestem, co też oni robią — dodała Mabel.

— W tej chwili — objaśnił Hermes, który akurat zatoczył w powietrzu wielki krąg, jak

to robią gołębie, i powrócił do towarzystwa — w tej właśnie chwili krążą zrozpaczeni w pobliżu miejsca stałego pobytu dinozaura, bo wymknęli się z domu przez okno, żeby was odszukać. Obawiają się, żeście zginęły, i nawet płakałyby, gdyby nie wiedzieli, że łyzy nie przystoją mężczyźnie, nawet najmłodszemu.

Kathleen wstała i otrzępała ze swej marmurowej piersi okruchy ambrozji \*.

— Bardzo wam wszystkim dziękujemy — powiedziała — byliście dla nas niesłychanie mili, było nam z wami strasznie przyjemnie, ale myślę, że teraz musimy już iść.

— Jeżeli niepokoisz się o braci — rzekł uprzejmie Febus — to nie ma nic łatwiejszego w świecie, jak sprowadzić ich tutaj. Pozwól mi na chwilę twój pierścień.

Wyjął pierścień z nieco opornej dłoni Kathleen, zanurzył w odbiciu jednego z siedmiu księżyców, po czym zwrócił dziewczynce. Ta skwapliwie chwyciła pierścień.

— A teraz — powiedział bóg Słońca — wypowiedz dla twych braci to samo życzenie, jakie Mabel wypowiedziała dla siebie. Powiedz...

— Wiem — przerwała Kathleen. — Chcę, żeby chłopcy byli posągami z żywego marmuru, jak Mabel i ja, aż do świtu, a potem żeby stali się z powrotem takimi, jak są teraz.

— Gdybyś mi nie była przerwała... — zaczął Febus. — No, ale nie można oczekiwać zbytniego przewidywania u tak młodej osobki. Powinnaś była wyrazić życzenie, żeby znaleźli się t u t a j. Ale mniejsza z tym! Hermesie, drogi przyjacielu, poleć do nich i przyprowadź ich tutaj. A po drodze wyjaśnij im wszystko.

Febus zanurzył pierścień ponownie w jednym z odbitych księżyców, zanim go wręczył z powrotem Kathleen.

— Teraz — powiedział — jest już oczyszczony i gotów do następnych czarów.

— Nie jest naszym zwyczajem zadawanie pytań gościom — odezwała się królowa bogów, Hera, kierując na dziewczynki spojrzenie swych wielkich oczu. — Ale pierścień ten budzi, jak sądzę, zaciekawienie nas wszystkich.

— To jest właśnie ten pierścień — wyjaśnił Febus.

— O tym, oczywiście, wiemy — odparła Hera. — Gdyby jednak zadawanie pytań nie było wzięte za dowód niegościnności, to chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób pierścień dostał się w ręce tych dzieci Ziemi?

— To — powiedział Febus — jest bardzo długa historia. Po uczcie przyjdzie czas na opowieść, a po opowieści czas na pieśń.

Hermes najwidoczniej musiał „wyjaśnić im wszystko” istotnie bardzo dokładnie. Kiedy bowiem Gerald i Jimmy przybyli, olśniewając bielą marmuru i trzymając się każdy jednej z uskrzydłonych stóp boga, unoszeni w ten sposób w powietrzu — czuli się niewątpliwie bardzo dobrze i pewni siebie. Złożyli boginiom bardzo piękne ukłony i zajęli swe miejsca bez najmniejszego zakłopotania, jakby przez całe życie uczestniczyli każdej nocy w ucztach Olimpijczyków. Hebe splotła dla obydwu chłopców wieńce z róż, a Kathleen, przyglądając się, jak jedli i pili, czując się doskonale w swym marmurowym kształcie, myślała z zadowoleniem, jak to dobrze się stało, że mimo rozkoszowania się cudownym sokiem brzoskwini nie zapomniała o swoich braciach.

— A teraz — odezwała się Hera, gdy chłopcy otrzymali już wszystko, o czym tylko mogli zamaryć, i o wiele więcej, niż mogli zjeść — teraz czas na opowieść.

— Tak — przyznała z zaciekawieniem Mabel. A Kathleen dodała:

— O, tak! Teraz niech będzie opowieść! Świetnie!

— Opowieść — wtrącił nieoczekiwanie Febus — będzie opowiedziana przez naszych gości.

— Och, nie! — zawołała, kuląc się, Kathleen.

— Może chłopcy będą odważniejsi — rzekł na to król bogów, Zeus, zdjawszy wieńiec różany, który go nieco uwierał, i zaczął rozcierać sobie uszy.

\* Ambrozja — pokarm bogów, dający im wieczną młodość i nieśmiertelność.

— Kiedy ja doprawdy nie mogę — bronił się Gerald. — Zresztą nie znam żadnej opowieści.

— Ani ja — dodał Jimmy.

— Chodzi o to, by opowiedzieć — szybko zawołała Mabel — w jaki sposób dostaliśmy pierścień. Ja mogę to opowiedzieć, jeżeli sobie tego życycie. Otóż była sobie kiedyś mała dziewczynka imieniem Mabel — powiedziała jeszcze szybciej i zaraz rozpoczęła całą — czy też niemal całą — opowieść o zaczarowanym zamku, którą czytaliście już na kartach tej książki. A marmurowi Olimpijczycy słuchali, zaczarowani, tak prawie zaczarowani jak sam zamek, podczas gdy w łagodnym świetle księżycy chwile odpływały w przeszłość jak perły opadające w głębinę wody.

— W rezultacie — Mabel zakończyła gwałtownie — Kathleen wypowiedziała życzenie dotyczące chłopców, a bóg Hermes ich przyprowadził. I oto wszystko.

Po zakończeniu opowiadania, tak nagle urwanego przez Mabel, rozległy się dokoła głosy zadające rozmaite pytania i wypowiadające z przejściem różne uwagi.

— A teraz — odezwała się Mabel, gdy głosy zaczęły już zacichać — chcielibyśmy, żebyście w y n a m opowiedzieli.

— Opowiedzieć wam?...

— Tak! Jak to się dzieje, że jesteście żywi, i skąd wiecie o pierścieniu, i w ogóle wszystko, co wiecie.

— Wszystko, co wiemy? — roześmiał się Febus (do niego bowiem zwróciła się ze swoim pytaniem Mabel) i uśmiech zagrał nie tylko na jego ustach, ale także na ustach pozostałych bogów. — Nie wystarczyłoby całego twojego życia, moje ziemskie dziecię, aby wysłuchać wszystkich słów, jakie musiałbym wypowiedzieć, żebyś się dowiedziała o wszystkim, co wiem.

— W takim razie — wtrącił Gerald — opowiedzcie nam przynajmniej o pierścieniu i o tym, w jaki sposób stajecie się żywi. Bo to właśnie najbardziej nas zdumiewa.

— Powiedz im, Febusie! — zawołała najmilsza w świecie dama. — Nie drocz się z dziećmi.

Więc Febus oparł się wygodnie o lamparcie skóry, które Dionizos w obfitości zebrał z gałęzi świerka, i zaczął mówić.

— Wszystkie posągi — powiedział — jeżeli tylko sobie tego życzą, mogą ożywać, kiedy świeci księżyc. Ale posągi umieszczone w brzydkich miastach nie miewają takich życzeń. Po cóż zresztą miałyby się zamęczać oglądaniem rzeczy szkaradnych?

— Oczywiście — przyznał uprzejmie Gerald, by wypełnić chwilę milczenia.

— W waszych pięknych świątyniach — ciągnął bóg Słońca — postacie waszych kapłanów i waszych bojowników, spoczywające ze skrzyżowanymi nogami na swoich grobowcach, ożywają i przechadzają się w swym marmurowym kształcie po świątyniach, a także po lasach i polach. Ale jest tylko jedna noc w roku, kiedy ktoś może ich zobaczyć. Wy nas widzicie, ponieważ macie pierścień i w waszej marmurowej postaci należycie do naszych bliźnich. Ale w tę jedną noc wszyscy mogą nas widzieć.

— A kiedy to przypada? — spytał znów bardzo grzecznie Gerald, kiedy ponownie zapadło milczenie.

— W noc święta zniw — odpowiedział Febus. — W ową noc, gdy księżyc wysyła pęk promieni wspaniałego światła na ołtarze niektórych świątyni. Jedna z tych świątyni znajduje się w Helladzie, zagrzebana pod zwałami góry, którą cisnął na nią rozgniewany Zeus. Inna zaś jest w tym kraju. W tym tutaj wielkim ogrodzie.

— Czy to znaczy — spytał z wielkim zaciekawieniem Gerald — że gdybyśmy w tę noc przyszli do tej świątyni, to moglibyśmy zobaczyć was, nawet nie będąc posągami i nie mając pierścienia?

— Tak jest — odparł Febus. — Co więcej, na każde pytanie zadane owej nocy przez

śmiertelnych jesteście obowiązani dać odpowiedź.

— A ta noc kiedy przypada?

— Ach! — wykrzyknął Febus i zaśmiał się. — Chcielibyście wiedzieć!

W tej samej chwili wielki marmurowy król bogów ziewnął, pogładził swą długą brodę i powiedział:

— Dostyc opowieści, Febusie. Nastrój swoją lirę.

— Ale pierścień — szepnęła Mabel, podczas gdy bóg Słońca stroił białe struny czegoś w rodzaju marmurowej harfy leżącej u jego stóp — skąd wy wiecie wszystko o pierścieniu?

— Teraz — odszepnął jej bóg Słońca — trzeba wykonać rozkaz Zeusa. Ale spytaj mnie znowu przed świtem, a powiem ci wszystko, co o tym wiem.

Mabel cofnęła się i oparła wygodnie o kolana Demeter. Kathleen i Psyche siedziały obok, trzymając się za ręce. A Gerald i Jimmy rozciągnęli się na całą swą długość i podparli się na łokciach, wpatrzni w boga Słońca. I ledwo Febus sięgnął po lirę, nim jeszcze jego palce dotknęły strun, w powietrzu rozległo się już jakby echo melodii, czarującej, zniewalającej, zagłuszającej wszelką myśl z wyjątkiem myśli o niej, wszelkie pragnienie z wyjątkiem pragnienia, by jej słuchać.

A kiedy Febus dotknął strun i łagodnie wydobył z nich melodię, wszystkie najpiękniejsze sny świata przyfrunęły na skrzydłach jak na skrzydłach gołębi. I wszystkie rozkoszne myśli, jakie czasami krążą w pobliżu, ale nie tak blisko, by je można pochwycić, teraz zagnieździły się, jakby w gniazdkach, w sercach słuchaczy. A słuchacze zapomnieli o czasie i przetrzeni, o smutku i złości. Mogłoby się wydawać, że cały świat spoczywa jak czarodziejskie jabłko w dłoni każdego ze słuchaczy i że cały świat jest dobry i piękny.

Aż nagle czar prysnął. Struna dotknięta przez Febusa pękła i nastąpiła chwila ciszy. Febus zerwał się i zawołał:

— Świt! Świt! Wracajcie na swe cokoły, bogowie!

W jednej chwili cały tłum pięknych marmurowych postaci zerwał się na nogi i zaczął przedzierać się przez opasujące polankę zarośla. Rozległ się trzask łamanych gałązek i szelest liści, aż wreszcie dzieci usłyszały za sobą plusk wody. Usłyszały także ciężki oddech jakiejś wielkiej bestii i zrozumiały, że to dinozaur również wraca na swoje miejsce.

Jeden jedyny Hermes miał czas — ponieważ lata się szybciej niż pływa — by pofruwać wokół dzieci przez chwilę i szepnąć z uśmiechem:

— Za dwa tygodnie od dziś w Świątyni Dziwnych Kamieni.

— Jaka jest tajemnica pierścienia? — spytała Mabel, z trudem chwytnąc oddech.

— Pierścień jest sednem wszystkich czarów — odparł Hermes. — Pytaj za dwa tygodnie o wschodzie księżyca, a dowiesz się wszystkiego.

Z tymi słowy skinął śnieżnobiałym kaduceuszem \* i uniósł się w powietrze na swych uskrzydłonych stopach, a w miarę jak się oddalał, stopniowo gasło siedem odbitych księżyców, powiał zimny wiatr, świat powoli coraz bardziej jaśniał, coraz donośniej szmerem odzywały się ptaki, a marmurowa powłoka powoli zaczęła opadać z dzieci jak skóra, która kurczy się w ogniu. Po chwili nie były już posągami, ale na nowo dziećmi z krwi i ciała, jakimi były zawsze. Stały teraz po kolana w zaroślach jeżyn i wysokiej, szorstkiej trawie. Znikły gładkie trawniki, marmurowe stopnie i sadzawka z rybkami i siedmiu księżycami. Grube krople rosy pokrywały trawę i jeżyny i było bardzo zimno.

— Powinniśmy byli odejść razem z nimi — odezwała się Mabel, szczękając zębami. — Teraz, kiedy już nie jesteśmy z marmuru, nie potrafimy pływać. A to z pewnością jest wyspa. Istotnie była to wyspa, a dzieci nie umiały pływać.

Wiedziały o tym. O takich rzeczach zawsze się jakoś wie, nawet bez próbowania. Wiadomo na przykład, że się nie może latać. Są takie rzeczy, co do których trudno się pomylić.

\* Kaduceusz — kij opleciony dwoma wężami i uwieczony dwoma skrzydełkami; w mitologii greckiej — laska Hermesa, którą uśmierzał spory.

Dzień stawał się z każdą chwilą jaśniejszy, a ich położenie z każdą chwilą bardziej beznadziejne.

— Tu chyba nie ma łódki? — spytał Jimmy.

— Nie — odparła Mabel — po tej stronie sadzawki nie ma. Jest, oczywiście, łódka na przystani — jeżeli tam mógłbyś dopłynąć.

— Wiesz, że nie potrafię — obruszył się Jimmy.

— Czy nikt nie potrafi niczego wymyślić? — spytał drżąc z zimna Gerald.

— Kiedy zauważą, żeśmy znikli — odezwał się pełnym nadziei głosem Jimmy — przeszukają wszystkie stawy i rzeki na milę wokoło, żeby sprawdzić, czyśmy nie wpadli do wody i nie poszli na dno. A kiedy przyjdą zgłębiać to jezioro, możemy zacząć wołać i wtedy nas wyratują.

— Tak, mój drogi, to będzie bardzo miłe — powiedział z goryczą Gerald.

— Dajcie temu spokój — zawołała Mabel głosem tak pełnym otuchy, że reszta dzieci wpatrzyła się w nią ze zdumieniem.

— Pierścień — wyjaśniła. — Wystarczy, oczywiście, wypowiedzieć życzenie, że chcemy być z powrotem w domu. Febus umył pierścień w odbiciu księżyca i przygotował go do nowych życzeń.

— Wcale nam o tym nie mówiłaś — rzekł Gerald możliwie jak najłagodniejszym głosem. — Ale mniejsza z tym. Gdzie jest pierścień?

— Ty go miałaś — przypomniała Mabel, zwracając się do Kathleen.

— Wiem, że miałam — odparła z niepokojem dziewczynka. — Ale dałam go do obejrzenia Psyche i... i ona go ma na palcu.

Wszyscy starali się nie gniewać na Kathleen i wszystkim się to częściowo udało.

— Jeżeli kiedyś wydostaniemy się z tej zakazanej wyspy — powiedział Gerald — to myślę, że chyba odnajdziesz posąg Psyche i zdejmiesz pierścień z jej palca?

— Nie — jęknęła Mabel — tego nie potrafię. Nie wiem w ogóle, gdzie jest ten posąg, nigdy go nie widziałam. Może jest., jak to się nazywa... w Helladzie? A może jeszcze gdzie indziej?

Nikt nie miał do powiedzenia nic przyjemnego i miło mi odnotować, że nikt nic nie powiedział. Zupełnie już rozedniało i niebo na północy stawało się bladoróżowe i lawendowe.

Chłopcy stali z rękami w kieszeniach w posepnym zamyśleniu. Mabel i Kathleen mimo woli przywarły do siebie. A wysoka trawa wokół ich nóg była pokryta zimną jak lód rosą. Panującą ciszę przerywały tylko cichutkie siąkania nosem i stłumione westchnienia.

— Słuchajcie — zawołał porywczo Gerald — mam tego dość! Słyszycie? Płacz nie zda się tu na nic. Nie, nie, ja wcale się nie złościę, mówię to dla waszego własnego dobra. Musimy dokładnie obejść dookoła wyspę. Może gdzieś pod zwisającymi nad wodą gałęziami znajduje się ukryta łódka.

— Skąd by się tam wzięła? — spytała Mabel.

— Myślę, że ktoś mógł ją tam zostawić — odpowiedział Gerald.

— A jak ten ktoś wydostał się z wyspy?

— Inną łódką, oczywiście — wyjaśnił Gerald. — Chodźcie.

Czwórka dzieci zupełnie upadła na duchu i zupełnie pewna, że nie ma i nie może być żadnej łódki, zaczęła przeszukiwać wyspę. Jakże często każde z nich śniło o wyspach, jakże często pragnęli być rozbitkami na jednej z nich! A teraz to się spełniło. Ale rzeczywistość jest czasem zupełnie różna od marzeń i ani trochę tak przyjemna. Najgorzej ze wszystkich czuła się Mabel, której buciki i pończochy pozostały daleko na lądzie stałym. Ostra trawa i jeżyny dawały się bardzo we znaki gołym łydkom i stopom.

Przedostali się między drzewami nad brzeg wody, ale niepodobieństwem było trzymać się cały czas samego brzegu wyspy, bo aż nazbyt często zwisały tu splecione, grube gałęzie. Pośród drzew wiła się wąska, porośnięta trawą ścieżka i dzieci szły tą ścieżką, pograżone w roz-

paczy. Z każdą chwilą oddalała się od nich nadzieja powrotu do domu bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. A gdyby wykryto, że ich nie ma i że w dodatku nie spali w swych łózkach — no, to byłaby niezła awantura i, jak wyraził się Gerald, „Żegnaj, wolności!”

— Oczywiście, możemy się stąd wydostać — powiedział Gerald. — Wystarczy, jeżeli wszyscy naraz zaczniemy wołać, kiedy zobaczymy na ładzie ogrodnika czy dozorcę. Ale jeżeli to zrobimy, to tym samym skończy się nasza tajemnica i wszystkie przygody!

— Tak — przytaknęła pośępnie pozostała trójka.

— Nabierzcie odwagi! — zawołał Gerald, w którym na nowo poczał budzić się duch urodzonego dowódcy. — Wydobędziemy się z tych opałów, jak już wydobyliśmy się nieraz z innych. Możecie być pewni, że tak będzie. Patrzcie, pokazuje się słońce. Chyba teraz jesteście już w lepszym nastroju, prawda?

— O, tak, tak! — zawołała cała reszta tonem niezgłębionej rozpaczy.

Słońce było już wysoko i poprzez głęboką rozpadlinę we wzgórzach wysyłało mocne promienie prosto na wyspę. Żółty blask przeświecał między pniami drzew i bił dzieciom prosto w oczy. Ta okoliczność oraz fakt, że nie patrzył pod nogi — jak mu to później nie omieszkał wytknąć Jimmy — starczyły dla wytłumaczenia tego, co się przytrafiło Geraldowi, który szedł na czele żałosnego orszaku. Potknął się, chciał przytrzymać się pnia drzewa, lecz ręka mu się ześliznęła i Gerald znikł z hałasem i krzykiem. A Mabel, która szła tuż za nim, tylko z wielkim trudem udało się nie spaść po stromych, omszałych schodach, które nagle rozwarły się w ziemi u jej stóp.

— Och, Gerald! — krzyknęła w dół. — Czy nic ci się nie stało?

— Nie — odparł Gerald, niewidoczny i zagniewany, gdyż w istocie rzeczy potłukł się dość dotkliwie. — Tu są schody, a dalej jest przejście.

— Zawsze tak jest — wtrącił Jimmy.

— Wiedziałam, że jest przejście — powiedziała Mabel. — Ciągnie się pod wodą, a kończy się przy świątyni Flory. Nawet ogrodnicy wiedzą o tym przejściu, ale nie chcą tam schodzić w obawie przed węzami.

— W takim razie możemy się tędy wydostać... Myślę, że powinnaś nam była o tym powiedzieć — zadudnił z dołu głos Geralda.

— Nie pomyślałam o tym — tłumaczyła się Mabel. — W każdym razie... Ach, i zdaje mi się, że to przejście przechodzi koło tego właśnie miejsca, gdzie Brzydał-Strachał znalazł swój dobry hotel.

— Ja tam nie pójde — odmówiła stanowczo Kathleen. — Nie będę chodziła w ciemnościach. To wam z góry mówię.

— Doskonale, dziecinko — rzekł Gerald surowym głosem, a jego głowa wyłoniła się nagle w dole spomiędzy jeżynowych zarośli. — Nikt nie wymaga od ciebie chodzenia w ciemności. Zostawimy cię tutaj, jeżeli tak wolisz, i wrócimy łódką, żeby cię wyratować... Jimmy, latarka rowerowa! — i Gerald wyciągnął po nią rękę.

Jimmy wydobył z zanadru, czyli z miejsca, gdzie zawsze w bajkach trzyma się latarki — patrz: „Lampa Alladyna” i inne — latarkę rowerową.

— Wzięliśmy ją z sobą — wyjaśnił — żeby nie połamać sobie kości, potykając się o długą Mabel wśród rododendronów.

— A teraz — rzekł stanowczo Gerald, zapalając zapałkę i otwierając przód latarki z grubego okrągłego szkła — nie wiem, co zamierza robić reszta z was, ale ja schodzę po tych schodach, a potem pójde przejściem. Jeżeli trafimy tam na dobry hotel, to nic: dobry hotel nikomu jeszcze nie zaszkodził.

— Tak, tylko że to wszystko na nic — powiedział drżącym głosem Jimmy. — Wiesz doskonale, że nie będziemy mogli wyjść tamtymi drzwiami przy świątyni Flory, nawet jeżeli do nich dojdziemy.

— Ja n i c o tym nie wiem — odparł Gerald stanowczym i rozkazującym tonem. —



Najprawdopodobniej po tej stronie drzwi jest również utajona sprężyna. Ostatnim razem nie mieliśmy latarki, żeby ją móc odnaleźć, pamiętasz?

— Jeżeli czegoś nie cierpię — odezwała się Mabel — to być pod ziemią.

— Ty przecież n i e j e s t e ś tchórzem — rzekł na to Gerald bardzo, jak to się mówi, dyplomatycznie. — T y j e s t e ś dzielna, Mabel. Przecież wiem o tym! Weź za rękę Jimmy'ego, a ja wezmę Kathleen. Idziemy!

— Nie chcę, żeby mnie ktoś trzymał za rękę! — zawołał oczywiście Jimmy. — Nie jestem dzieckiem!

— Ale Kizia da rączkę! Biedna Kiziunia! Kochający braciszek Jerry weźmie Kizię za rączkę.

Złośliwa uszczypliwość Geralda minęła się jednak z celem, gdyż Kizia z wdzięcznością chwyciła go za rękę wyciągniętą do niej dla żartu. Czuła się zbyt nieszczęśliwa, by połapać się w jego nastroju, co zwykle się jej udawało.

— Dobrze, dziękuję, kochany Jerry — odparła z wdzięcznością. — J e s t e ś naprawdę miły i p o s t a r a m się nie bać.

A Gerald przez dłuższą chwilę odczuwał ze wstydem, że był niezupełnie miły dla siostrzyczki.

Czwórka dzieci, pozostawiając za sobą narastającą złocistość dnia, zeszła po kamiennych stopniach wiodących do podziemnego i podwodnego przejścia. Otoczył je najpierw mrok, który wkrótce przemienił się w nędzne pozory światła, gdy wspaniałość świtu ustąpiła miejsca nikłym odbłaskom latarki rowerowej. Schody, jak się okazało, istotnie wiodły do przejścia, którego początek zapchany był zwiedłymi liśćmi gromadzącymi się tu od wielu jesieni. W pewnej odległości od tego miejsca był zakręt, potem znowu schody prowadzące jeszcze głębiej w dół, a później przejście było już puste i biegło w linii prostej, wyłożone u góry, u dołu i z boków płytami jasnego, czystego marmuru. Gerald wciąż trzymał Kizię za rękę, lecz ze znacznie większą troskliwością i mniejszą rozpaczą, niż mu się to zdawało możliwe. A Kizia ze swej strony stwierdziła, że boi się bez porównania mniej, niż się tego spodziewała.

Od płomienia w latarce padało słabe światło, tworząc w ciemnym przejściu błądy i mglisty krążek, za którym dzieci podążały w milczeniu. W pewnej chwili, wśród zupełnej ciszy i zupełnie nagle, światło latarki zbladło jak płomień świecy wyniesiony na słońce dla rozpalenia stosu, podpalenia lontu czy w innym podobnym celu. Teraz bowiem — z mieszanymi uczuciami zdumienia, podziwu i zaciekawienia, ale nie strachu — dzieci znalazły się w wielkiej sali, której łukowate sklepienie podtrzymywały dwa rzędy okrągłych kolumn i której wszystkie zakątki wypełniało łagodne, lecz przenikliwe, cudowne światło, docierając do każdej szczeliny, jak woda wypełnia skaliste tajniki ukrytych podmorskich jaskiń.

— Ach, jak tu pięknie! — szepnęła Kathleen, dysząc ciężko prosto w ucho swego brata. A Mabel chwyciła rękę Jimmy'ego i zawołała półgłosem:

— Muszę cię trzymać za rękę, muszę czegoś się trzymać, bo nie uwierzę inaczej, że to wszystko jest prawdziwe.

Albowiem sala, w której się dzieci znalazły, była najpiękniejszym miejscem na świecie. Nie będę jej opisywać, ponieważ jej wygląd każdemu wydaje się inny. Toteż nie moglibyście mnie zrozumieć, gdybym usiłowała opowiedzieć wam, jak widziało ją każde z czworga dzieci. Jedno jest pewne, że każdemu z nich sala ta wydawała się rzeczą doskonałą. Powiem tylko, że we wszystkich kierunkach rozciągały się wielkie łuki. Kathleen upatrywała w nich łuki mauretańskie, Mabel — tudorowskie, Gerald — normandzkie, a Jimmy — łuki gotyckie. (Jeżeli ktoś z was nie wie, co to oznacza, spytajcie waszego wujaszka, który zbiera starożytności, a on wam wytłumaczy; a może jakiś malarz narysuje dla was wszystkie odmiany łuków). A poprzez owe łuki widać było najrozmaitsze rzeczy, doprawdy najrozmaitsze.

W jednym ukazywał się ogród oliwny, gdzie para kochanków trzymała się za ręce, nad

nimi zaś świecił księżyc jak we Włoszech. Przez drugi łuk widać było wzburzone morze i statek płynący nieuleknie po jego wzburzonych falach. Trzeci łuk ukazywał króla na swym tronie otoczonego dworzanami. A przez czwarty widać było rzeczywiście doskonały hotel, przed którym na frontowych schodach opalał się szacowny Brzydał-Strachal. Widać było również matkę z niemowlęciem schyloną nad drewnianą kołyską. Był tam również artysta wpatrzony z przejęciem w namalowany przez siebie obraz, właśnie, jak się zdaje, przed chwilą ukończony: generał konający na pobojowisku, gdzie Zwycięstwo wbiło w ziemię umiłowany przez niego sztandar. A wszystko to były rzeczy najprawdziwiej prawdziwe, nie obrazy, ale rzeczy jak najbardziej żywe i nieśmiertelne.

Łuki stanowiły obramowanie dla wielu jeszcze innych obrazów. A wszystkie ukazywały jakąś chwilę, kiedy życie osiągało swój szczyt — najlepsze, co wymarzyć sobie mogła dusza człowieka lub co mógł przynieść ludzki los. A bardzo dobry hotel zajmował tu również swoje miejsce, ponieważ na świecie są istoty, które nie pragną w życiu niczego lepszego niż „bardzo dobry hotel”.

— Ach, jak się cieszę, żeśmy tu przyszli! — szepnęła Kathleen, trzymając swego brata mocno za rękę.

Dzieci posuwały się wolno wzdłuż sali, a niepozorna latarka rowerowa, którą wciąż trzymał Jimmy, wyglądała doprawdy bardzo ubogo, nieomal jak cień w porównaniu z potężnym, wspaniałym światłem.

A kiedy już dzieci doszły prawie do drugiego końca sali, dostrzegły wreszcie, gdzie jest źródło światła. Płonoło ono i rozchodziło się wkoło z jednego miejsca. A w miejscu tym stał jedyny posąg, o którym Mabel nie wiedziała, „gdzie go szukać” — posąg Psyche. Dzieci zbliżyły się powoli, pełne zachwytu i uszczęśliwione. A gdy podeszły zupełnie blisko do Psyche, zauważyły, że na jej uniesionej ręce ciemnym krążkiem rysuje się pierścień.

Gerald puścił rękę Kathleen, oparł nogę na podstawie cokołu. Następnie zaś stanął wyprostowany i ciemny przy białej, marmurowej dziewczynie o skrzydłach motyla.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz — powiedział i bardzo łagodnie zdjął pierścień z palca posagu. Po czym zeskoczył i będąc już na ziemi, dodał: — Nie tutaj! Nie wiem dlaczego, ale nie tutaj.

Następnie wszyscy czworo poszli poza biały posąg Psyche i rowerowa latarka nagle jakby ożyła. Trzymał ją teraz przed sobą Gerald i otwierał pochód wkraczający w ciemne przejście, w które zanurzyli się, wychodząc z sali... Nie, wtedy jeszcze nie wiedzieli, co to jest za sala.

A kiedy już zanurzyli się w krętym przejściu i otoczyła ich ciemność, którą ledwo rozświetlała latarka rowerowa, odezwała się Kathleen:

— Daj mi pierścień. Wiem teraz dokładnie, jakie wypowiedzieć życzenie.

Gerald z ociąganiem wręczył jej pierścień.

— Chcę — wypowiedziała wolno Kathleen — żeby nikt nie wiedział, że nas nie było tej nocy w domu, i chcę, żebyśmy leżeli bezpiecznie w naszych własnych łóżkach, rozebrani, w koszulach nocnych i spali.

Następną rzeczą, jaką cała czwórka spostrzegła, było zwyczajne, pocziwe światło białego dnia. Nie żaden wschód słońca, ale ten rodzaj światła dziennego, przy którym jest się zwykle budzonym. I wszyscy byli w swoich własnych łóżkach. Kathleen ujęła życzenie jak najbardziej rozsądnie. Jedynym błędem, jaki popełniła, było powiedzenie „w naszych własnych łóżkach”, ponieważ własne łóżko Mabel znajdowało się oczywiście w obrębie zamku. I po dziś dzień rozczochrana ciotka Mabel nie może zrozumieć, w jaki sposób jej siostrzenica — która spędzała noc z tą dziewczynką w mieście, którą się tak zachwycała, i nie wróciła do domu o jedenastej, kiedy ciotka zamknęła drzwi — znalazła się jednak rano w swoim łóżku. Chociaż bowiem ciotka nie była zbyt mądrą kobietą, nie była jednak na tyle głupia, by uwierzyć w którekolwiek z jedenastu dziwacznych wyjaśnień, jakimi roztargniona Mabel raczyła

ją w ciągu przedpołudnia. A pierwszym z tych tłumaczeń (co czyni razem dwanaście) była Prawda, a ciotka, oczywiście, była o wiele za sprytna, by w To uwierzyć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na zamku Yalding przypadał dzień zwiedzania i dzieci uznały to za doskonałą okazję do odwiedzenia Mabel i, jak wyraził się Gerald, do zmieszania się z tłumem bez budzenia żadnych podejrzeń i oglądania rzeczy im dobrze znanych, a o których tłum nie wiedział nic, nieświadomy tajemnic zamku z rozsuwającymi się boazeriami, czarodziejskim pierścieniem i ożywającymi posągami. Chyba jedną z najprzyjemniejszych rzeczy związanych z czarami jest uczucie, że się wie to, o czym inni nie tylko nie wiedzą, ale nawet gdyby się dowiedzieli, toby nie uwierzyli.

Na białej drodze przed bramą zamkową ciemną plamą odbijał się postój bryczek, wozów i psich zaprzęgów. Trzy czy cztery oczekujące samochody głucho warczały, a rowery leżały zrzucone na stos w trawiastym rowie ciągnącym się wzdłuż czerwonego muru z cegieł. A wszyscy ludzie, którzy przyjechali do zamku bryczkami, wózkami, zaprzęgami psimi, rowerami i samochodami, jak również ci, którzy tam przybyli na własnych nogach, rozproszyli się po wszystkich terenach zamkowych lub też oprowadzani byli po tych częściach zamku, które tego jednego dnia w tygodniu otwierano dla zwiedzających.

Zwiedzających było dzisiaj więcej niż zwykle, ponieważ w jakiś sposób rozeszła się pogłoska, że do zamku przyjechał lord Yalding i że z mebli będą pozdejmowane płócienne pokrowce, tak by bogaty Amerykanin, który zamierzał wydzierżawić zamek, żeby w nim zamieszkać, mógł go obejrzeć w całej jego okazałości.

Zamek istotnie miał wygląd wspaniały. Haftowane jedwabie, wytłaczane, złożone skóry i gobeliny, jakimi wybite były fotele i krzesła, ukryte do dzisiaj pod brunatnym płótnem, nadawały pokojom i salom przyjemny wygląd miejsca zamieszkanego. Na stołach i parapetach okiennych stały doniczki z kwitnącymi roślinami i wazony pełne róż. Ciotka Mabel zawsze szczyliła się dobrym smakiem w urządzaniu wnętrza i specjalnie przestudiowała serię artykułów w miejscowej gazecie o sztuce układania kwiatów w wazonach, zatytułowaną: „Jak uczynić mieszkanie wytwornym za dziewięć pensów na tydzień”.

Wielkie kryształowe zyrandole, uwolnione od okrywających je zazwyczaj białych zwójów płótna, jarzyły się wszystkimi kolorami tęczy. Z okazałych łoża zdjęto brunatne Iniane pokrycia, a czerwone sznury, utrzymujące zazwyczaj tłum w należytej odległości, zwinięto i zabrano.

— To zupełnie tak, jakbyśmy odwiedzali rodzinę — odezwała się córka kupca warzywnego z Salisbury do swej przyjaciółki, która była modystką.

— Jeżeli Jankes \* tego nie wynajmie — powiedział subiekt ze sklepu łokciowego do swojej narzeczonej — co byś powiedziała, gdybyśmy tutaj osiedli, jak się pobierzemy?

Ona zaś odparła:

— Ach, Reggie, co też ty wygadujesz! Jesteś o k r o p n i e śmieszny.

Całe popołudnie tłum ubrany świątecznie, w różowych, bluzkach i jasnych garniturach, w kwiecistych kapeluszach i nieprawdopodobnych szalikach, przesuwiał się przez ciemny hall, wspaniałe salony, buduary i galerie obrazów. Rozgadany tłum oniemiał z podziwu, gdy doszedł do pełnych ciszy, uroczystych sypialni, gdzie ludzie rodzili się i umierali, gdzie

\* Jankes — Amerykanin.

goście królewskich rodów sypiali niegdyś w letnie, noce przy stojących na kominku donicach z dzikim bzem, który miał chronić przed gorączką i rzucaniem uroku. Taras, na którym za dawnych czasów damy w sukniach z krezami wdychały zapach pnących róż i rosnącego niżej żywopłotu z bożego drzewka, damy o twarzach uróżowanych i upudrowanych, w sukniach z brokatu, przechadzały się, zamiatając ziemię trenami — ten taras rozbrzmiewał teraz stąpaniem grubych butów i stukotem pantofelków na wysokich obcasach, wybuchami głośnego śmiechu i rozgwarem głosów, które nie mówiły nic takiego, co dzieci chciałyby usłyszeć. Wszystko to zamaçało im ciszę zaczarowanego zamku i naruszało spokój czarodziejskiego ogrodu.

— To wcale nie jest takie zabawne — zauważył Gerald, gdy z okna kamiennej altany na końcu tarasu dzieci przyglądały się pstrokatemu tłumowi i słuchały głośnych wybuchów śmiechu. — Wścieka mnie, kiedy widzę tych wszystkich ludzi w naszym ogrodzie.

— Powiedziałam to samo temu miłemu rządcy nie dalej jak dziś rano — odparła Mabel, siadając na kamiennej posadzce. — A on powiedział mi na to, że jeżeli przychodzą tu tylko raz na tydzień, to bardzo niewiele. Powiedział jeszcze, że lord Yalding powinien im pozwolić przychodzić, kiedy tylko zechcą, i on sam, gdyby był lordem, tak by zarządził.

— Mądrała! — skrzywił się Jimmy. — A czy coś jeszcze powiedział?

— Mnóstwo różnych rzeczy — odpowiedziała Mabel. — Bardzo go lubię! Opowiedziałam mu...

— Niemożliwe!

— Owszem. Opowiedziałam mu bardzo dużo o naszych przygodach. Ten skromny rządcą jest świetnym słuchaczem.

— Zamkną nas wszystkich w domu wariatów, jeżeli drogie dziecię Mabel nie będzie panować nad swoją gadaniną.

— Nie zamkną nas! — zawołała Mabel. — Opowiedziałam całą historię — wiecie, w taki sposób, żeby każde słowo było prawdziwe, ale żeby nikt w to wszystko nie uwierzył. A kiedy skończyłam opowieść, rządcą powiedział, że mam prawdziwy talent literacki, i obiecałam mu, że umieszczę jego nazwisko na początku pierwszej książki, jaką napiszę, kiedy dorosnę.

— Nie znasz przecież jego nazwiska — zauważyła Kathleen. — A teraz lepiej zróbmy coś z pierścieniem.

— Nie da się! — zawołał Gerald. — Zapomniałem wam powiedzieć, że kiedy musiałem wrócić po podwiązki, spotkałem po drodze mademoiselle, która zapowiedziała, że przyjdzie tu do nas, a potem z nami wróci.

— A coś ty jej na to powiedział?

— Powiedziałem — odparł rzeczowo Gerald — że to będzie bardzo uprzejme z jej strony. Bo to prawda. To, że na nią nie czekamy, nie umniejsza jej uprzejmości.

— To może być bardzo uprzejme, ale i wściekle nudne — odparła Mabel. — Bo teraz będziemy pewnie musieli sterczeć tutaj i czekać na nią. A ja obiecałam, że się spotkamy z rządcą. Zapowiedział, że przyniesie koszyk smakołyków i urządzimy sobie z nim razem piknik.

— A gdzie?

— Za dinozaurem. Rządcą obiecał mi, że nam opowie o przed-poto-coś-tam zwierzętach, to znaczy przed Arką Noego. Było ich mnóstwo, poza dinozaurem. Obiecał to w zamian za to, że mu opowiedziałam te miłe opowiastki. Tak to nazwał.

— A kiedy to ma być?

— Jak tylko zamknie się bramę. To znaczy o piątej.

— Możemy zabrać z sobą mademoiselle — zaproponował Gerald.

— Ona okaże się pewnie za dumna, żeby jeść podwieczorek ze zwykłym rządcą. Nigdy nie wiadomo, co zrobią dorośli, kiedy im się zaproponuje najprostsze rzeczy. — Pogląd ten

wypowiedziała kategorycznym tonem Kathleen.

— W takim razie powiem wam, co zrobimy — powiedział Gerald, leniwie obracając się na kamiennej ławie. — Wy idźcie na spotkanie ze swoim rządcą. Piknik, to piknik, zwłaszcza umówiony. A ja zaczekam na mademoiselle.

Mabel zauważyła radośnie, że Gerald bardzo ładnie to rozstrzygnął, na co ten odparł skromnie:

— Och, drobiazg!

Jimmy wtrącił uwagę, że Gerald dosyć lubi nabierać ludzi na uprzejmość.

— Mali chłopcy nie rozumieją się na dyplomacji — odparł z całym spokojem Gerald. — Zwyczajne nabieranie jest po prostu głupotą. Ale być uprzejmym, to zawsze lepiej niż...

— Skąd wiesz? — spytał Jimmy.

— A poza tym — ciągnął jego starszy brat — nigdy nie wiadomo, kiedy dorośli mogą okazać się pożyteczni. I w dodatku l u b i ą t o. Więc trzeba przecież od czasu do czasu zrobić im jakąś małą przyjemność. Pomyślcie, jakie to musi być straszne, kiedy się jest starym. Dziękuję!

— Mam nadzieję — odezwała się Kathleen — że nie zostanę starą panną.

— A ja nie mam nawet najmniejszego zamiaru! — zawołała z przejęciem Mabel. — Gotowa byłabym wyjść za mąż za wędrownego druciarza.

— Jak to byłoby przyjemnie — mówiła Kathleen — wyjść za mąż za króla Cyganów i wędrować całym obozem, przepowiadając ludziom przyszłość i sprzedając koszyki i miotły.

— Ach, gdybym mogła wybierać! — zawołała Mabel. — Wyszłabym naturalnie za róbjnika, mieszkałabym w jego górskiej kryjówce w skale, byłabym dobra dla jego więźniów, pomagałabym im uciekać i...

— Byłabyś prawdziwym skarbem dla twojego męża — zauważył Gerald.

— Albo też — rozmyślała na głos Kathleen — dobrym mężem byłby marynarz. Czekałabym na powrót jego statku i zapalałabym lampę na górnym pięterku, żeby oświetlić mu drogę w czasie burzy. A gdyby zatonął w morzu, byłabym okropnie zrozpaczona i codziennie zanosiłabym kwiaty na jego grób.

— Tak — wtrąciła pośpiesznie Mabel. — Albo wyjść za mąż za żołnierza, a potem chodzić na wojnę w krótkiej spódniczce, w kapelusiku na bakier i z beczułką uwiązaną na szyi jak u psów z Góry Świętego Bernarda. Moja ciocia zna piosenkę o żonie żołnierza. Ta piosenka nazywa się „Markietanka”.

— Kiedy ja wyjdę za mąż... — zaczęła Kathleen.

— Kiedy ja się ożenię — rzekł Gerald — ożenię się z niemową albo też przy pomocy pierścienia zaczaruję ją, żeby nie odzywała się, tylko odpowiadała na pytania. A teraz zerknijmy okiem.

To mówiąc, przyłożył oko do kraty w balustradzie.

— Ludzie już wychodzą — powiedział. — Widać, jak różowe i czerwone kapelusze kiwają do siebie z daleka. A ten śmieszny człowieczek z kozią bródką idzie w przeciwną stronę niż wszyscy — ogrodnicy będą musieli go zawrócić. Ale nigdzie nie widać mademoiselle. Lepiej będzie, jak wy troje zwiejecie stąd. Nie ma sensu ryzykować z urządzaniem pikniku. Opuuszczony bohater naszej opowieści, samotny i pozbawiony wszelkiego oparcia, wezwał swych dzielnych towarzyszy, by dopędzili wędrującą karawanę, sam zaś pozostał na niebezpiecznym i najeżonym trudnościami posterunku, albowiem już od urodzenia przywykł stać na płonących pokładach, skąd wszyscy prócz niego umknęli, i podejmować utracone nadzieje ludzkości, gdy całą ludzkość ogarnęła rozpacz.

— Myślę — odezwała się Mabel — że wybiorę sobie na męża człowieka niemego i w moich książkach, kiedy je napiszę, nie będzie żadnych bohaterów, tylko bohaterka. Chodź, Kiziu.

Wyjście z chłodnej cienistej altany na blask słońca było jak wstąpienie do pieca,

kamienne flizy tarasu paliły wprost stopy.

— Wiem teraz, co to są tortury — zauważył Jimmy.

Przedpotopowe zwierzęta znajdowały się w brzozowym gaju na pagórku o dobre pół mili od zamku. Dziadek obecnego lorda Yaldinga umieścił je tam w połowie ubiegłego stulecia, za wielkich dni królowej Wiktorii, Światowej Wystawy w 1851 roku i Kryształowego Pałacu. Kamienne pawilony zwierzyńca, jego szerokie, szpetne skrzydła ciągnące się w różnych kierunkach i prostokątne ściany przeświecały szarością już z daleka pomiędzy drzewami.

Większość ludzi myśli, że południe jest najgorętszą porą dnia. Są w błędzie. Bezchmurne niebo staje się z każdą chwilą gorętsze przez całe popołudnie i upał osiąga swój szczyt o piątej. Jestem przekonana, że każde z was musiało to zauważyć, idąc dokądkolwiek na podwieczorek w najlepszym ubraniu, zwłaszcza jeżeli ubrania wasze są nakrochmalone, a droga jest długa i nigdzie wokoło nie ma cienia.

Kathleen, Mabel i Jimmy odczuwali upał coraz dotkliwiej i posuwali się coraz wolniej. Doszli już prawie do tego stanu zniecierpliwienia i niewygody, kiedy żałuje się, że się w ogóle poszło, gdy na skraju brzezinki zobaczyli białą chusteczkę, którą powiewał rządcą.

Chusteczka ta, mówiąca wyraźnie o podwieczorku, cieniu i możliwości usadowienia się na trawie, od razu dodała im ducha. Przyspieszyli kroku i po końcowym, rozpaczliwym biegu wylądowali wśród opadłych, miedzianorudych liści oraz nagich, szarozielonych korzeni brzoź.

— No, nareszcie! — zawołał Jimmy, rzucając się na ziemię. — Dzień dobry panu.

Rządcą, jak orzekły dziewczynki, wyglądał pięknie. Nie miał na sobie swego welwetowego ubrania, ale popielaty, flanelowy garnitur, jakiego nie powstydziliby się hrabia. Jego słomkowy kapelusz godny był księcia, a nawet następcą tronu nie nosiłby piękniejszego zielonego krawata. Rządcą gorąco powitał dzieci.

A na ziemi, pośród opadłych liści brzoź, znalazły się dwa koszyki wypełnione tak, że ledwo można je było unieść, i wielce obiecujące.

Rządcą był bardzo taktowny. Nie wspomniał nawet o pouczającym obejrzeniu w dzikim upale kamiennych bestii przedpotopowych, które widniały przed dziećmi, tracąc coraz więcej swojego czaru.

— Z pewnością pozasychało wam w gardle — powiedział rządcą — a kiedy zaspokoiacie pragnienie, będziecie także głodni. Postawiłem czajnik na ogniu, jak tylko z daleka dostrzegłem postać mojej pięknej powieściopisarki.

Czajnik dał znać o sobie kłębami pary i bulgotaniem dochodzącym spomiędzy dwóch szarych korzeni, gdzie stał na spirytusowej maszynie.

— Zdejmijcie buty i pończochy — doradził rządcą rzeczowym tonem, takim, jakim starsze panie proponują sobie nawzajem zdjęcie kapelusza. — Tam z drugiej strony zarośli ciągnie się płyciutki kanał.

Radość zanurzenia stóp w chłodnej płynącej wodzie po długiej wędrówce w upale jeszcze dotąd nie została opisana. A mogłabym na ten temat napisać całe strony. Kiedy byłam mała, pamiętam sadzawkę, w której pływały małe rybki i opadłe, wirujące w wodzie liście, a nad sadzawką pochylały się wierzby i olchy, utrzymując chłód wody, i... ale nie piszę teraz historii mojego życia.

Kiedy dzieci wróciły na wypoczętych, mokrych, zaczerwienionych nogach, herbata była już zrobiona i ponalewana, wspaniała herbata z taką ilością mleka, jakiej kto sobie życzył, przyniesionego w butelce po piwie z zakręcanym korkiem, leżały także poukładane ciastka, pierniki, śliwki i ogromny melon z dużym kawałkiem lodu w środku — podwieczorek dla bogów!

Taka myśl musiała zrodzić się w głowie Jimmy'ego, gdyż nagle powiedział, wyłaniając twarz z półkuliście wyjedzonego kawałka melona:

— Pana uczta jest prawie tak wspaniała jak uczta Nieśmiertelnych.

— Wyjaśnij swoją zawiłą aluzję — rzekł elegancki gospodarz.

A Jimmy, rozumiejąc, że gospodarz pyta: „Co chcesz przez to powiedzieć?” — zareagował całą opowieścią o cudownej nocy, kiedy to posągi ozywają i urządzają się bankiet nieziemskiej świetności i smakowitości, i gdy marmurowe dłonie zrywają owoce z drzew na wyspie pośrodku jeziora.

Kiedy skończył, rządcą zapytał:

— Czy wyczytałeś to w jakiejś książce?

— Nie — odparł Jimmy — to się naprawdę zdarzyło.

— Jesteście gromadką marzycieli o bardzo wybujałej wyobraźni, prawda? — spytał rządcą, podając śliwki Kathleen, uśmiechniętej przyjaźnie, lecz z zakłopotaniem. Dlaczego ten Jimmy nie potrafi trzymać języka za zębami?

— Nic podobnego — ciągnął uparcie niedyskretny chłopiec. — Wszystko, co panu opowiedziałem, zdarzyło się naprawdę, tak samo jak to wszystko, co panu opowiadała Mabel.

Rządcą miał wygląd nieco zakłopotany.

— No, dobrze, dobrze, przyjacielu — powiedział, po czym zapadła krótka a niemila cisza.

— Niech pan posłucha — odezwał się Jimmy, który zdawał się tym razem trafić we właściwy ton. — Czy pan mi wierzy, czy nie?

— Nie wygłupiaj się, Jimmy — szepnęła Kathleen.

— Bo jeżeli pan mi nie wierzy, to ja pana do tego z m u s z ę.

— Daj spokój! — zawołały jednocześnie Mabel i Kathleen.

— Więc wierzy pan czy nie? — nalegał Jimmy, rozciągnięty przed rządcą, brodę oparł na rękach, łokcie na miękkim mchu, a bosymi nogami rozrzucał liście brzoź.

— Myślę — rzekł ostrożnie rządcą — że te przygody opowiadasz wprost znakomicie.

— Więc dobrze! — zawołał zrywając się nagle Jimmy. — Pan mi nie wierzy. Nic nie mów, Kiziu! To jest dżentelmen, nawet jeśli jest tylko rządcą.

— Dziękuję ci — odparł rządcą, z lekka mrużąc oczy.

— Pan nie powtórzy, prawda? — nalegał Jimmy.

— Czego nie mam powtórzyć?

— A n i s ł o w a.

— Pewnie, że nie. Jestem, jak powiadacie, wcieleniem honoru.

— W takim razie... Kizia, daj mi pierścień.

— O, n i e! — zawołały jednocześnie dziewczynki.

Kathleen nie miała zamiaru oddawać pierścienia. Mabel była pewna, że Kathleen nie powinna tego robić. A Jimmy z całą pewnością nie użyłby siły. A jednak pierścień znalazł się w jego dłoni. Albowiem Jimmy miał swoją godzinę. Na każdego przychodzi taki czas, że kiedy mówi, że coś powinno być zrobione — zostaje to zrobione.

— A teraz niech pan uważa — zaczął Jimmy. — To jest ten pierścień, o którym panu mówiła Mabel. A ja twierdzę, że to jest pierścień spełniający życzenia. I jeżeli pan włoży go sobie na palec i wypowie życzenie — każde pana życzenie się spełni.

— Czy mam powiedzieć życzenie na głos?

— Chyba tak.

— Tylko niech pan nie życzy sobie nic niemądrego — wtrąciła Kathleen, starając się ratować sytuację. — Na przykład, żeby była pogoda na wtorek albo żeby jutro na obiad dostał pan ulubioną leguminę. Niech pan życzy sobie czegoś, czego pan naprawdę pragnie.

— Dobrze — zgodził się rządcą. — Będę sobie życzył jedynej rzeczy, której chcę naprawdę. Życzę sobie, żeby moja... dobra znajoma znalazła się tutaj.

Trójka dzieci znając potęgę pierścienia, rozglądała się wkoło, by wypatrzeć zjawienie się znajomej rządcy. Będzie to z pewnością osoba bardzo zdziwiona, a może i przerażona.

Cała trójka stała w pogotowiu, aby uspokoić nowo przybyłą i rozwiać jej lęk. Lecz w lasku nie zjawił się nikt zdumiony i oszołomiony, a zamiast tego, idąc spokojnie w cieniu brzoź, po ścieżce na przemian nasłonecznionej i zacienionej, ukazali się mademoiselle i Gerald. Mademoiselle, w białej sukni, wyglądała pięknie jak na obrazku, a Gerald był spocony i uśmiechnięty.

— Dzień dobry — rzekł nieulękły przywódca utraconych nadziei. — Namówiłem mademoiselle...

Zdanie to jednak miało na zawsze pozostać nie dokończone. Albowiem rządca i francuska guwernantka wpatrywali się w siebie oczami zmęczonych podróżników, którzy wcale się tego nie spodziewając, odnaleźli upragniony kres bardzo długiej podróży. A dzieci zrozumiały, że nawet gdyby któreś z nich coś powiedziało, nie miałoby to żadnego znaczenia.

— P a n i! — zawołał rządca.

— Mais... c'est donc vous \*! — szepnęła mademoiselle dziwnie zdławionym głosem.

Obydwoje stali i wpatrywali się w siebie nawzajem przez bardzo długi czas „jak zdziwione świnki”, jak powiedział później Jimmy.

— Czy to jest ta pana dobra znajoma? — spytał Jimmy.

— Tak! O, tak! — odpowiedział rządca. — Pani jest przecież moją dobrą znajomą, prawda?

— Ależ tak — odparła mademoiselle łagodnie. — Jestem pana dobrą znajomą.

— No więc właśnie — zawołał Jimmy. — Sam pan widzi, że pierścień spełnia, czego się od niego zażąda.

— Nie będziemy się o to spierać — odparł rządca. — Dla ciebie to jest dzieło pierścienia. A dla mnie to przypadek, najszcześniejszy, najmiłszy.

— Wobec tego pan?... — zaczęła francuska guwernantka.

— Oczywiście — potwierdził rządca. — Jimmy, poczęstuj swego brata herbatą. A my, mademoiselle, przejdźmy się trochę po lasku: mamy sobie tysiąc rzeczy do powiedzenia.

— No więc, zabieraj się do jedzenia, Geraldzie — odezwała się mademoiselle, młodociana teraz i zdumiewająco podobna do zaczarowanej królowej. — Będę tu za godzinę i wtedy wrócimy razem. Chodzi o to, że musimy z sobą porozmawiać. Już bardzo dawno nie widzieliśmy się z lordem Yaldingiem, prawda?

— Więc to był przez cały czas lord Yalding?! — zawołał Jimmy, przerywając pełne zdumienia milczenie, gdy biała suknia i popielaty garnitur znikły pomiędzy pniami brzoź. — Powiada, że maluje krajobrazy! Nie bardzo pomysłowa sztuczka, powiedziałbym, że po prostu głupia. I pomyśleć, że ona jest jego przyjaciółką i że on tak bardzo chciał ją tutaj zobaczyć! No, bo przecież nie my, co? Pocziwy, stary pierścień!

— Przyjaciółka! — zawołała Mabel z nieopisaną pogardą. — Czy wy nie rozumiecie, że to jest jego ukochana? Nie rozumiecie, że ona jest właśnie tą damą, którą zamurowano w klasztorze, ponieważ była za biedna dla niego, i on nie mógł jej odszukać. A teraz dzięki pierścieniowi będą sobie żyli szczęśliwie do końca życia. Ach, jak się cieszę! A ty, Kiziu, nie cieszysz się?

— Owszem — odparła Kathleen. — To jest tak samo przyjemnie jak wyjść za mąż za marynarza czy bandytę.

— Tak, wszystko to sprawił pierścień — rzekł Jimmy. — A jeżeli Amerykanin wydzierżawi pałac, będzie musiał płacić ogromny czynsz i oni będą mogli sobie żyć wygodnie za te pieniądze.

— Ciekawa jestem — odezwała się Mabel — czy pobiorą się jutro?

— Jakie to byłoby zabawne — dodała Kizia — gdybyśmy byli druhnami.

— Czy mogę cię poprosić o kawałek melona? — powiedział Gerald. — Dziękuję!

\* Mais..., c'est donc vous! (franc.) — Ależ... to przecież pan!



Dlaczego nie domyśliśmy się od początku, że to jest lord Yalding? Tacy jesteśmy głupi i ślepi!

— Ja wiedziałam od wczorajszego wieczoru — powiedziała spokojnie Mabel. — Obiecałam tylko, że nic nikomu nie powiem. P o t r a f i ę dochować tajemnicy, prawda?

— Aż zanadto — odparła Kathleen, nieco nadażana.

— Przebrany był za rządcę — powiedział Jimmy — i dlatego nie domyśliśmy się.

— Przebrany za Bóg wie co — dodał Gerald. — Cha-cha! Widzę tu coś, czego stary Sherlock Holmes nigdy by nie zauważył ani też ten idiota Watson. Jeśli chce się mieć naprawdę nieprzeniknione przebranie, należy się przebrać za to, czym się rzeczywiście jest. Zapamiętam to sobie.

— To zupełnie jak Mabel opowiadająca rzeczy, w które nikt nie może uwierzyć — wtrąciła Kizia.

— Myślę, że mademoiselle wygrała wielki los na loterii — rzekła Mabel.

— Ona jest całkiem przyjemna. Mogłaby być dużo gorsza — powiedział Gerald. — Proszę o śliwki.

\*

Czary najwyraźniej działały. Nazajutrz rano mademoiselle była zupełnie inną guwernantką. Policzki miała różowe, usta czerwone, oczy większe i bardziej błyszczące, a włosy uczesała w jakiś zupełnie nowy sposób, dosyć frywolny i bardzo twarzowy.

— Mamzel wychodzi! — skostatowała Eliza.

Zaraz po śniadaniu lord Yalding zajechał elegancką bryczką obitą pięknym niebieskim materiałem i zaprzęzoną w parę koni o błyszczącej, kasztanowatej sierści, wyglądającej jeszcze bardziej elegancko niż sama bryczka z jej niebieskim obiciem. Po czym całe towarzystwo wyruszyło z wielką paradą w kierunku zamku Yalding.

Kiedy już byli na miejscu, dzieci podniosły wrzask, żeby pozwolono im na dokładne zwiedzenie zamku, czego dotąd nigdy nie mogły uczynić. Lord Yalding, trochę roztargniony, lecz mimo to bardzo serdeczny, wyraził swą zgodę. Mabel oprowadzała dzieci, pokazując im tajemne drzwiczki oraz ukryte przejścia i schody, które ona sama zdążyła już odkryć. W rezultacie poranek był niezwykle udany, chociaż lord Yalding i mademoiselle udali się na zwiedzanie zamku dosyć niechętnie. Wkrótce też powiedzieli, że są zmęczeni i wyszli przez balkonowe drzwi salonu, przeszli przez rozarium i usiedli na wyżłobionej w kamieniu ławce pośrodku gąszczu żywopłotów, gdzie niegdyś, na samym początku, Gerald, Kathleen i Jimmy znaleźli Śpiącą Królową, wystrojoną w różowe jedwabie i brylantowe klejnoty.

Dzieci doszły do wniosku, że będą miały większą swobodę, jeśli pójdą na lewo i przystąpiły do badania lewego zamkowego skrzydła z niebywałym wprost zapałem. I właśnie w chwili gdy wydostali się po wąskich, skrzypiących tajemnych schodkach, które prowadziły z garderoby, stanowiącej część głównych apartamentów, do wielkiej galerii otaczającej hall — znaleźli się nagle twarzą w twarz z dziwnym, małym człowieczkiem z kozią bródką, który wczorajszego wieczoru zmylił drogę.

— W tej części zamku są prywatne apartamenty — oświadczyła Mabel z wielką przytomnością umysłu. Po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

— Wiem o tym — odparł obcy pan z kozią bródką — ale hrabia Yalding pozwolił mi zwiedzać cały zamek według mego uznania.

— A! — zawołała Mabel. — W takim razie przepraszam. Nie wiedzieliśmy o tym. Bo my także zwiedzamy zamek.

— Jesteście, jak przypuszczam, krewnymi jego lordowskiej mości? — spytał kozia bródka.

— Niezupełnie — wyjaśnił Gerald. — Raczej dobrymi znajomymi.

Obcy był szczupły i bardzo starannie ubrany: miał małe, lecz wesołe oczy, a twarz

pociągła i śniada.

— Pewnie bawicie się w jakąś zabawę? — zapytał.

— Nie, proszę pana — odpowiedział Gerald — tylko zwiedzamy i badamy.

— Czy ktoś obcy może zaproponować, że zostanie członkiem waszej wyprawy badawczej? — spytał człowieczek, rozchylając wargi w wątlym, lecz przyjaznym uśmiechu.

Dzieci spojrzały po sobie.

— Widzi pan — odparł Gerald. — To dosyć trudno wytłumaczyć, ale... pan z pewnością rozumie, co mam na myśli...

— On ma na myśli — wtrącił się Jimmy — że nie możemy pana przyjąć do naszej wyprawy badawczej, dopóki nie dowiemy się, w jakim celu chce się pan do nas przyłączyć.

— Czy pan jest fotografem? — spytała Mabel. — A może jakaś gazeta wysłała pana, żeby opisać zamek?

— Rozumiem, o co wam chodzi — odpowiedział malutki pan. — Nie jestem fotografem ani nie wysłała mnie żadna gazeta. Jestem człowiekiem niezależnym materialnie, a podróżuję po tym kraju z zamiarem wynajęcia sobie rezydencji. Nazywam się Jefferson D. Conway.

— Ach! — wykrzyknęła Mabel. — W takim razie pan jest tym amerykańskim milionerem!

— Nie lubię tego określenia, panienczko — powiedział pan Jefferson D. Conway. — Jestem obywatelem amerykańskim i mam pewne środki pieniężne. I to wszystko. Widzę, że to jest piękna posiadłość, naprawdę wspaniała. I gdyby była na sprzedaż...

— Nie jest i nie może być — pośpieszyła z wyjaśnieniem Mabel. — Prawnicy wpisali to w specjalnym paragrafie, więc lord Yalding nie może sprzedać swojego zamku. Ale pan mógłby zamieszkać w nim i płacić lordowi spory milionerski czynsz, a wtedy lord mógłby ożenić się z francuską guwernantką...

— Tsss! — zawołali jednocześnie Kathleen i pan Jefferson D. Conway, po czym pan Conway dodał: — Może panienka nas poprowadzi, dobrze? I proponowałbym ze swej strony, by ta wyprawa badawcza była jak najbardziej konkretna i dokładna.

Zachęcona w ten sposób Mabel oprowadziła milionera po całym zamku. Zdawał się być zadowolony, a mimo to zarazem rozczarowany.

— Rezydencja jest rzeczywiście wspaniała — powiedział wreszcie, kiedy wrócili do miejsca, skąd rozpoczęli zwiedzanie. — Ale ja spodziewałem się, że w budowli takich rozmiarów muszą być jakieś tajemne schody albo sekretna kryjówka, albo też jakiś duch!

— Owszem, są — odparła lakonicznie Mabel. — Ale ja myślałam, że Amerykanie nie wierzą w nic poza techniką i gazetami. — Dotknęła sprężyny ukrytej za boazerią, przy której stała, i oczom Amerykanina ukazały się wąziutkie schody. Widok ich spowodował w nim zadziwiające przeobrażenie. Stał się ochoczy, żywy, pełen zapału.

— Patrzcie no! — wykrzykiwał raz po raz, stojąc w drzwiach prowadzących z garderoby do wspaniałej sypialni. — Ależ to nadzwyczajne, to po prostu nadzwyczajne!

Wszyscy byli teraz pełni nadziei. Zdawało się rzeczą nieomal pewną, że zamek zostanie wydzierżawiony, a czynsz będzie milionerski i lord Yalding stanie się człowiekiem zamożnym, czyli będzie mógł się ożenić.

— Gdyby tu jeszcze był jakiś duch ukryty w tej starożytnej budowli, spisałbym umowę z hrabią Yalding nawet dzisiaj — ciągnął pan Jefferson D. Conway.

— Gdyby pan został tutaj do jutra i spał w tym pokoju — rzekła Mabel — to spodziewam się, że zobaczyłby pan ducha.

— A więc j e s t tutaj jakiś duch? — zawołał radośnie Amerykanin.

— Ludzie mówią — odparła Mabel — że stary lord Rupert, któremu ścięto głowę za czasów Henryka VIII \*, przechadza się tu po nocy z głową pod pachą. Ale myśmy go nie

\* Henryk VIII — król angielski, żył w latach 1491—1547.

widzieli. Za to widzieliśmy jakąś damę w różowej sukni i z brylantami we włosach. W rękę trzymała zapaloną świeczkę — dodała pośpiesznie Mabel, a pozostałe dzieci, uświadomiwszy sobie nagle plan Mabel, pośpieszyły zapewnić Amerykanina, z akcentem najszczerzej prawdy w głosie, że oni również widzieli damę w różowej sukni.

Pan z kozią bródką przyglądał się im półprzymkniętymi i zmrużonymi oczyma.

— W takim razie — powiedział — mam zamiar prosić hrabiego Yaldinga, by pozwolił mi spędzić noc w wielkiej sypialni swoich przodków. I jeżeli usłyszę choćby jeden krok widma czy też choćby jedno westchnienie ducha — wynajmuję zamek.

— Ach, jak się cieszę! — zawołała Kizia.

— Zdaje się, że jesteście bardzo pewni tego swojego ducha — rzekł Amerykanin, wciąż wpatrując się w nich swymi małymi, błyszczącymi oczyma. — Otóż pragnę wam oświadczyć, moi młodzi przyjaciele, że mam zawsze przy sobie rewolwer i kiedy widzę ducha — strzelam.

Wydobył z tylnej kieszeni spodni rewolwer i wpatrzył się weń z lubością.

— Jestem dość przeciętnym, ale niezłym strzelcem — ciągnął idąc po lśniącej posadzce wspaniałej sypialni i podchodząc do otwartego okna. — Czy widzicie tam tę czerwoną różę, wielką jak spodeczek?

Owszem, widzieli.

W następnej chwili głośny huk przerwał panującą ciszę, a czerwone płatki rozszarpanej róży pokryły taras i balustradę.

Amerykanin przyjrzał się po kolei dzieciom. Twarze wszystkich były białe jak papier.

— Jefferson D. Conway — oświadczył — zrobił swój mająteczek dzięki bacznemu pilnowaniu swych interesów i mając oczy na wszystko otwarte. Dziękuję wam bardzo za waszą uprzejmość.

\*

— Przypuśćmy, że ty byś to urządziła i on by ciebie postrzelił! — zawołał wesóło Jimmy. — To b y b y ł a dopiero przygoda, prawda?

— A właśnie, że to zrobię — odparła Mabel, blada, ale wyzywająca. — Chodźmy odszukać lorda Yaldinga i zabrać z powrotem pierścień.

Lord Yalding odbył rozmowę z ciotką Mabel i do obiadu nakryto na sześć osób w wielkim, ciemnym hallu pośród stojących tam zbroi i ciężkich, dębowych mebli. Znakomity obiad podano na srebrnych półmiskach. Mademoiselle, która z każdą chwilą stawała się coraz młodsza i bardziej podobna do królowny, wzruszyła się do łez, kiedy Gerald wstał ze szklanką lemoniady w ręku i wznosił toast za zdrowie „lorda i lady Yalding”.

Kiedy lord Yalding w odpowiedzi podziękował, wygłaszając mowę naszpikowaną zabawnymi dowcipami, chwila wydała się Geraldowi sposobną, toteż odezwał się:

— Ten pierścień, pan wie... w który pan nie wierzy, ale my wierzymy... czy możemy go dostać z powrotem?

Dzieci dostały pierścień.

Nieco później po pośpiesznej naradzie, która odbywała się w skarbcu z boazerią, Mabel powiedziała:

— Oto jest pierścień spełniający życzenia i życzę sobie, aby wszelka broń Amerykanina znalazła się tutaj.

W tej samej chwili cały pokój na sześć stóp wysoki napełnił się całym mnóstwem broni: mieczów, włóczni, strzał, tomahawków, flowerów, rusznic, pistoletów, rewolwerów, zakrzywionych szabel tureckich, malajskich krisów — wszelkiego rodzaju broni, jaką tylko można sobie wyobrazić. I czworo dzieci tkwiących w samym środku tych narzędzi śmierci ledwo miało odwagę oddychać.

— On najwidoczniej kolekcjonuje broń — rzekł Gerald — a strzały są na pewno zatrute.

te. Na miłość boską, Mabel, wypowiedz życzenie, żeby to wszystko wróciło tam, skąd pochodzi, a potem spróbuj jeszcze raz.

Mabel wyraziła życzenie, aby broń znikła, i w tym samym momencie czwórka dzieci stała sobie bezpiecznie w pustym, wyłożonym boazerią pokoju. Ale...

— Nie — odparła Mabel — mam tego dość. Sprawę ducha załatwimy inaczej. Życzę sobie, żeby Amerykanin myślał, kiedy będzie w łóżku, że widzi ducha. Lord Rupert z głową pod pachą będzie w sam raz pasował.

— Czy to tej nocy on tu będzie spał?

— Tego nie wiem. Ale chciałabym, żeby widział lorda Ruperta co noc. To byłoby wspaniałe.

— Raczej głupie — odparł Gerald. — Ale jak dowiemy się, czy on zobaczył lorda Ruperta, czy nie?

— Dowiemy się z rana, kiedy będzie rozmawiał o wynajęciu zamku.

Kiedy już ta sprawa została rozstrzygnięta, okazało się, że ciotka Mabel spragniona jest jej towarzystwa, reszta dzieci poszła więc do domu.

Siedzieli właśnie przy kolacji, gdy nagle zjawił się lord Yalding i powiedział:

— Pan Jefferson Conway chce, żebyście wy, chłopcy, spędzili z nim noc w wielkiej sypialni zamkowej. Więc kazałem tam wstawić łóżka. Chyba nie macie nic przeciwko temu. Mam wrażenie, że on was podejrzewa o zamiar urządzenia mu jakiejś sztuczki z duchami.

Trudno było odmówić, tak trudno, że odmowa była wprost niepodobieństwem.

O godzinie dziesiątej obydwaj chłopcy znaleźli się w wąskich, białych łóżeczkach, które robiły wrażenie absurdalnie małych w tej wysokiej, posępnej komnacie i w sąsiedztwie olbrzymiego, wspaniałego łoża z baldachimem wspartym na czterech słupach i zwieńczonym u góry żałobnie wyglądającym pękiem piór.

— Mam nadzieję, że nie ma tu p r a w d z i w e g o ducha — szepnął Jimmy.

— Mało prawdopodobne — odszepnął Gerald.

— Kiedy ja nie chcę widzieć ducha lorda Ruperta z głową pod pachą — upierał się Jimmy.

— Nie zobaczysz. Co najwyżej zobaczysz, że go widzi milioner. Mabel powiedziała, że on go ma zobaczyć, a nie my. Najprawdopodobniej prześpisz całą noc i nic nie zobaczysz. Zamknij oczy, policz do miliona i nie bądź głupi!

Ale Gerald w swych obliczeniach nie wziął pod uwagę Mabel i pierścienia. Skoro tylko Mabel dowiedziała się od swojej rozkochanej ciotki, że istotnie tej nocy pan Jefferson D. Conway będzie spał w zamku, pośpieszyła z dodatkowym życzeniem, „żeby lord Rupert ze swoją głową pod pachą ukazał się tej nocy w wielkiej sypialni”.

Jimmy zamknął oczy i zaczął liczyć do miliona. Ale zanim doliczył, zasnął. Zasnął także jego brat.

Zbudził ich rozbrzmiewający głośnym echem strzał rewolwerowy. Każdy z nich pomyślał o strzale oddanym tego ranka i otwierając oczy, spodziewał się ujrzeć zalany słońcem taras i płatki czerwonej róży rozsypane na rozgrzanych flizach.

Zamiast tego ujrzeli ciemną, przestronną komnatę, słabo oświetloną przez sześć wysokich świec. Pośrodku komnaty stał Amerykanin w spodniach i koszuli, z dymiącym rewolwerem w ręku. A dalej widniała sunąca od drzwi garderoby postać w kaftanie i krótkich spodniach, z krezą wokół szyi, ale — bez głowy! A ściśle mówiąc, ta głowa była, ale znajdowała się pod prawym ramieniem postaci, przytrzymywana mocno ręką przyodzianą w bufiasty rękaw kaftana. Twarz wyzierająca spod ramienia uśmiechała się bardzo przyjemnie. Przykro mi to stwierdzić, lecz obydwaj chłopcy wrzasnęli. Amerykanin strzelił jeszcze raz. Kula przebiła pierś lorda Ruperta, który jednak dalej posuwał się naprzód, jakby tego wcale nie zauważył.

Wtem nagle światła pogasły. A gdy chłopcy znowu otworzyli oczy — był już poranek.

Szare światło dnia blado prześwitywało przez wysokie okna, deszcz wściekle uderzał o szyby, Amerykanin zaś znikł.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytał Jimmy, siadając na łóżku ze zwichrzonymi włosami i rozglądając się wokół siebie. — Ach, już sobie wszystko przypominam. Ależ to było okropne! Mam już powyżej uszu tego pierścienia, tyle ci mogę powiedzieć.

— Nic podobnego — odparł Gerald. — Mnie to się bardzo podobało. I nic a nic się nie bałem. A ty?

— Nie — powiedział Jimmy — ja też się nie bałem.

\*

— Sztuczka nam się udała — oświadczył później Gerald, kiedy się dowiedzieli, że Amerykanin zjadł wcześniej śniadanie z lordem Yaldingiem i pojechał pierwszym pociągiem do Londynu. Amerykanin pojechał, żeby pozbyć się tamtejszego swojego domu i wynająć zamek. Pocziwe pierścienisko zaczyna być naprawdę pożyteczne.

\*

— Może teraz uwierzy pan w pierścień — zwrócił się Jimmy do lorda Yaldinga, spokawszy go później w galerii obrazów. — Ten duch, którego zobaczył pan Jefferson, to nasza robota. Powiedział nam, że wydzierżawi zamek, jeżeli zobaczy ducha, więc oczywiście postaraliśmy się, żeby tego ducha zobaczyć.

— Ach, tak, to wyście się postarali? — rzekł lord Yalding z jakimś dziwnym akcentem w głosie. — W takim razie jestem wam niezmiernie wdzięczny.

— Ach, nie ma o czym mówić — odpowiedział uprzejmie Jimmy. — Myślałem tylko, że pan będzie zadowolony, a także i Amerykanin.

— Może was w takim razie zainteresuje wiadomość — powiedział lord Yalding, trzymając ręce w kieszeniach i wpatrując się z góry w niego — że pan Jefferson D. Conway był tak zachwycony waszym duchem, że wyciągnął mnie z łóżka dzisiaj o szóstej rano, żeby o tym pomówić.

— Świetnie! — zawołał Jimmy. — I co powiedział?

— Powiedział, o ile sobie przypominam — odparł lord Yalding nadal tym samym nieco dziwnym głosem — powiedział: „Drogi lordzie, zamek pańskich przodków jest pierwsza klasa. Można powiedzieć Sam Szczyt. Urządzenie pałacu jest luksusowe, a ogrody nie ustępują ogrodom Edenu. Wyobrażam sobie, że nie oszczędzono tu żadnych wydatków. Pańscy przodkowie najwidoczniej lubili wszystko robić na wielką skalę. I urządzili tę rezydencję, jak należy, aż do najdrobniejszych szczegółów. Podobają mi się pańskie gobeliny, podobają mi się dębowe meble i podobają mi się utajone schody. Ale wydaje mi się, że pańscy przodkowie powinni byli tym się zadowolić i na tym poprzestać”.

Powiedziałem mu na to, że o ile wiem, tak właśnie uczynili. On zaś pokręcił głową i ciągnął dalej: „Nie, drogi lordzie. Pańscy przodkowie odbywają nocne przechadzki, trzymając swe głowy pod pachą. Pogodziłbym się z duchem, który wzdycha, przesuwając się czy szeleści; nawet podziękowałbym panu za to i odpowiednio podwyższył czynsz. Ale duch, przez którego przechodzą kule, podczas gdy on stoi zadowolony, z szyją, nad którą nic nie ma, i z głową trzymaną pod pachą, kiedy mali chłopcy wrzeszczą ze strachu i mdleją w swoich łóżkach — nie! Powiem tylko tyle: jeżeli taki jest dziedziczny angielski rodzinny duch wysokiej klasy, to bardzo przepraszam! Mnie tu nie ma!”, i wyjechał najbliższym pociągiem.

— A to ci historia — szepnął oszołomiony Jimmy. — Strasznie mi przykro i naprawdę nie zdaje mi się, żeśmy pomdleli. A poza tym myśmy myśleli, że to będzie właśnie to, czego pan chce. Ale może jeszcze kto inny wynajmie zamek.

— Nie wiem o nikim dostatecznie na to bogatym — odparł lord Yalding. — Pan Conway przyjechał o jeden dzień wcześniej, niż zapowiedział, inaczej w ogóle byście go nie

spotkali. A co do tej sztuczki, to nie wiem, jak ją urządziliście, i wcale nie chcę wiedzieć. Powiem tylko, że była bardzo głupia.

Zapadła posepna cisza. Tylko deszcz bębnił o szyby wysokich okien.

— Proszę pana — Jimmy spojrzał na lorda Yaldinga, a jego okrągłą twarz rozświetlił błysk jakiegoś nowego pomysłu. — Proszę pana, jeżeli pan jest tak przyciśnięty do muru, to dlaczego nie sprzedaje pan swoich klejnotów?

— Nie mam żadnych klejnotów! A w ogóle to najlepiej nie wtrącać się do cudzych spraw, smarkaczu! — zawołał lord Yalding, bardzo zagniewany; wyjął ręce z kieszeni i zaczął się oddalać.

— Myślę o klejnotach w pokoju z boazerią i gwiazdami na suficie — nalegał Jimmy, pośpieszając za lordem.

— Tam nic nie ma — odpowiedział lakonicznie lord Yalding. — A jeżeli to ma być jakaś nowa bzdura z pierścieniem, to radzę ci uważać, młodzieńcze. Mam już tego zupełnie dosyć.

— To nie ż a d n a bzdura z pierścieniem — upierał się Jimmy. — Tam jest pełno półek z mnóstwem przepięknych rodzinnych klejnotów. Pan może je sprzedać i...

— Ach, n i e! — zawołała mademoiselle, zjawiając się niczym obraz księżniczki w drzwiach galerii. — Proszę nie sprzedawać rodzinnych klejnotów!

— Nie ma żadnych klejnotów, droga pani — odparł lord Yalding kierując się w jej stronę. — Myślałem, że już pani nie przyjdzie.

— Jak to: nie ma? — wykrzyknęła Mabel, która weszła tuż za mademoiselle. — Chodźmy tam, to sam się pan przekona.

— Rzeczywiście chodźmy zobaczyć, co oni nam pokażą! — zawołała z kolei mademoiselle, gdyż lord Yalding nie ruszył się z miejsca. — To będzie w każdym razie zabawne.

— O, tak — potwierdził Jimmy.

Ruszyli więc, przy czym Mabel i Jimmy wskazywali drogę, a mademoiselle i lord Yalding szli za nimi, trzymając się za ręce.

— Znacznie bezpieczniej jest trzymać się za ręce — powiedział lord Yalding. — Kiedy ma się do czynienia z tymi dziećmi, nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Byłoby niewątpliwie rzeczą ciekawą opisać uczucia lorda Yaldinga, gdy tak szedł za Mabel i Jimmym przez sale zamku swych przodków, niestety, nie mam sposobu poznania jego uczuć. W każdym razie na pewno coś odczuwał: może oszołomienie z pewną domieszką zdziwienia i mimowolnym pragnieniem, by się uszczypnąć i przekonać, że to nie jest sen. A może rozważał dwa sprzeczne pytania: „Czy to ja zwariowałem?” i „Czy oni powariowali?”, nie mając przy tym możliwości rozstrzygnięcia, na które pytanie powinien szukać odpowiedzi, nie mówiąc już o znalezieniu właściwej odpowiedzi na każde z tych pytań. Bo jak wiecie, dzieci zdawały się święcie wierzyć w dziwaczne historie opowiadane przez siebie, a poza tym życzenie istotnie s i ę s p e ł n i ł o i duch istotnie s i ę u k a z a ł. Toteż lord musiał myśleć... ale to są już próżne dociekania. W g r u n c i e r z e c z y o tym, o czym lord myślał, wiem tyle co wy.

Nie potrafię także nic wam powiedzieć o myślach i uczuciach mademoiselle. Wiem tylko, że czuła się bardzo Szczęśliwa, ale to poznałby każdy, kto spojrzałby na jej twarz. Poza tym myślę, że teraz nadeszła odpowiednia chwila, by wyjaśnić, że kiedy jej opiekun umieścił

ją w klasztorze, aby nie poświęciła swego majątku przez wyjście za mąż za ubogiego lorda, opiekun ten ulotnił się z całym jej majątkiem i uciekł do Ameryki Południowej. Wówczas mademoiselle, znalazłszy się bez grosza, musiała sama zarabiać na siebie. Została guwernantką i postarała się, by pracować w szkole położonej niedaleko siedziby lorda Yaldinga. Chciała go widywać, jakkolwiek myślała, że się jej wyrzekł i że już jej nie kocha. I teraz właśnie go zobaczyła. Dlatego też przypuszczam, że rozmyślała właśnie o tych wszystkich sprawach, kiedy trzymając się za ręce szli przez sale zamkowe. Ale, oczywiście, pewna tego nie jestem.

Myśli Jimmy'ego potrafiłabym naturalnie odczytać jak otwartą książkę. „Teraz będzie musiał nam uwierzyć” — kołowało mu wciąż w głowie. Pragnienie, by lord Yalding uwierzył mu, stało się dla Jimmy'ego w sposób zupełnie bezsensowny najważniejszą rzeczą na świecie. Pragnął, aby Gerald i Kathleen byli tutaj i podzielili jego zwycięstwo, oni jednak pomagali ciotce Mabel w nakładaniu pokrowców na wszystkie wspaniałe meble i dlatego nie mogli brać udziału w tym, co się tu działo. Inna sprawa, że niewiele stracili. Gdy bowiem Mabel oświadczyła dumnie: „A teraz zobaczycie”, i reszta towarzystwa zebrała się w wyłożonym boazerią pokoju, nastąpiła cisza, a potem — nic się w ogóle nie zdarzyło.

— Tu gdzieś jest ukryta sprężyna — powiedziała Mabel, obmacując boazerię palcami, które nagle stały się gorące i wilgotne.

— Gdzie? — spytał lord Yalding.

— T u t a j! — odparła niecierpliwie Mabel. — Tylko nie mogę jej znaleźć.

I rzeczywiście nie mogła. A właściwie znalazła sprężynę odsuwającą boazerię pod oknem, ale tam była tylko goła ściana, gdy wszyscy mieli na myśli wspaniałe klejnoty, a dwoje z obecnych klejnoty te nawet widziało. Natomiast sprężyny, która by przesunęła inne części dębowej boazerii i ukazała zdumionym oczom klejnoty godne króla — tej sprężyny nie można było odnaleźć. Co więcej, po prostu jej nie było. Fakt ten nie ulegał wątpliwości. Wyczulone palce zbadały dokładnie każdy cal boazerii, ale na próżno. Toteż gorące zapewnienia, jakie dawali Mabel i Jimmy, zamarły ostatecznie w ciszy tym dotkliwszej, że dzieciom płonęły uszy ze wstydu i nie miały odwagi spojrzeć nikomu w oczy, i mogły tylko ubolewać, że sprężyna zachowuje się w tak niesportowy sposób i krótko mówiąc, jest nie w porządku.

— No właśnie! — rzekł surowo lord Yalding. — Teraz już chyba skończył się wasz żart, jeśli to w ogóle można nazwać żartem, a ja mam dosyć tej całej głupiej historii. I oddajcie mi pierścień — przypuszczam, że należy do mnie, skoro, jak powiadacie, znaleźliście go gdzieś tutaj. Odtąd nie chcę słyszeć ani słowa o całej tej bzdurze z czarami i magią.

— Pierścień ma Gerald — szepnęła drżącym głosem Mabel.

— A więc idźcie po niego oboje — odparł lord Yalding.

Para zasmuconych dzieci wyszła z pokoju, a lord Yalding podczas ich nieobecności wyjaśnił mademoiselle, jak pozbawione znaczenia są klejnoty w porównaniu z innymi sprawami.

Wreszcie czwórka dzieci zjawiała się w skarbcu.

— Dosyć już tej całej historii z pierścieniem — rzekł lord Yalding. — Oddaj mi go i nie będziemy więcej o tym mówić.

— Kiedy... kiedy nie mogę go zdjąć — odparł Gerald. — Ten pierścień zawsze miał własne zachcianki.

— Zaraz go zdejmę — powiedział lord Yalding. Ale mu się to nie udało. — Użyjemy mydła — dodał stanowczo, a czworo z jego pięciorga słuchaczy wiedziało doskonale, że mydło na nic się tu nie zda.

— Oni nie chcą uwierzyć, że tu są klejnoty — jęknęła Mabel i nagle zalała się łzami. — A ja nie mogę znaleźć sprężyny. Szukałam już wszędzie... wszyscyśmy szukali... była tu, o, tutaj i...

W tej samej chwili jej palce natrafiły na sprężynę. I gdy urwała wpół zdania, rzeźbione płyty boazerii rozsunęły się, a półki obite błękitnym aksamitem i wypełnione klejnotami uka-

zały się niedowierzającym oczom lorda Yaldinga i młodej osoby, która miała być jego żoną.

— Na Boga! — zawołał lord Yalding.

— M i s e r i c o r d e ! \* — zawołała młoda osoba.

— Dlaczego dopiero t e r a z ? — szepnęła Mabel. — Dlaczego przedtem nie mogłam jej znaleźć?

— Myślę, że to z powodu czarów — wyjaśnił Gerald. — W gruncie rzeczy nie ma tu żadnej sprężyny, nie mogła więc działać, ponieważ nie było pierścienia. Pamiętasz, Febus powiedział nam, że pierścień jest sednem wszystkich czarów?

— Spróbujmy zamknąć skarbiec, schować pierścien i zobaczyć, co będzie.

Uczynili tak i okazało się, że Gerald (jak zwykle, co z naciskiem podkreślił) miał rację. Kiedy pierścień zabrano ze skarbca, nie było sprężyny, a kiedy pierścień przyniesiono z powrotem, sprężyna odnajdywała się w miejscu wskazanym przez Mabel.

— Teraz sam pan widzi — zwróciła się Mabel do lorda Yaldinga.

— Widzę, że sprężyna jest bardzo zręcznie ukryta — odparł niemądrze lord. — Myślę, że bardzo sprytnie na nią trafiłaś. I jeżeli te klejnoty są prawdziwe...

— Oczywiście, że są prawdziwe — obruszyła się Mabel.

— W każdym razie — ciągnął lord Yalding — bardzo wam dziękuję. Zdaje się, że się wypogadza. Więc po obiedzie odeślę was bryczką do domu. A poza tym — zatrzymam pierścien.

Pół godziny nacierania mydłem nie dało żadnego wyniku, tyle że palec Geralda stał się bardzo czerwony i obolały. Wreszcie lord Yalding bardzo się zniecierpliwił, a Gerald nagle się rozzłościł i krzyknął:

— Doprawdy chciałbym zdjąć ten pierścień z palca!

I, oczywiście, pierścień natychmiast ześliznął się z palca, „gładko jak po maśle”, jak później określił to Gerald.

— Dziękuję — powiedział lord Yalding.

— I teraz on z pewnością myśli, że ja umyślnie nie chciałem go zdjąć — powiedział później Gerald, kiedy będąc już w domu omawiali całą historię, zajadając ananasa z puszki i popijając go lemoniadą. — Są ludzie, którym nie można dogodzić. Kiedy okazało się, że mademoiselle zamierza wracać razem z nami — wcale nie było mu spieszno kazać zaprzęgać do bryczki. Znacznie wolałem go, kiedy był sobie skromnym rządcą. A tak, wszystko razem biorąc, nie wygląda na to, żebyśmy mieli go znowu polubić.

— On sam nie wie, co się z nim dzieje — rzekła Kathleen, wyciągając się na ziemi. — Bo to wszystko czary: to działa jak odra. Pamiętajcie, jak Mabel była z początku niezadowolona z powodu niewidzialności?

— O, tak — potwierdził Jimmy.

— Częściowo to rzeczywiście z powodu czarów — oświadczył Gerald, starając się być bezstronnym — ale częściowo także z powodu zakochania. Ludzie zakochani zawsze zachowują się jak idioci. Tak mi mówił jeden mój kolega ze szkoły. A on dobrze wie, bo jego siostra była właśnie taka — zakochana i całkiem do niczego. A przedtem była całkiem do rzeczy.

Przy podwieczorku i przy kolacji mademoiselle była wprost promienna. Piękna jak panienska ze świątecznej pocztówki, wesoła jak szczygieł i tak miła, jak i wy byście zawsze byli, gdybyście chcieli zadać sobie trochę trudu. Nazajutrz przy śniadaniu ta sama promienność, uprzejmość, uroda i wesołość. A potem przyszedł ją odwiedzić lord Yalding. Spotkanie odbyło się w saloniku. Dzieci z wielką delikatnością zamknęły się w pokoju klasowym aż do chwili, gdy Gerald, idąc do siebie na górę po ołówek, zaskoczył Elizę z uchem przyklepionym do drzwi saloniku.

\* Misericorde! (franc.) — Na miłosierdzie boskie!



Po tej przygodzie Gerald usiadł na górnym schodku z książką w ręku. Sam nie mógł słyszeć żadnego szczegółu rozmowy w saloniku, jednakże siedział na wprost drzwi i dzięki temu mógł być pewny, że nikt nie podsłuchuje rozmowy. Dzięki temu również, kiedy drzwi saloniku otwarły się, mógł ze swego miejsca ujrzeć wychodzącego lorda Yaldinga. „Młody nasz bohater — opowiadał później Gerald — zakaszłał z niesłychanym taktem dla zaznaczenia, że znajduje się na schodach”, ale lord Yalding zdawał się tego wcale nie zauważać. Podszedł jakby po omacku do wieszaka, przebierał niezręcznie wśród płaszczy i parasoli, wreszcie znalazł swój słomkowy kapelusz, spojrzął nań posepnie, wsadził go sobie gniewnym ruchem na głowę i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi jakby ze złością.

Drzwi saloniku pozostawił otwarte, więc Gerald, chociaż świadomie usiadł w takim miejscu, skąd nie słyszał nic z tego, co działo się w saloniku, kiedy drzwi były zamknięte, to obecnie, gdy drzwi były otwarte, słyszał zupełnie wyraźnie, co się tam działo. A tym czymś, jak stwierdził Gerald z głębokim smutkiem, a nawet zgorszeniem, był odgłos szlochów i łkań. Mademoiselle najwyraźniej płakała.

„Tam do licha! — pomyślał sobie Gerald. — Rzeczywiście nie tracą czasu. Pomyśleć, że już zaczynają się kłócić. Mam nadzieję, że nigdy nie będę w nikim zakochany”.

Chwila jednak nie była odpowiednia do rozważań na temat grożących mu w przyszłości niebezpieczeństw. W każdej chwili mogła się zjawić Eliza. A ona nie zawahałaby się ani na sekundę przed wejściem przez otwarte drzwi i wpakowaniem się w najświętsze tajemnice rozpaczy mademoiselle. Gerald uznał, że już z dwojga złego lepiej będzie, jeżeli on to uczyni. Zbiegł więc po cichu po wybitych wyliniałym zielonym chodnikiem schodach, wszedł do saloniku i cicho, ale stanowczo zamknął za sobą drzwi.

\*

— To już koniec — szepnęła mademoiselle z głową ukrytą w czerwonej poduszce wyhaftowanej w nenufary przez jakąś byłą wychowanicę. — On się ze mną nie ożeni!

Nie pytajcie mnie, w jaki sposób Gerald skłonił mademoiselle do zwierzeń. Miał on, jak już, zdaje się, powiedziały prawie na samym początku, bardzo dużą umiejętność postępowania z dorosłymi, kiedy mu na tym zależało. W każdym razie obecnie trzymał mademoiselle za rękę, nieomal z taką czułością, jak gdyby była jego własną mamą, którą boli głowa, i wciąż powtarzał: „No, już nie trzeba! Nie trzeba płakać!” i „Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani!” — w najbardziej pocieszający sposób, jaki tylko sobie można wyobrazić. A towarzyszyło temu lekkie głaskanie po ramieniu i prośba, aby zwierzyła mu się ze wszystkiego.

Nie była to prosta ciekawość, jak moglibyście sobie pomyśleć. Prośba Geralda była podyktowana rosnącą w nim pewnością, że cokolwiek się stało — stało się za sprawą pierścienia. I, jak się okazało, Gerald miał pod tym względem (jeszcze raz, jak podkreślał) zupełną rację.

Historia opowiedziana przez mademoiselle była rzeczywiście niezwykła. Wczoraj po kolacji, późnym wieczorem, lord Yalding przechadzał się po parku „chcąc pomyśleć o...”

— Wiem, wiem — odparł Gerald. — I miał na palcu pierścień. I zobaczył...

— Zobaczył, że posągi nagle ożywają — szlochała mademoiselle. — Zmąciły mu umysł te niemądre historie o bajecznych przygodach, jakie mu opowiedzieliście. Zobaczył, że Apollo i Afrodyta w pewnej chwili ożyli. Przypomniał sobie wszystkie wasze opowieści. I nagle sam zapragnął być posągiem. No i wtedy zwariował! Uważa, że wasza opowieść o wyspie jest prawdziwa, że pływał po jeziorze wśród różnych bestii z Arki Noego, ucztował z bogami na wyspie. o świcie — ciągnęła mademoiselle — obłąd zaczął mu trochę przechodzić. Ma wrażenie, że Panteon gdzieś nagle znikł. Ale on sam czuł się nadal posągiem i ukrywał się przed ogrodnikami w swoim własnym ogrodzie aż do za kwadrans dziewiąta rano. Wtedy przyszła mu na myśl chęć wypowiedzenia życzenia, by już nie być posągiem. I nagle spostrzegł, że na powrót jest z ciała i krwi. Oczywiście, to musiał być jakiś zły sen! Ale przez

wasze opowieści zupełnie stracił głowę. Mówi, że to nie żaden sen, tylko że on zwariował, a wariat nie może się żenić. I teraz już nie ma nadziei. Jestem w zupełnej rozpacz! Życie przestało mieć sens!

— Owszem, j e s t — odpowiedział z powagą Gerald. — Zapewniam panią, że jest nadzieja. A życie ma sens i nie ma żadnych powodów do rozpacz. On n i e j e s t wariatem i t o n i e b y ł sen. To czary. To naprawdę czary.

— Czary nie istnieją — jęknęła mademoiselle — to tylko on zwariował! Z radości, gdy mnie zobaczył po tak długim czasie. Ojej! —

— Czy on rozmawiał z bogami? — zapytał łagodnie Gerald.

— Ach, to jest jedna z jego najbardziej obłąkanych myśli! Wydaje mu się, że Merkury wyznaczył mu spotkanie w jakiejś świątyni jutro o wschodzie księżyca.

— O, właśnie! — zawołał Gerald. — Właśnie! Droga, miła, urocza, śliczna mademoiselle, niech pani nie będzie małą, głupiotką beksą — zapomniał się na chwilę i wśród swych pocieszeń użył słów, jakimi zwykł pocieszać Kathleen w chwilach smutku i załamania. Ale natychmiast dodał: — Chciałem powiedzieć, niech pani nie płacze bez powodu. Jutro on pójdzie do tej świątyni. Ja pójdę, ty pójdiesz, on pójdzie. My pójdziemy, wy pójdziecie, oni pójdą! I zobaczy pani, że wszystko będzie w najzupełniejszym porządku. On przekona się, że nie jest wariatem, a pani wszystko zrozumie. Proszę wziąć moją chusteczkę, tak się składa, że jest zupełnie czysta, nawet jej nie rozwinąłem. Ach, proszę przestać płakać, miła, dobra, kochana mademoiselle!

Ten wybuch wymowy nie pozostał bez skutku. Mademoiselle wzięła chusteczkę Geralda, jeszcze raz załkała, a potem lekko się uśmiechnęła, otarła oczy i powiedziała:

— Ach, ty nieznośny chłopcze! Czy wy znowu chcecie urządzić mu jakąś sztuczkę, jak z tym duchem?

— Nie mogę tego teraz wyjaśnić — odparł Gerald. — Ale daję pani słowo honoru — pani wie, co znaczy słowo honoru Anglika, prawda? choć pani jest Francuzką — że wszystko skończy się właśnie tak, jak pani sobie tego życzy. Nigdy jeszcze pani nie skłamałem, więc proszę mi wierzyć.

— To ciekawe — odezwała się mademoiselle, ponownie ocierając oczy — ale wierzę ci. — I znowu, tak jak kiedyś, i tak nagle, że nie mógł stawić oporu, pocałowała go. Myślę zresztą, że w chwili takiego zgnębienia mademoiselle Gerald uważałby nawet za niewłaściwe stawianie oporu.

„Jej to sprawia przyjemność, a mnie nic nie szkodzi. Albo prawie nic” — pomyślał sobie zapewne.

\*

A teraz już jest prawie wschód księżyca. Francuska guwernantka, na wpół wątpiąc, a na wpół mając nadzieję, ale całkowicie spragniona obecności lorda Yaldinga, choćby był nie wiem jakim wariatem, oraz czwórka dzieci (wezwali Mabel pilną pocztówką wysłaną poprzedniego dnia) idą po mokrej od rosy trawie.

Księżyca jeszcze nie widać, ale jego światło miesza się na niebie z purpurą i różowością zachodzącego słońca. Od zachodu ciągną ciemne jak atrament chmury, natomiast wschód, gdzie wkrótce ukaże się księżyc, jest kryształowo czysty jak górskie jezioro.

Mijają trawnik, a następnie lasek brzozowy, przedzierają się przez płataninę zarośli i jeżyn i wreszcie dochodzą do niewielkiego, płaskiego wzgórza, które jakby wyrasta ze szczytu innego płaskiego wzgórza. Widnieje tu krąg dużych, nieforemnych kamieni; w jednym z nich przebity jest dziwny, okrągły otwór, gładki po brzegach. W środku tego kręgu kamieni spoczywa wielki, płaski blok skalny, opuszczony, samotny, pełen znaczenia — blok skalny spowity wspomnieniami starych obrzędów i dawno już zapomnianych wierzeń. Ciemna postać porusza się wewnątrz kręgu kamieni. Francuzka puszcza ręce dzieci, podbiega do postaci,

przywiera do jej ramienia. Jest to lord Yalding. Żąda, by odeszła.

— Nigdy w życiu — woła mademoiselle. — Jeżeli ty jesteś obłąkany, to i ja jestem obłąkana, bo wierzę w to, co opowiadają dzieci. Przyszłam tu, aby być z tobą i widzieć razem z tobą to, co ukaże nam wschodzący księżyc, cokolwiek to będzie.

Dzieci stoją, trzymając się za ręce, przy płaskim kamieniu i bardziej wzruszone są czarem głosu francuskiej dziewczyny niż jakimkolwiek czarem magicznych pierścieni. Słuchają, starając się nie słuchać.

— Czy ty się nie boisz? — pyta lord Yalding.

— Bać się? Przy tobie? — odpowiada ze śmiechem.

On obejmuje ją ramieniem i dzieci słyszą jej westchnienie.

— Nie boisz się, kochanie? — pyta znowu lord Yalding.

Gerald zbliża się do nich poprzez szeroki krąg trawnika i mówi:

— Nie można się bać, mając pierścień na palcu. I — dodaje — bardzo mi przykro, ale my słyszymy dokładnie każde słowo.

Francuska guwernantka znowu wybucha śmiechem.

— To nic nie szkodzi — powiada. — Przecież i tak już wiecie, że się kochamy.

Lord Yalding wkłada ukochanej pierścień na palec i oboje stoją nieruchomo koło siebie. Biel rękawów jego flanelowej marynarki nie daje się odróżnić od bieli jej sukni. Stoją już przy sobie jakby wyrzeźbieni z jednego bloku marmuru.

Wtem jakieś blade i szare światło dotyka szczytu okrągłego otworu. Pełnie po jego bokach. Nagle cały otwór staje się krążkiem światła — promień księżyca pada wprost na szarą zieleni koła wyznaczonego nie ciosanymi kamieniami, a w miarę jak księżyc wznosi się na niebie, jego blask oświetla koło coraz pełniej. Dzieci bezwiednie cofają się przed tym zalewem blasku, aż stają tuż przy parze zakochanych. Blask promieni księżyca sięga coraz dalej. Już dotyka krańca bloku skalnego, potem przesuwa się coraz bliżej środka, aż wreszcie trafia w samo serce, w sam środek wielkiego bloku. Teraz promienie księżyca jakby tryskają wprost ze środka skały, tworząc całą fontannę światła. Wszystko się przeobraża. Czy raczej wszystko staje się wiadome. Nie ma już żadnych tajemnic. Cały układ świata wydaje się tak prosty, jak jakieś proste działanie arytmetyczne wypisane dużymi cyframi na dziecięcej tabliczce szyfrowej. Człowiek się dziwi, jak mógł kiedykolwiek czemukolwiek się dziwić. Nie ma już przestrzeni ani odległości: każde miejsce, widziane w rzeczywistości lub w marzeniu, znajduje się tutaj. Czas przestaje istnieć: w tej jednej chwili zbiega się wszystko, co się kiedykolwiek czyniło naprawdę lub w marzeniu. Jest to tylko chwila, a jednocześnie wieczność. Tu jest środek wszechświata, a zarazem sam wszechświat. Odwieczne światło wypełnia i rozświetla odwieczną istotę wszechrzeczy.

\*

Żadna z sześciu istot ludzkich, które oglądały ten wschód księżyca, nie była zdolna wyobrazić sobie, że ma on coś wspólnego z czasem. Promień księżyca mógł tylko na mgnienie oka spocząć dokładnie w środku skalistego bloku. A jednak starczyło tego krótkiego czasu dla wielu wydarzeń.

Ze szczytu pagórka roztaczał się daleki widok na cały spokojny park, na uśpione ogrody. I widać było, jak w tej szarej zieleni poruszają się i zbliżają jakieś kształty.

Pierwsze nadeszły wielkie bestie o dziwacznych kształtach, jakie istniały, kiedy świat był młody — olbrzymie, skrzydlate jaszczury, smoki, które przetrwały w ludzkiej pamięci, mamuty, olbrzymie, dziwaczne ptaki. Wszystkie te stwory wpełzły na wzgórze i ustawiły się poza kręgiem kamieni. Potem — nie z ogrodów zamkowych, ale z bardzo daleka — przyszły kamienne bóstwa Egiptu i Asyrii, istoty o tułowiach byków, ptasich skrzydłach i głowach krogulców i kotów — wszystkie kamienne, a zarazem żywe i ruchliwe. Zjawiły się dziwaczne, groteskowe postacie z wież katedralnych — postacie aniołów o zwiniętych skrzydłach i

postacie zwierząt o skrzydłach szeroko rozpostartych, sfinksy, bezkształtne bożki z porostych palmami wysp południowych. A na samym końcu przepiękne marmurowe postacie bogiń i bogów, którzy uctowali na wyspie pośrodku jeziora i zaprosili lorda Yaldinga oraz dzieci na dzisiejsze spotkanie.

Nie padło ani jedno słowo. Każda z kamiennych postaci wchodziła z radością i spokojem w krąg światła i wzajemnego porozumienia, niczym dzieci, zmęczone długą bieżącą, zakradające się cichutko przez otwarte drzwi do ognia przy kominku w domu.

Dzieci zamierzały zadać wiele pytań. I było im przyrzeczone, że na wszystkie pytania dostaną odpowiedź. Jednakże teraz nikt nie wymówił słowa, ponieważ wszyscy znaleźli się w kręgu rzeczywistych czarów, gdzie wszystko rozumie się bez słów.

Później żadne z nich nigdy nie mogło sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Ale nigdy nie zapomnieli, że byli gdzieś, gdzie wszystko było łatwe i piękne. A ludzie, w których pamięci pozostanie choć tyle, nigdy już nie są ci sami. Toteż gdy następnego dnia zaczęli o tym rozmawiać, przekonali się, że w każdym została jakaś część wielkiego wtajemniczenia owej nocy.

Wszystkie kamienne istoty skupiły się bliżej wokół skalnego bloku, a światło w miejscu, gdzie promień księżyca padał na skałę, zdawało się wzbijać pył podobnie jak wodospad, gdy woda spada z wielkiej wysokości. Cały tłum skąpany był w tym białym świetle. Głębokie milczenie zawisło nad ogromnym zgromadzeniem.

Nagle przez olbrzymi tłum przepłynęła fala napięcia. Wszystkie twarze — ptasie, zwierzęce, posągów greckich, potworów babilońskich, dzieci ludzkich i ludzkich kochanków — skierowały się w górę. Promienne światło zalało ich wielką jasnością i z ust wszystkich wyrwało się jedno słowo.

— Światło! — zawołali, a brzmienie ich głosów było jak przelewanie się jakiejś ogromnej fali. — Światło! Światło...

A potem światło znikło i na oczy wszystkich, z wyjątkiem nieśmiertelnych, opadł sen, łagodny i miękki jak unoszone w powietrzu puszeki ostu.

\*

Trawa pokryta była chłodną rosą, a chmury zasłoniły księżyc. Zakochani i dzieci stali razem, przywierając do siebie, lecz nie ze strachu, ale z miłości.

— Chcę teraz — powiedziała łagodnie młoda Francuzka — pójść do jaskini na wyspie.

Wobec tego bardzo spokojnie udali się wszyscy w zapadającej łagodnie nocy do przystani, odpięli głucho szcękający łańcuch, jakim umocowana była łódź, i zanurzyli wiosła między zatopione gwiazdy i lilie. Dopłynęli do wyspy i odnaleźli schody.

— Zabrałem z sobą świece — powiedział Gerald. — Na wszelki wypadek...

Tak więc oświetlając sobie drogę świeczkami wziętymi przez Geralda, zeszli na dół do sali Psyche, jarzącej się mocnym światłem, płynącym od jej posągu tak jak wtedy, gdy dzieci były tu poprzednio.

Była to Sala Spełnionych Życzeń.

— Pierścień — powiedział lord Yalding.

— Pierścień — powtórzyła jego ukochana — jest czarodziejskim pierścieniem danym kiedyś dawno śmiertelnemu człowiekowi i jest tym, za jaki się go uważa. Twój przodek otrzymał go w darze od damy z mojego rodu, aby z jego pomocą mógł dla niej zbudować pałac i ogród taki sam, jak pałac i ogród w jej ojczystym kraju. Tak więc ten zamek zbudowany został częściowo za sprawą jego miłości, częściowo zaś dzięki czarom. Lecz młoda kobieta nie dożyła chwili wzniesienia zamku; taką bowiem ceną trzeba było okupić się czarom.

Mademoiselle musiała chyba mówić po angielsku, inaczej bowiem jak mogłyby ją dzieci zrozumieć. Jednakże słowa wypowiedane przez nią nie przypominały jej zwykłego sposobu mówienia.

— Z wyjątkiem dzieci — rozbrzmiewał dalej jej głos — pierścień wymaga opłaty. Ty przypłaciłeś swoje życzenie, żebym się tu zjawiała, tym strachem przed obłędem, jakiego od tego czasu doznajesz. Jedno tylko życzenie może być spełnione bez okupu.

— A to życzenie?...

— Jest zarazem ostatnim — odparła — jakie może spełnić pierścień. Czy mam je wypowiedzieć?

— O, tak, tak! — zawołali wszyscy.

— Życzę sobie więc — podjęła ukochana lorda Yaldinga — aby wszystkie czary spełnione za sprawą tego pierścienia zostały unicestwione i żeby sam pierścień stał się wyłącznie i tylko amuletem na zawsze wiążącym razem ciebie i mnie.

Urwała. I w chwili gdy urwała, czarodziejskie światło zamarło, a okna spełnionych życzeń wygasły jak obrazki magicznej latarni. Świeczka Geralda słabo rozświetlała prymitywną, łukowatą piwnicę, a tam, gdzie stał posąg Psyche, znajdował się kamień z jakimś wyrytym na nim napisem.

Gerald przybliżył do niego świeczkę.

— To jest jej grób — powiedziała młoda Francuzka.

\*

Nazajutrz nikt nie mógł sobie niczego dokładnie przypomnieć. Ale wiele rzeczy uległo zmianie. Znikł pierścień i zamiast niego mademoiselle, przebudziwszy się z rana w swoim własnym łóżku, znalazła zaciśniętą w swej dłoni zwykłą złotą obrączkę. Przeszło połowa klejnotów znikła z pokoju z boazerią, te zaś, które pozostały, nie były ukryte za żadną boazerią; leżały po prostu zwyczajnie na wybitych aksamitem półkach. Za świątynią Flory nie było już ukrytego przejścia. Znikło też wiele spośród innych ukrytych przejść i utajonych komnat. W ogrodzie zaś było znacznie mniej posągów, niż wszystkim się poprzednio zdawało. Brakło tam sporych partii samego zamku i trzeba je było wielkim kosztem odbudować. Z czego możemy wnosić, że przodek lorda Yaldinga bardzo często posługiwał się pierścieniem, by ułatwić sobie budowę zamku.

Jednakże te klejnoty, jakie pozostały, wystarczyły całkowicie, by pokryć wszelkie koszty.

Nagłość, z jaką wszystkie czary pierścienia zostały unicestwione, była dla wszystkich zainteresowanych takim wstrząsem, że zaczęli wątpić, czy w ogóle jakieś czary kiedykolwiek się zdarzyły.

Pewną jest jednak rzeczą, że lord Yalding ożenił się z francuską guwernantką i że przy ślubie użyto zwykłej obrączki. Ta zaś, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, nie mogła być niczym innym jak czarodziejskim pierścieniem zmienionym dzięki ostatniemu życzeniu w amulet wiążący na zawsze lorda i jego żonę.

Poza tym, jeżeli cała ta opowieść jest bzdurna i zmyślona — jeżeli Gerald i Jimmy, i Kathleen, i Mabel po prostu wykorzystali moją ufną naturę, by wmówić mi mnóstwo nieprawdopodobnych rzeczy — to jak wytłumaczyć sobie wiadomość, jaka ukazała się we wszystkich wieczornych pismach nazajutrz po czarodziejstwie wschodu księżyca?

### TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE ZNANEGO BOGACZA

głosił nagłówek, a dalej zawarta była wiadomość, że pewien dżentelmen, dobrze znany i bardzo szanowany w kołach finansistów, znikł bez żadnego śladu.

*Pan B. S. Strachal* — stwierdzały gazety — *pracował do późna w swoim biurze, jak to miał nieraz w zwyczaju. Nazajutrz drzwi biura okazały się zamknięte na klucz, a gdy je wyłamano, na podłodze znaleziono stos ubrań nieszczęsnego dżentelmena, a także parasol, laskę, kij golfowy oraz, rzecz ciekawa, miotłkę z piór, jakiej pokojówki używają do okurzania mebli. Natomiast ciała zaginionego nie odszukano. Podobno policja trafiła na jakiś trop.*

Jeżeli policja trafiła na jakiś trop, to zachowała go w tajemnicy. Nie sądzę jednak, by na jakiś trop trafiono, gdyż zaginiony szacowny dżentelmen był to, oczywiście, ten Brzydalski-Strachal, który stał się rzeczywisty, kiedy w poszukiwaniu prawdziwie dobrego hotelu trafił do Sali Spełnionych Życzeń. Wreszcie, jeżeli nic z tej opowieści nigdy się nie wydarzyło, to jak to się dzieje, że znana nam czwórka dzieci jest w takiej przyjaźni z lordem i z lady Yalding i prawie wszystkie wakacje spędza u nich na zamku?

Łatwo im wszystkim udawać, że całą tę opowieść ja sama wymyśliłam. Jednakże fakty są faktami i na nic nie zda się udawanie, że się o nich nie wie.